

SYLWIA ZIENTEK

ZŁUDZENIA

NERWICE I SONATY

„Wypalamy się, pożądając niemożliwego”

Carlos Fuentes *Wszystkie szczęśliwe rodziny*

„Niemniej ja zapewniłam sobie sezon oszałamiającej radości. I nie zamierzam zgadzać się na płacenie za niego zwykłą, czarną rozpaczą.

Zamierzam ominąć tego wiecznie tropiącego mnie ducha – tego, co to zawsze wlecze swoje wilgotne skrzydła w ślad za każdym moim sukcesem. Będę bardzo ostrożna. Poskromić samą siebie i swobodnie wybiec w radości – oto absolutnie niezawodna recepta. I używać rąk i oczu, rozmawiać z ludźmi, być słomką w strumieniu, od czasu do czasu – bierną, niestającą się tego czy owego powiedziec. Jeśli człowiek nie kładzie się, nie podsumowuje i nie powiada do chwili, tej właśnie chwili: »Zostań, jesteś piękna«, to co zapisze w poczet zysków, umierając? Nie: »Zostań, ty, chwilo«. Nie można tego powiedziec zbyt wiele razy. Wejdę do domu zobaczyć się z L. i powiedziec: »Trwaj chwilo«”.

Virginia Woolf *Dzienniki*, zapis z dn. 31.12.1932 r.

„Zastanawiam się, ile dzieci wychowanych w rodzinach okaleczonych przez wojnę ma w żyłach tę samą truciznę, wszczepioną im, zanim jeszcze nauczyły się mówić”.

Doris Lessing *Pod skórą*

„Reklamy każą tym ludziom uganiać się za samochodami i ubraniami, których nie potrzebują. Całe pokolenia wykonują prace, której nienawidzą, po to tylko, żeby móc sobie kupować coś, co nie jest im wcale potrzebne”.

z filmu *Podziemny krąg*

Andżelika wspomina chustę ze sztucznego jedwabiu

Poszłam pożalić się, że nie jestem szczęśliwa. Na terapię namówiła mnie znajoma dentystka, która przez kilka miesięcy poprawiała stan mojego uzębienia, aby po zabiegu wybielania zaproponować przejście na „ty” i plotki przy winie. W trakcie spotkania w tajskiej restauracji Czar Orchidei, gdzie podano nam *pad thai* na wstrząsający finał obiadu, niespodziewanie dla samej siebie podzieliłam się z nią problemem dolegliwości psychosomatycznych. Dostyc autorytarnym tonem oświadczyła, iż w mojej sytuacji mam następujące wyjścia: pogłębię swój problem alkoholowy, wezmę psychotropy lub poradzę sobie bez środków farmakologicznych za pomocą psychoanalizy. Dała mi namiary do laboratorium psychoterapii i kazała tam dzwonić. Po południu zatelefonowała, aby zapytać, czy już się umówiłam, więc nie miałam wyjścia – przyparta do muru po rozmowie z nią umówiłam się na pierwsze spotkanie.

Szłam, ociągając się, niechętna, zdenerwowana. Nie wiedziałam, jak się zachowam, czy będę w stanie wypowiedzieć słowa, które wiernie oddadzą stan mojego umysłu. Myślałam obsesyjnie o chustce z lat siedemdziesiątych, jaką Matka często obwiązywała szyję pod płaszczem, która – nie wiem, czy mi się śniła, czy przypomniała mi się tak po prostu, bez przyczyny. Była uszyta ze sztucznego jedwabiu, kwadratowa, w oryginalny deseń – na pomarańczowym tle przecinały się ze sobą fioletowe i zielone koła różnej wielkości. Widziałam przed oczami tę chustkę, leżącą jak zwykle na wiklinowym – nie mam nawet pojęcia, jak to nazwać – talerzu czy podstawce, na którą kładło się tego typu akcesoria po wejściu do przedpokoju wyłożonego potworną, pożółkłą od papierosowego dymu tapetą imitującą brzozy las. Pani psycholog przyjmowała w miłym pokoiku ulokowanym w apartamencie na Saskiej Kępie. Sprawiała wrażenie bardzo spokojnej, pewnej siebie. Była po pięćdziesiątce, zadbana, ubrana w lnianą sukienkę i niezłe buty, z oryginalnym naszyjnikiem na piersiach. Znalazłam się w zalanym słońcem pokoiku. Zaczęłam od podstawowych faktów, później jako cel przybycia podałam moje objawy psychofizyczne (palpitacje serca, poczucie nadchodzącej utraty świadomości) oraz przeżycia z ostatnich dwóch lat, ciąg chorób rodziców, ich zgony, opis traumy w maksymalnym skrócie. Zadała mi pytanie, którego nigdy sobie nie stawiałam: czy byłam zła

na rodziców za ich zwłokę z pójściem do lekarza? Bo przecież oboje odkładali konfrontację swoich obaw w obliczu doktora. Gdy okazało się, że zżera ich rak, pozostawała już tylko opieka paliatywna. Potem opowiadałam o sobie, o tym, jak się boję podzielić los Matki, jej puste życie i samotność. Zastanawiam się, dlaczego była tak bierna, obciążała innych winą za wszystkie niepowodzenia, nie umiała samodzielnie decydować o sobie. Przedstawiłam moją obecną sytuację, pracę, dom, rodzinę. „Czy jest pani szczęśliwa? Nie? A więc musi być jakaś przyczyna tego lęku, skoro niby wszystko jest w porządku? Tu nie chodzi o żałobę. Proszę się zastanowić, dysponuje pani wszystkimi środkami, z których można czerpać szczęście, a jednak czuje pani jego dotkliwy brak!”. Po wysłuchaniu mnie stwierdziła, że nic nie jest w stanie mnie zadowolić, buduję marzenia niemające oparcia w rzeczywistości, z gruntu niespełnialne. Z powodu sytuacji w domu (toksycznej osobowości Matki i jej nieudanych relacji z mężem) miałam nieszczęśliwe dzieciństwo, zostałam z bagażem niezrealizowanych pragnień i nie mam szans, by je zrealizować, bo tamta dziewczynka już nie istnieje. Mówiłam, że nie wiem, skąd we mnie to odczucie, że coś ciągle jest nie tak, że moje życie to fikcja, tymczasowość, poczekalnia. To nie to. Ciągłe czekanie, aż stanie się coś – coś dobrego, coś nadzwyczajnego, co wypełni wszystko sensem. Ciągłe czekanie, potem etap zaniechania i zwątpienia, aby znowu poczuć przyływ sił i nadziei i czekać od nowa... Według psycholożki odpowiedź jest prosta: zbyt wiele oczekuję, nieadekwatnie do posiadanych możliwości. Dlatego nie umiem docenić tego, co mam, dlatego wszystko traktuję w kategoriach substytutu, tymczasowości, trwania w oczekiwaniu na to właściwe życie. Jakby obiecano mi, że przypadnie mi w udziale istnienie w okowach absolutnego piękna i wspaniałości. A na razie wszystko to półśrodki, życie niczym pisanie „na brudno”. Dlatego seks wywołuje pewne rozczarowanie. „Tylko tyle?” – pytam siebie w duchu, mając za sobą wielokrotny orgazm. Jeśli oczekuję, że co chwila spotka mnie poruszenie na miarę pierwszego spojrzenia na panoramę Florencji czy oszołomienie na widok wylaniającego się zza budynków ruin Koloseum, nie zaznam ani spokoju, ani zadowolenia z życia.

Po godzinie rozmowy wyszłam podekscytowana, z poczuciem, że zrobiłam coś ważnego. Dumna ze swej wylewności, początkowo tłumiłam zwątpienie: czy naprawdę po wysłuchaniu czyjś godzinny monolog można od razu tak wiele powiedzieć o obcym człowieku? Czy psychologia nie wtlacza każdego problemu w utarte schematy: „toksyczna matka”, „nieszczęśliwe dzieciństwo”? Wychodząc z gabinetu, minęłam ubranego w garnitur z błyszczącej tkaniny faceta, który już czekał, aby „sprzedać” ciężar własnych problemów. W to jeszcze wciąż

ciepłe jesienne popołudnie ulice pełne były ludzi beztrąsko siedzących przy wystawionych na chodnik stolikach. W gazecie recenzje kolejnych filmów pokazywanych na Festiwalu Filmowym w Wenecji, szła zakupów przed sezonem zimna, kasztany i mgliste światło – jak każdego roku. Mijałam przechodniów, wypatrując wśród nich ciekawie ubrane kobiety, szukając w ich wyglądzie inspiracji dla własnych pomysłów i bardziej porywających zestawów form, tkanin i deseni. W materiałach sukienek i bluzek, szali i spódnic, w połączeniach kolorów odnajdywałam piękno wzorowane na zjawiskach przyrody – barwach zachodów słońca, połyskującej w słońcu tafli wody, tęczy i gamy błękitów układających się w warstwy sylwetek górskich pasm.

Szłam, stukając obcasami o nierówne płyty chodnika, w uniesieniu, podbudowana własną odwagą w mówieniu o sobie. Ale czy umiałam przekazać prawdę? Nie powiedziałam przecież, że mi ciężko, że dzieci, praca, cały ten kołowrót, że w konfrontacji z ludźmi jestem wesoła i zabawna, ale dużo mnie to kosztuje, bo wolę być sama ze sobą i iść przed siebie. Nie powiedziałam, że upajam się swoim smutkiem. Kroczę ulicami wystrojona, chwaląc się wysokimi obcasami zamszowych, długich butów, obnosząc swój depresyjny szyk. Wieczorem, kiedy nie będę mogła zasnąć z trwogi napędzanej galopującym sercem, znowu wymyślę wyszukany zestaw ubrań na kolejny potwornie nudny dzień, zakończony trzema kieliszkami wina. W środku nocy obudzę się rozdygotana z poczuciem, że umieram. Weźmy na przykład dzisiejszy dzień – najwspanialszym jego momentem był ten, w którym stałam pod rozłożystym, poźółkłym kasztanowcem, jedząc jabłko i udając, że czekam na tramwaj. Gdy doszłam do serca owocu, musiałam wracać do biura. Nie powiedziałam pani psycholog, że zakupy nie tylko poprawiają mi humor, ale są sposobem walki z moimi demonami, bo kiedy w pośpiechu przechodzę z jednego sklepu do drugiego, myślę tylko o tym, co kupić, co potrzebne jest dzieciom, a co mnie, i odrywam się od siebie. Wymyślam niebanalne zestawienia ubrań, urządжаю mieszkanie – trzymam się kurczowo rzeczywistości i skupiam się na przetwarzaniu będących w moim zasięgu przedmiotów w piękno.

Nie powiedziałam, że w 2010 roku kupiłam czterdzieści książek (głównie pod wpływem impulsu, przechodząc koło witryny księgarni, bo spodobała mi się okładka albo liczyłam, że lektura ujawni mi sposoby walki z samą sobą), trzydzieści jeden płyt, dziewięć par butów i sześć torebek, ponad sto sztuk ubrań – średnio dwa tygodniowo (zwłaszcza bluzek, bo najłatwiej je dobrać bez mierzenia, a na to zawsze brak mi czasu), kilkanaście naszyjników, sześć bransoletek,

pięć par koleczków i olbrzymią ilość kosmetyków, a wszystko to obciążało moje trzy karty kredytowe.

Myśli przerywa mi dzwoniący telefon. To mój mąż, pyta, kiedy wrócę. Jest wściekły i głodny, bo musiał sam zająć się dziećmi, które się kłóca. Nie podziela mojego entuzjazmu wywołanego wizytą u psychoterapeutki. W pośpiechu, nerwowym krokiem kieruję się na postój taksówek. Właściwie dopiero teraz zauważam, że chodniki zasłane są już liśćmi, obcas eleganckiego buta rozdeptał ciało mirabelki. Znowu te fałszywe, zapierające dech zestawienia kolorów, jakby jesień starała się oszalałymi widokami zatuszować fakt, iż piękno jest jedynie fasadą dla przemijania, odchodzenia, gnicia i rozkładu. „Co we mnie tkwi? – myślę. – Może to wysrane z mlekiem Matki lęk, groza i smutek wołyńskiego stepu?”

Była wczesna jesień, kiedy wiozłam Matkę do szpitalnego ośrodka specjalizującego się w chorobach płuc, dokąd skierowano ją ze względu na wstępne rozpoznanie gruźlicy. Bardzo się denerwowała, co dziesięć minut przypalała papierosa. Po zrobieniu zapasów leków przeciwbólowych i relanium w trzech różnych aptekach dotarliśmy w końcu do położonego w pięknym lesie starego budynku. Panująca tam cisza i sączące się przez żółtawe liście złote światło przywodziły na myśl uzdrowisko z *Czarodziejskiej góry* i nawet sale wypełnione łózkami, na których leżały wegetujące, skrajnie wychudzone ciała, nie zapowiadały katastrofy. Kiedy już przydzielono jej łóżko i znalazła się na arenie pomiędzy innymi sześciora towarzyszkami niedoli, przebrała się w czarną piżamę i opowiedziała wszystkim w sali o tym, że od ośmiu miesięcy jest wdową.

Posłała mnie jeszcze do szpitalnego sklepu po żel pod prysznic i inne nagle niezbędne przedmioty, i jeszcze polarową bluzę, bo panie jej powiedziały, że tutaj jest chłodno i najlepiej na korytarz zawsze wkładać polar. Oczywiście kolor, jaki wybrałam, jej nie odpowiadał i nie czekając na doktora, poszła szybko ją wymienić. Patrzyłam na bujne, żółte liście maskujące cały widok za wielkimi, starymi oknami, gdy zjawił się jej lekarz prowadzący i nie kryjąc poirytowania, przy innych pacjentkach zaczął krzyczeć na Matkę, że samowolnie oddaliła się od łóżka, co w jej przypadku – osoby z krwiopluciem – oznaczać może krwotok dosłownie w każdej chwili.

– Oczywiście zrobimy bronchoskopię, ale patrząc na pani wyniki, mogę już teraz powiedzieć, że to nie jest gruźlica – oznajmił z pewną satysfakcją.

– A co? – zapytała.

– A wie pani, co jest napisane na paczce papierosów, których wypala pani ponad czterdzieści dziennie?

Poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła, stłumiłam potrzebę straszliwego krzyku. Matka odparła tonem, jakby chodziło o fakt niemający dla niej żadnego znaczenia: – Czyli rak? – Lekarz kiwnął głową i przeszedł jak gdyby nigdy nic do pytań o aktualnie zażywane leki.

Kiedy jakiś czas później opuszczałam szpital, znowu beztrudnie światło jesieni przykuwało mój wzrok i swym pięknem przeczyło możliwości zaistnienia tego, co na nas czekało. Pocięczałam Matkę i mówiłam to, co chciała usłyszeć: że trzeba poczekać na badania, że przecież jeszcze nic nie wiadomo. Wyraz jej oczu sprawiał, że pragnęłam uciec i uzalać się nad swoim losem. Chciałam krzyknąć, że to niemożliwe, niemożliwe, przecież niecały rok temu umierał mój Ojciec! Matka tylko patrzyła w ciszy, wiedząc, że to już koniec. To smutne spojrzenie kojarzyło się z rozdzierającym duszę wyciem. Niecałe trzy miesiące później chodziłam ulicą roziskrzoną świątecznymi lampionami, migającymi wystawami i feerią nachalnej symboliki świąt. Roześmiane twarze z dekoracji i atrapy prezentów sprawiały, że robiło mi się słabo, i chwilami miałam wrażenie, że brakuje mi tchu. Moment, w którym obudził mnie telefon ze szpitala, wydawał się nierealny. „Pani Mama zmarła w nocy, około 3.30”. Dzieci tymczasem czekały na prezenty, musiałam coś wybrać i kupić. Przerzucając świąteczne kolekcje ubrań, bezwiednie wyciągałam komórkę i wybierałam numer, aby jak co dzień wielokrotnie w ciągu dnia wysłuchać skarg i narzekań Matki. W pewnej chwili docierało do mnie, że tego telefonu nikt już nigdy nie odbierze.

A więc uparcie wpatruję się w swoje oblicze.

Psychoterapeutka zapytała, co takiego mogło wydarzyć się w życiu Matki, iż stała się pozbawioną prawa do szczęścia emocjonalną dyktatorką. Na to pytanie muszę odpowiedzieć sobie sama, więc powoli zaczynam podróż do zakamarków wspomnień, starając się spojrzeć na siebie i swoją rodzinę z dystansu, niczym pisarka snująca opowieść o losach ludzi, których twarze zna tylko z fotografii. Muszę wiedzieć, co takiego tkwi we mnie, co przejęłam od Matki, a ona od swojej matki, co zamienia los w pasmo podszytego niewypowiedzianym lękiem wewnętrznego piekła.

Imię Andżelika zawdzięczam popularnym na początku lat siedemdziesiątych francuskim filmom z cyklu *Angelique, marquise des anges* z udziałem ponętnej brunetki Michele Mercier. Zapewne podobała się mojemu ojcu i szesnastoletniemu wówczas bratu. Otrzymałam więc imię,

które do czasu, gdy stałam się nastolatką, utraciło jakikolwiek powab i urok, a stało się źródłem poczucia wstydu, wracającego, ilekroć musiałam wymówić je na głos.

Ponieważ Matka urodziła mnie w wieku trzydziestu ośmiu lat, nie miałam szansy zapamiętać rodziców w szczytowym okresie ich aktywności, kiedy Matkę nazywano Zośką Loren, a Ojciec był przystojnym oficerem. Najdawniejszy ich obraz, jaki zachowałam w pamięci, to wspomnienie pary niedobranej fizycznie: ona drobna, chuda, o bardzo pomarszczonej twarzy (konsekwencja bezwstydnego smażenia się latami na plaży) i źle dobranej sztucznej szczęce, on – mężczyzna w mundurze z ogromnym brzuchem, wysoki i gruby. Bardzo się ich wstydziłam. Dzieci w podstawówce notorycznie uznawały Mamę za babcię, śmiały się z otyłości Ojca i z karykaturalnej czerwonej otoczki zwiędłych ust Matki.

Ona zawsze w tej samej fryzurze (ciemne, krótkie włosy zakręcone na wałki), żyjąca absolutnie poza nowoczesnością. Nie malowała paznokci, nie używała żadnych kosmetyków z wyjątkiem szkaradnej, marchewkowej szminki, która jeszcze dodawała jej lat, nie знаła niczego co modne i popularne, nie miała żadnych znajomych (nie licząc wścibskiej sąsiadki), przyjaciółek, zawsze w niezmiennej od lat kuchni stanowiącej transpozycję przedwojennej kuchni wołyńskiej, przekształconej na warunki socjalistycznej rzeczywistości z kartkami na żywność i niedostępnymi większości najprostszymi produktami. Liczyła wtedy zaledwie czterdzieści cztery lata, a w mojej świadomości była stara i pogrążona w przeszłości. Ciągle spała, ale oficjalną przyczyną nie była depresja. Mówiono mi, że Mama jest chora, ciągle na coś nowego. Kiedy któregoś dnia po powrocie ze szpitala obwieszczono mi, że Mama wyzdrowiała, ucieszyłam się, uznawszy, że teraz wreszcie nie będzie ciągle spać i spędzi czas na zabawie ze mną.

– No, od czasu do czasu będzie się musiała położyć – zastopował mój entuzjazm Ojciec i wszystko było jak dawniej. Zwycięstwo nad chorobą oznaczało udane usunięcie niezłośliwego guzka z piersi matki, nie zaś polepszenie jej kondycji psychicznej. Ojciec nawet w swej sylwetce miał jakąś doniosłość i autorytaryzm. Z powodu wysokiej rangi oficerskiej swą postawą wyrażał wysoką samoocenę i przeświadczenie, iż nie bez powodu rządzi i wydaje co dzień rozkazy, kierując setkami żołnierzy. Mierzyła mnie jego otyłość, nie znosiłam zapachu munduru, który codziennie po pracy wieszał do szafy, po czym ubrany aż nazbyt swobodnie (najczęściej w majtkach z nogawką i podkoszulku) zasiadał przy stole w salonie, rozpościarał przyniesioną w teczce gazetę, a Matka stawiała przed nim parujący talerz zupy. Gardziłam wszystkim, co

więzało się z wojskiem. Ale teraz, gdy upłynęło dwadzieścia kilka lat, wystarczy, że minie mnie mężczyzna w mundurze i poczuję lekką nutę tego specyficznego zapachu (mieszanki woni skóry, wody kolońskiej i grubego sukna), aby poczuć niezmiernie pragnienie znalezienia się w zasięgu życia tętniącego tym właśnie zapachem. Jeden z mundurów Taty wisi teraz w mojej szafie i czasami wyjmuję go z niebieskiego pokrowca z Ikei, po czym wtulam się w materiał jeszcze odrobinę przesiąknięty jego zapachem.

Nie wiem, od czego zacząć. Może od tego, że kilka dni temu zobaczyłam siebie w lustrze i nagle doznałam dziwnej mieszanki ekscytujących, a jednocześnie podszytych niepokojem odczuć. Oto stoję ubrana w kostium o nieco dziwnym kroju (poszerzana talia żakietu, duże, obszyte materiałem guziki, wszystko z dzianiny o dziwnej fakturze i barwie jaskrawej, trawiastej zieleni), w butach na wysokim obcasie, z lakierowaną torebką, uczesana w kok, bo znowu do mody wróciły lata sześćdziesiąte i fasony wzorowane na dawnych projektach domu mody Balenciaga. Wyglądam niemal jak Matka w moim wieku – nawet fryzury mamy podobne, chociaż ona nigdy nie była tak blada jak ja i nigdy nie przefarbowała włosów na rudo. Nie znałam jej takiej – zadbanej, szczupłej, pełnej życia, przedsiębiorczej, świetnie ubranej. Była gwiazdą w swoim prowincjonalnym światku. Moje fizyczne podobieństwo do niej to jednak nic. Pokrzykując na dzieci, coraz częściej upodabnam się do niej i cofam w czasie do dnia, kiedy to ja miałam sześć lat, a ona strofowała mnie, abym nie skakała po murku, bo spadnę. Amarant, kobalt, fuksja... Ulubione kolory wyrzuconych do śmietnika sukienek. Wypowiadałam ściszym głosem dziwne wyrazy, jakby samo określenie barwy przypisanej do niej słowem dawało jej dodatkowe, wzmocnione wrażenie. Och, jak mierzyła mnie obojętność wobec wyglądu, kalectwo nieukształtowanych elementów otoczenia i lenistwo w obliczu wymogu uprawiania piękna na wszystkich możliwych płaszczyznach istnienia. Nieustannie wypowiedane w myślach słowa biegły ku tym samym tematom. „Wszystko przemija” – wyśpiewywał głosem szansonisty z San Remo piosenkarz podczas występu na molo (jechaliśmy całą noc nad morze tylko po to, aby pójść na przedstawienie *Burzy* na prowizorycznej scenie ustawionej na plaży, gdzie wieczorny szum fal stanowił najlepszą oprawę dla inscenizacji). „Pozostaną tylko słowa” – ciągnął. „Cholera, nieprawda” – mówiłam, upajając się kolejnym kieliszkiem wina o karmelowym, jak zapewniano na etykiecie, posmaku, chociaż nikt oprócz mnie nie wyczuwał w nim podobnej nuty. Na rozkołysanych stopach miała lakierki w dziwnym kolorze jeżyny, a włosy bardzo ściśło zaczesane na czubku głowy w mały kok a la Mała Mi. Ilekroć mój wzrok spoczywał

na jej niespokojnych oczach, mój umysł uparcie zestawiał obraz jej nietuzinkowej osoby w eleganckich ubraniach z niezwykle piękną twarzą w chwili orgazmu, z jej widokiem w trakcie obrzydliwej choroby. Jakby była kobietą z *Dżumy* Camusa: chora, umierająca, szpetna, od której bohater ucieka na zawsze, mówiąc, że nigdy nie kochał jej bardziej niż w tym właśnie momencie.

„O Boże – pomyślałam nagle. – Przypomniałam sobie, kim byłam. I chciałabym bym być taka znowu, tylko ładniejsza (bez tej nonszalancji wobec ubioru i mody) i bardziej pewna siebie, pogodzona z niedoskonałością. Ja, idąca za rączkę z małą dziewczynką w sukience w paski...”.

Serce zabiło mi dzisiaj mocniej, gdy w trakcie oglądania nowej kolekcji ubrań w sklepie zobaczyłam koszulę z tkaniny we wzór niemal identyczny z tym, jaki miała jedna z sukienek Matki. Nie ma dnia, żeby nie stawała mi przed oczami jakaś część zaprzepaszczonej garderoby: zielony płaszcz o szerokich klapach i ściąganych w mankiet obszernych rękawach, spodnie-dzwony z fioletowego bistoru, ołówkowe spódniczki, w które nigdy bym się nie wcisnęła, albo sam deseń materiałów z czasów, kiedy Matka szyla ubrania u krawcowej z kupowanych z zagranicy materiałów i na podstawie wykrojów z „Burdy”.

Budzę się w środku nocy, przerażona rozmiarem własnej głupoty: jak mogłam nie zachować tych ubrań, dlaczego jak najszybciej chciałam pozbyć się jej rzeczy? Działaliśmy z bratem w takim pośpiechu, jakby od szybkości likwidacji śladów po domu rodzinnym zależały nasz spokój i zapomnienie o bólu, jaki towarzyszył miesiącom poprzedzającym odejście rodziców. A teraz dzień w dzień śnię o materiałach, wzorach, kwiatowych czy popartowych deseniach. Każda koszula, każdy detal wdiera się w moją pamięć. Instynktownie szukam śladu tamtych ubrań, tamtej świetności. Tegoroczna moda przychodzi mi z pomocą, przywołując szalone wzory i kolory, hipisowskie suknie do ziemi w kwiatowe desenie. Nawet nie przymierzając, kupuję bez zastanowienia rzeczy przywodzące na myśl dawne ubrania Matki i nie ma to znaczenia, czy w ogóle je włożę. Bezmyślnie nabywam to, co urzeka swoim pięknem, niczym eksponat, który warto zachować w szafie, bez rozpatrywania jego użyteczności i funkcjonalności. Beżowa jedwabna bluzka w delikatne kwiaty, suknia z nagimi ramionami, luźno spływająca do ziemi, z wielkim żółtym kwiatem wymalowanym na piersiach i brzuchu, szalone kropki i romby na sukience, szerokie spodnie z połyskliwej tkaniny, szmizjerka z haftowanym karczkiem obszytym zbiorem zabawnych guzików... Te stroje same w sobie są czymś wyjątkowym, są gwarantem obcowania z pięknem, a ja przecież obiecałam sobie, kiedy byłam dzieckiem, że uniknę szpetoty, tandety i bylejakości otoczenia.

Skoro współtworzy mnie przestrzeń wokół, robię wszystko, by otaczało mnie piękno. Mam wspaniale urządzone, pełne przestrzeni, bardzo jasne mieszkanie. W olbrzymim salonie, na szerokich sofach sadzam znajomych, jak ja i mój mąż pięknie i niebanalnie ubranych. Pijemy ulubione pinot noir i rozmawiamy. Myślę o tym, jaki wspaniały obraz tworzymy. Za szklaną ścianą mrok spowija nasz taras na dachu budynku, osadzony iglakami i udekorowany donicami kwiatów. Muzyka, która stanowi tło konwersacji, przywodzi na myśl feerię miejskich świateł. Rozmawiamy swobodnie o naszych podróżach, lubimy się przemieszczać, pociąga nas egzotyka, Madagaskar, Indie, Nepal, Seszele... Gdy towarzystwo wychodzi, wiem, że każda z tych pozornie ukontentowanych osób boryka się z własnymi demonami i nawet umiem je nazwać.

Przy szumie zmywarki rozliczam siebie, bo nie wszystko przecież można wytłumaczyć nerwicą. Dlaczego nigdy nie czuję się dostatecznie zadowolona, dlaczego wciąż mam zastrzeżenia do swojego życia? Za dużo wydaję. Kompulsywne kupowanie to moja specjalność, wszystko jest mi potrzebne, ciągle czegoś chcę, codziennie czegoś innego. Wciąż nowe torebki, buty, ubrania, biżuteria, książki, które zalegają półki eleganckich regałów wenge, nieprzeczytane nawet do trzydziestej strony. Te szminki, wciąż nowe i nowe, te kolczyki, te zabawki dla dzieci, sprawiające radość przez kilkadziesiąt minut, aby nagle umrzeć śmiercią spowodowaną brakiem zainteresowania. Domagam się ciągłych dostaw przyjemności. Małym jogurtem albo niskokalorycznym deserem wynagradzam sobie ciężar poczucia nie do końca udanego życia. Martwi mnie to, że za dużo piję, a jednak perspektywa wieczoru bez wina wydaje się trudna do zaakceptowania. Kiedy idę ulicą Francuską w kierunku przedszkola, mijam najpierw jeden *winebar*, do którego nie zaglądam, bo jest drogo i sprzedawca jest natarczywy, ale dalej znajduje się kolejny sklep, i następny, przy którym przypomina mi się cierpka przyjemność w ustach, to cudowne oszołomienie. Moja silna wola staje się coraz słabsza. W końcu jestem po ciężkim dniu pracy, czeka mnie zaraz robota na drugim etacie, w domu, przy dzieciach. Jak wypełnię pustkę wieczoru? Należy mi się coś od życia... Przy winiarni, która ulokowana jest (na moje nieszczęście) przy skręcie do bocznej uliczki prowadzącej do przedszkola, zwykle ulegam pokusie i w zawrotnym tempie wychodzę na ulicę, upychając w przepastnej torbie (jak dobrze, że takie teraz są modne) owiniętą w papier butelkę. Myśl o wieczorze staje się zaraz milsza, więcej zniosę, będę bardziej cierpliwa, bo kiedy wsadzę dzieci do wanny, naleję sobie ulubione pinot noir. Później obezwładni mnie kolejny kieliszek i dopiero kończąc trzeci, z żalem zakorkuję butelkę i schowam ją do lodówki – moje zabezpieczenie na kolejny dzień. Ciekawe, czy gdyby

teraz pozostawić to wszystko, przenieść się na wieś, gdzie obcuje się z przyrodą, podlega się w naturalny sposób przemianom zgodnym z rytmem natury, smutek i trwoga by minęły? Czy przestałyby mnie dręczyć objawy psychosomatyczne?

Mogłabym przecież małymi krokami poprawić moją egzystencję, zorganizować w pracy lekcje francuskiego z lektorem, wreszcie pójść na pilates albo jogę, skorzystać z rady dietetyka, zrobić kurs sommeliera, udoskonalić ten fizyczny filar swojego „ja”, zapalić w sobie iskrę wiary w konieczność zbawienia świata i oddać się w ręce ekoboga... Robię więc plany i chwilowo jestem tym podekscytowana. Trwam w tym podnieceniu, dopóki nie przychodzi wieczór, a wówczas nagle poczuje, że dzieje się ze mną coś niedobrego. Wróci przedsmak grozy oraz niewytłumaczalne przekonanie, iż za moment nadejdzie unicestwienie. Moje myśli głębiej, coraz docieklawiej eksplorują temat umierania. Dopada mnie trwoga. Zасыpiam na chwilę i zaraz budzę się cała rozdygotana. Leżę w ciszy i boję się, że się nie obudzę. Nie planuję już niczego, chcę tylko żyć, cieszyć się dziećmi. Mijają martwe godziny. Dobrze nam razem... Zagrzebałam się w fotografiach sprzed paru lat, niewywołanych i przez to zapomnianych, znalazłam je gdzieś w zakamarkach komputera. Naparły na mnie z ogromną siłą wyraziste wspomnienia wszystkich spacerów po parku, stanowiących scenerię dla kolejnej zmiany pory roku i zmiany wyglądu mojego i rosnących szybko dzieci. Te wszystkie części garderoby, moje różne fryzury, znikająca pucułowatość i coraz poważniejszy wyraz twarzy pozwoliły zobaczyć nasze życie w formie skondensowanego pictorialu, a jego prawdziwą, intymną historię mogłam odtworzyć tylko ja. Dowód istnienia, zaświadczenie naszego piękna, świadectwo wspaniałości, które należy kontynuować. Szczęście rodzinne, tak podstawowe i proste, niekiedy sprawia, że emocjonalna siła tej tkliwości jest nie do zniesienia. Tylko tyle i jednocześnie tak dużo.

Mój Dziadek był przedsiębiorczym człowiekiem łatwo nawiązującym kontakty z ludźmi. Najważniejsza dla niego była „familia” jego interlokutora – nazwisko sytuowało człowieka w odpowiednim miejscu w świecie, wynosiło lub upodlało, usprawiedliwiając jego los. „A jaka pańska familia?” – to pytanie zadawał jako pierwsze każdej nowo poznanej osobie i od razu wyrabiał sobie zdanie na jej temat. Jego nazwisko miało szlacheckie korzenie, wywodziło się od przodka, który przez udział w Powstaniu Styczniowym stracił cały majątek, tytuł szlachecki i wyładował na Syberii, a kiedy powrócił, dożył końca swoich dni jako zarządca na czyimś gospodarstwie.

Gdy Dziadek był młodym chłopakiem, brał udział w pierwszej wojnie światowej. W latach dwudziestych w poszukiwaniu majątku ruszył do Ameryki. Imając się przeróżnych prac, zgromadził tam pokaźną sumę dolarów, za które po powrocie do Polski kupił kawał ziemi na Wołyniu i założył gospodarstwo. Po tym jak stracił cały dorobek, do końca swoich dni żył w dwóch płaszczyznach czasowych, jak bohaterowie Sebalda, zawieszeni pomiędzy terażniejszością a traumą zafundowaną przez historię. Jego „teraz” toczyło się zawsze tam, pod perłowym stepem nieba, który nieustannie stał mu przed oczami. Żałuję, że nie miałam możliwości go zapamiętać. Zmarł, gdy miałam rok.

Babka całe życie ciężko pracowała. Fizyczna praca w gospodarstwie leczyła z marzeń i tkliwości, za które przyszło jej zapłacić kiedyś najwyższą cenę. Tak to sobie wytłumaczyła i nigdy po tym, jak udało jej się przetrwać rzeź na Wołyniu, nie zapomniała tej lekcji pokory. ‘ Nie znałam moich dziadków.

Mój Ojciec był oficerem, jednostką definiowaną we wszelkich aspektach przez armię i służbę Polsce Ludowej. Wojsko stanowiło jego świat, współtworząc wraz z nim inną kategorię ludzi gardzących życiem wiedzionym przez cywilów. Łatwo było urazić jego dumę i wyprowadzić go z równowagi. Pewny siebie i swoich racji, mimo autorytarnego stylu bycia zawsze w pewien sposób podziwiał osoby mające umiejętność pomnażania kapitału. Nigdy nie zgromadził fortuny ani nawet większych oszczędności, chociaż lodówka zawsze była pełna (zwłaszcza mięsa), uwielbiał powtarzać: „Dziecko, ludzie dla pieniędzy zrobią wszystko, dosłownie wszystko”.

Matka jako mała dziewczynka była świadkiem niewyobrażalnie tragicznej historii. Niepokój i zaszczepiony od dziecka lęk, który bardziej przeczuwała niż rozumiała, zniszczył jej słabą psychikę i napiętnował los nieustannymi obawami. Zakodowane we wspomnieniach pejzaże krainy utraconego dzieciństwa wywoływały sprzeczne uczucia nostalgii i obawy przed pozornym spokojem bezkresnego stepu.

Może już rosnąc w jej brzuchu, poczułam ten niezrozumiały lęk?

Moja babka funkcjonowała nieświadoma możliwości, jakie daje życie. Całkowicie pogodzona z prastarym porządkiem świata, dzielnie niosła swój krzyż przez wyznaczoną od dawna ścieżkę. Potem moja Matka widząc, jak wiele ją omijało i omija, dostrzegła marność swojej egzystencji, ale nigdy nie wyszła poza ramy losu, jakie wykuły jej okoliczności i bieg wypadków. I wreszcie ja, obciążona dziedziczną niemocą tych dwóch kobiet. Skończyłam

trzydzieści jeden lat, moje emocjonalne uzależnienie od rodziców wraz z ich śmiercią powinno teraz wygasnąć (ciągle jeszcze wydaje mi się, że obserwują mnie bacznie z zaświatów, wciąż słyszę ich autorytarne komentarze i widzę te pełne dezaprobaty albo podziwu miny), i może mam jedyną szansę na to, aby poczuć pragnienie życia i zaznać szczęścia. Na razie jednak użalam się nad sobą, pozbawiona tej permanentnej infiltracji w każdym aspekcie mojego życia, która z jednej strony straszliwie mi ciążyła, a z drugiej pozwalała na bezpieczne kontynuowanie tak dobrze znanej Matce skargi na los. Jestem więc teraz na takim etapie, na którym do mnie należy wola zaznania szczęścia.

Widzę ją bardzo dokładnie, jak siedzi przy kawiarnianym stolczku, sztywno spinając ciało. Jednocześnie eksponuje doskonałą figurę podkreśloną dopasowaną garsonką i zgrabne, założone ścisło jedna na drugą nogi w pantoflach na obcasie z lakierowanej skóry à la krokodyl. Wodząc wzrokiem po zadymionym pomieszczeniu, czeka na kogoś, z kim się umówiła. Gasi i za moment zapala kolejnego papierosa. Nie ma wiele czasu, musi jeszcze odebrać dziecko ze świetlicy, a zaraz zrobi się ciemno. Ma dopiero trzydzieści lat, idealne ciało, twarz jeszcze niezniszczoną przez przesadną ekspozycję na słońce, własne zęby z uroczą przerwą między jedynekami, które za kilka lat na skutek zakażenia będą usunięte, co spowoduje konieczność noszenia protezy nadającej twarzy zupełnie inny, sztuczny wyraz. Dłuższe, ciemne włosy, po urodzeniu drugiego dziecka ścięte na krótko i spalone trwały ondulacją, teraz jeszcze tapiruje i spina w modny kok, co w połączeniu z eleganckimi kostiumami w stylu Jacqueline Kennedy daje efekt – jak to się dzisiaj określa – zjawiskowej urody. To ostatnie chwile przed przemianą jej świetności. Wciąż czeka więc na to, co należy jej się od życia, żeby wreszcie było dobrze, żeby nie czuć strachu przed kolejnym dniem. Nie wie przecież, że będzie tylko gorzej – czeka ją więcej trudu przy wychowaniu kolejnego dziecka, więcej oczekiwań, których smutny finał ukoją tabletki i alkohol, coraz mniej siły i coraz więcej lat na karku. Potem zaś nastaną wielka pustka i szarość, totalne osamotnienie i w końcu to, czego najbardziej ze wszystkiego bała się w życiu – choroba nowotworowa. Jako akompaniament i jednocześnie opis tego statecznego obrazu kobiety we wnętrzu kawiarni w stylu lat sześćdziesiątych brzmi w mojej wyobraźni stara piosenka śpiewana przez Kalinę Jędrusik:

*I wciąż się na coś czeka,
Na coś co nie przychodzi
I wciąż się na coś czeka,*

*Na coś co nie chce przyjść,
I nie przyszło dziś,
I znów codziennie myśl, może dziś?
Może jutro?
I wciąż się na coś czeka,
I wszystko jest nie tak
Ty także nie jesteś tym, choć co szkodziłoby komu...
I znów nie udał się dzień...*

Pamiętam tę garsonkę, wisiała wraz z innymi starymi ciuchami w jednej z szaf – ołówkowa spódniczka i żakiet z zaokrąglonym kołnierzem i wielkimi guzikami. Miała kolor, który zawsze wydawał mi się wręcz okropny – nienaturalnie zielony, leśny i intensywny, jak niektóre plastikowe choinki albo lodygi sztucznych kwiatów. Kiedy byłam nastolatką, ubiór taki jak ten stanowił dla mnie szczyt brzydactwa, ale teraz widząc coś w podobnym stylu na wystawie sklepu, kupuję niemal bez zastanowienia po to tylko, aby ubranie wisiało w mojej szafie, najczęściej nienoszone, bo zwykle nie pasuje do mojej sylwetki klepsydry. Niekiedy łudzę się, że jeśli tylko byłabym piękna, niczego nie brakowałoby mi do szczęścia. To oczywiście nieprawda. Przecież Matka miała to, czego mnie zabrakło, gdy ruletka genów przy poczęciu przyporządkowała mi cechy zewnętrzne typowe dla rodziny Ojca, czyli figurę charakteryzującą się szerokimi biodrami, grubymi łydkami, a do tego dostała mi się okrągła twarz. I chociaż bardzo się staram, niebanalnie się ubieram i tuszuję mankamenty, modelując twarz makijażem, mocno podkreślając oczy, mam długie włosy, dające mi namiastkę wyglądu Romy Schneider, wciąż mi to nie wystarcza.

Wczoraj wybrałam się do kościoła, myślami błędząc gdzieś w krajach, które mogłabym zwiedzić, mężczyznach, którzy mogliby mnie kochać, i sukienkach, które włożyłabym, gdyby tylko moje ciało było doskonalsze. Gdy zabrzmiały pierwsze dźwięki *Pasji wg św. Mateusza* Bacha, bez przymusu poddałam się absolutnemu smutkowi, jaki niosła treść tej muzyki. Zabrzmiało „*Erbarme dich, mein Gott*”, wywołując we mnie nieopisane wzruszenie i zachwyt. Ekstatyczny akompaniament skrzypiec doprowadził mnie do łez, a te ciekły po policzkach spokojnymi stróżkami. Nie dbając o rozmazany makijaż, kontemplowałam smutek matki po umierającym na jej oczach synu, smutek uniwersalny, mój potencjalny ból. Chciałam rozpacać do wyczerpania zapasu łez. Nie zważałam na pytania ludzi obok mnie: „Co ci jest? Czy coś się

stało?”. To był impuls głęboko ukrytej, absolutnej rozpaczyny nad niedoskonałością świata i kalectwem człowieka. Może przebijała świadomość bezcelowości i przemijania. „Jestem nieudacznikiem jak każdy, jestem ułomna jak każdy, obiecuję, że nie będę już czekać, nie będę myśleć o doskonałości, spełnieniu, ekstazie i pełni. To nie nastąpi, nigdy nie nastąpi” –

powtarzałam, przepaszając w myślach za wszystkie jałowe dni, kiedy wciąż na coś czekam, a to coś nigdy nie przychodzi. A po tym wielkim szlochaniu zbieram się w sobie, bo trzeba szybko zrobić zakupy i przygotować obiad dla dzieci. Właściwie poczułam się głodna. Myśl o kawie i czekoladowym ciastku przywróciła mi siły witalne. Oto największa z tajemnic życia...

Konstancja patrzy w niebo na eskadrę bombowców

Równie nagle jak skończyło się lato, nadszedł moment oddechu, nierzeczywiste zatrzymanie ciągłego kołowrotu wydarzeń, pauza pomiędzy zakończeniem zbiorów i rozpoczęciem przygotowań do zimy. Konstancja stała na ganku, patrząc na złoto zalewające po horyzont pola, jeszcze bardziej nasyczone kolorem poprzez zderzenie z granatem nieba. Zbierało się na burzę. Czy znowu trzeba będzie czuwać w nocy z ubraniem i niezbędnymi rzeczami u boku, żeby w razie uderzenia pioruna jak najszybciej uciec? Może nawałnica przejdzie bokiem... Nagle dziwny warkot zwrócił jej spojrzenie ku chmurom. Zobaczyła lecącą daleko na południu eskadrę samolotów. Patrzyła, oswajając niepokój. Pocieszało ją to, co mówił Władysław, że wojna nie dojdzie aż za Bug. W takich sprawach nie kwestionowała jego życiowego rozsądku. Był pracowity i zaradny, to musiała przyznać, a jednak codziennie marzyła o tym, żeby coś przeżyć, żeby bawić się, tańczyć. Jak ona uwielbiała tańce, same nogi jej podskakiwały, ilekroć ktoś zagrał na skrzypcach! Ale gdyby miał chociaż dziesięć lat mniej, gdyby chciał się trochę rozerwać, a nie tylko opowiadał jak stary dziad te wspomnienia z Ameryki, w kółko to samo. Kiedy szykowałą się do ślubu, liczyła na to, że piękny dom i gospodarka wszystko jej wynagrodzą. „Zobaczysz, zaraz przyjdą dzieci, a nic tak nie zbliża ku sobie małżonków jak potomstwo” – tłumaczyła jej matka, z entuzjazmem kompletując batystowe koszule na wiano. Właściwie tak było, ale nic nie mogła poradzić, gdy oczy jej uciekały, jak tylko w ich zasięgu pojawiał się jakiś młody, przystojny mężczyzna. Zaraz czuła żal, że nie trafił jej się ktoś właśnie taki, tylko staruszek. Na szczęście robota zagłuszała te głupie myśli. Jak się wykonało wszystkie obowiązki, ciepły posiłek i herbata dawały tyle przyjemności, że wszystkie tęsknoty po prostu znikwały. Ciężka praca dobrze działała na jej umysł, czyściła go i przypominała, gdzie jest w tym wszystkim sens.

„Ależ ten wrzesień w tym roku ciepły, jak nigdy. Zaraz muszą przyjść chłód i ślota. Trzeba się wziąć za darcie pierza, może pojutrze? – myślała, czując wewnętrzny dyskomfort związany z tym beczynnym stanem. – Robić, coś robić – kołatało jej w głowie – do czego to podobne!”. Ale dom był posprzątny, podłogi wymyte, świeżo wyprane firanki jaśniały bielą, zwierzęta nakarmione, obiad prawie zrobiony, jeszcze tylko ziemniaki czekały na ugotowanie.

Wytarła dłonie o fartuch zasłaniający prostą sukienkę w kwiatowy deseń. Jutro do ich kolonii ma przyjechać fotograf, dzieciom trzeba włosy umyć, naszykować lepsze ubrania, garnitur, buty wypastować. Jaką bluzkę najlepiej dobrać do czarnej spódnicy? Pasowałaby biała, prosta z zażabotem, jaką widziała u Shultza w jego objazdowym sklepie. Mogła wtedy ją wziąć, chociaż ważniejsze były zamówione materiały na jesienne płaszcze, ciepłe ubrania dla dzieci, które już wyrosły z szytych w zeszłym roku. Kupiła tyle (nawet nowe patelnie i zestaw przypraw z Krymu), że Żyd zażądał aż czterech worków pszenicy i żyta. Nie targowała się z nim, bo zawsze jej sprowadzał, o co tylko poprosiła. Spokojny był i miał dziewięcioro małych dzieci do wykarmienia.

Ta cisza wypełniająca dom denerwowała ją. Zajrzała do dziecięcego pokoju, pozbierała z podłogi porozrzucone lalki i klocki. Przetarła brzegiem fartucha przęsła konika na biegunach, jakiego dzieci dostały na poprzednią Gwiazdkę. Wyszła na podwórze i skierowała kroki w stronę zabudowań gospodarskich. Krysia mignęła jej przy wejściu do kurnika – znowu szła podbierać jajka. Potem zanieś je w fartuszkach do wariatki Kurkowej, żeby wymienić na cukierki. W widocznym w oddali sadzie pojawiła się wysoka sylwetka Władysława przechadzającego się i przyglądającego ulubionym jabłonom.

– Gospodyni, pozwól gospodyni przyjść po południu radia posłuchać, wiadomości z frontu? – zapytał młody parobek, który robił coś przy kołach ich furmanki, wrywając Konstancję z zamyślenia. Kiwnęła głową. Co było robić, byli jedynymi w okolicy posiadającymi radio, czasami nawet trzydzieści osób gromadziło się pod oknem, żeby wysłuchać, co się dzieje na świecie. Zapewne zaczną dyskutować, spierać się, denerwować, aż trzeba będzie ich rozpędzać, jak tylko nadejdzie zmierzch. Kobiety plotkowały we własnym gronie ściszymi głosami, nie chcąc mieszać mężczyznom w swoje sprawy. Omawiały ostatnio przypadek rodziny młynarza z pobliskiej wsi, którego jedenastoletnia córka utopiła się w studni po tym, jak rzekomo nie wytrzymała już nocnych wizyt w jej sypialni, składanych zarówno przez ojca, jak i brata. Teraz każda się bała, że w jej rodzinie mogłoby dojść do podobnej bezbożności. Nakłaniały jedna drugą, aby zwracać uwagę, czy mąż nie podszczypuje lub nie podgląda, jak córki szykują się do snu. Dlatego też Konstancja bacznie przyglądała się, ilekroć Władysław sadzał Krysę na kolanach, głaskał ją i opowiadał te swoje czułości. „Moja ty córuniu, królowo najpiękniejsza. Zobacz, jaką ci papa jabłonomkę zasadził, chodź, tatko da ci świeżego miodu prosto z ula, jaki ja zebrał dla ciebie” – mówił z takim zachwytem. Aż ją to denerwowało, była zazdrosna, że jej

nigdy, przynigdy nie prawil takich komplementów, czasami tylko, gdy chciał dostać to, na czym mężczyznom najbardziej zależy, zachwycał się jej „cycuszkami” i gładką skórą. Kiedy jednak już kończył ruszać się w niej i dyszeć, jego czułość ustawała jak ręką odjął. Serce jeszcze biło jej trochę mocniej, ale on już zasypiał. Bardziej zajmowały ją konkretne wiadomości, niż dyskusje o wojnie i o tym, co będzie dalej. Niemcy podobno pobici pod Łowiczem. Tutaj, na Wołyniu wydarzenia te wydawały się tak dalekie i nierealne jak wojna domowa w Hiszpanii. „U nas na razie dzięki Bogu spokój” – gadali ludzie, chociaż coraz więcej mówiło się o uciekinierach z Polski, o rządzie, co ucieka do Rumunii i lada chwila będzie tędy właśnie przejeżdżał. Ona nie umiała się tym dostatecznie przejmować. Planowała, co potrzeba dzieciom na jesień: nowe płaszcze, dla Władysława też, a i Wieńkowi przydałby się nowy. Myślała o nowym kozuchu i butach obszytych futrem, takich jakie widziała w Łucku na wystawie u najlepszego szewca. Jutro rano przyjedzie w końcu krawiec z jesionkami i paltami na ostatnie przymiarki. Znowu będzie problem z Krystyną, która schowa się w stajni, przestraszona opowieściami Limanowej o tym, że Żydzi łapią dzieci i robią macę z ich krwi. Każda wizyta krawca kończyła się awanturą i płaczem, bo dziewczynka za nic nie pozwalała, aby Schulz zdjął z niej miarę i spokojnie pomierzył ubranie. Nie pomagało, że dawał jej słodczyce i zapewniał, że sam ma trzy córeczki, takie jak Krysia. Czasami wydarzenie to kończyło się wymierzeniem klapsów albo kilku razów ścierką – nerwy puszczały, a bezcenny na gospodarstwie czas płynął w trakcie tych fanaberii.

„I krawiec, i fotograf...” – Konstancja westchnęła, przechodząc nieopodal składziku na narzędzia, gdy nagle do jej uszu dobiegło dziwne kwilenie. Pomyślała najpierw, że znowu okociła się jakaś kotka, ale odgłos zaczął przywodzić na myśl kobiecie pojękiwanie przy porodzie. Cofnęła się kilka kroków i idąc za słyszanyimi odgłosami, podeszła do ściany. Przystawiła oko do szpar w deskach i krew dosłownie w niej zawrzała, gdy rozpoznała w obściskującej się parze wewnątrz zagraconego pomieszczenia Wieńka – zaledwie dziesięcioletniego brata jej męża i ukraińską dziewczkę, Marię, czy jak jej tam było na imię. Dziewczyna, oparta o rząd stojących jedna na drugiej starych skrzynek, oczy miała utkwione w chłopaku, dyszała ciężko, podczas gdy on w ciszy patrzył na nią z taką intensywnością, że aż ścisnęło żołądek. Powoli, delikatnie macał dłońmi jej oswobodzoną z białej bluzki drobną pierś. Jasne włosy, które za dnia cesała w sięgający pośladków warkocz, miała potargane, a nogi – Konstancja dopiero teraz to zauważyła – całkiem nagie. Waclaw stał ze zsuniętymi do kolan spodniami i tylko patrzył. W końcu wyszeptał jej coś do ucha. Nie była pewna, ale zdawało się,

że pytał, czy zechce za niego wyjść. Jakaś gwałtowna złość i gniew uderzyły z wielką gwałtownością, aż Konstancja z całych sił musiała się powstrzymać przed wdarciem się do środka. Wściekłość, jaką poczuła, rozpałała jej policzki. Z bijącym zawrotnie szybko sercem przesunęła się nieco w bok, aby zobaczyć twarz Wieńczysława. Przyłgnął ustami do warg dziewczyny, powoli ją całując. Intymność tej sceny była nie do zniesienia. Konstancja patrzyła zachłannie, poddając się nagłemu żalowi, że jej nigdy podobna namiętność nie spotkała. Władysław nigdy nie dotykał jej tak powoli. Widocznie brat męża wiedział, że Marysia nie będzie uciekać, że czeka na każdy jego gest i ufa okazywanej miłości. Ta scena nie przypominała harców w sianie, jakich parę lat temu w trakcie wesela siostry Konstancja niechcący była świadkiem. To nie miało nic wspólnego z tamtą zachłannością i nie było obrzydliwe. „Władysław się wścieknie” – myślała z satysfakcją, czując, że zaraz musi mu donieść o podpatrzonym incydencie. Ile sił w nogach pobiegła do sadu. Przecież Władysław mówił bratu, że ma zakończyć zabawy z tą dziewczyną, a teraz ten chce się z nią żenić!

– Idź, idź szybko do schowka, zobacz, co tam Wieniek z Ukrainką wyprawiają! – zaczęła wołać. Jej mąż ruszył bez słowa. – Ziemniaki wstawiaj, chce mi się jeść – rzucił przez ramię.

Kiedy wchodziła na ganek domu, widziała Marysię biegnącą w te pędy w stronę lasu. Rozpałała pod kuchnią i poszła zawołać dzieci na obiad. Kiedy już wszyscy zasiedli przy stole w największym pokoju, nie śmiała się odezwać, widząc zacięty wyraz twarzy męża. Krysia jak zwykle nie chciała jeść, tylko bawiła się, jeżdżąc widelcem po talerzu i uklepując polane zawiesistym sosem ziemniaki.

– Przystaw się bawić, jedz! Jesteś chuda jak szczapa! – wrzasnęła do dziecka. Chłopcy zajadali bez słowa, chcąc jak najszybciej wrócić do zabawy. – Wieńczysław przyjdzie? – zapytała. – Nie – burknął Władysław.

– I co, i co mu powiedziałaś? – dopytywała się.

– No co? Wojna przecież jest, o innych sprawach teraz trzeba myśleć. Wiadomo, co z nami będzie? Może przyjdzie zaciągnąć się i walczyć za Polskę? Powiedziałem, że ja jestem głową rodziny i nigdy, przenigdy nie zgodzę się, żeby zanieczyścić naszą rodzinę ukraińską krwią! Nasz przodek był szlachcicem, nie jesteśmy byle kim! Ja mu tłumaczyłem nie raz przecież, żeby dał sobie spokój, bo tylko kłopoty z tego będą. Nie chcę, żeby mi tu jej ojciec, stary Iwańczuk, przychodził bluzgać! Jak chcesz się żenić, to proszę bardzo – będziesz sam, bez rodziny, bez grosza, bez dachu nad głową, bo ja tu jestem najważniejszy, ja ci mówię, że cię

wyklnę i nie dostaniesz nic z ojcowizny! – Zadumał się na moment, po czym konfrontując jak zwykle wszystko z własnymi doświadczeniami, zaczął: – Ja też miałem propozycję ożenku z tą bogatą Żydówką, którą ja poznał na statku do Ameryki! A jaka szykowna była, cała obwieszona złotem. Jej matka prosiła, żebym wziął ją za żonę. Ale ja przecież nie mógł tego zrobić, nie mógł zaprzedać dla pieniędzy naszej polskiej familii i zmieszać ją z żydowską! – grzmiał.

Krystyna pokiwała głową, słyszała tę historię niezliczoną ilość razy. Przebieg całej sprawy wprawił ją w dobry humor. Poczowała satysfakcję i wróciła do jedzenia. Życie jest ciężkie, to nie zabawa w jakieś tam amory, od których przewraca się w głowie. Wynosząc brudne talerze do kuchni, wyjrzała jeszcze przez okno. W dali Wieniek pędził przez pola na koniu. „Głupi chłopak” – pomyślała i westchnęła.

Noc okazała się spokojna. Burza przeszła bokiem.

Wienczysław wrócił dopiero po trzech dniach, brudny i śmierdzący łajnem. Władysław spojrział na niego groźnym wzrokiem i powiedział tylko: „Konia mi prawie żeś zajeździł, nakarm go szybko”. Przeszli nad sprawą do porządku dziennego, nie wyjaśniając już sobie niczego.

Nowy Rok 1940 przywitano w atmosferze przesyconej niepokojem i czarnowidztwem. Po tym jak wyszedł już ostatni z odwiedzających ich dom z życzeniami noworocznymi, Władysław usiadł, nalał do szklanki samogon i zapatrzył się w swój nowy paszport.

– Ja się doczekał, ja teraz obywatel Związku Radzieckiego! – mruczał pod nosem. Od kiedy skonfiskowano im radio, nie było już nawet skąd zaczerpnąć odrobiny nadziei. Nawet ksiądz złamany zaistniałą sytuacją rzucił na nabożeństwie przytłaczające stwierdzenie: „Nie ma już Polski”. Wszyscy posępnie milczeli.

Święta Bożego Narodzenia też nie były takie jak zawsze. Nałożony na ich kolonię obowiązek dostaw żywności dla Rosjan doprowadził do niedoboru pewnych produktów. Po raz pierwszy przyszło oszczędzać przyprawy, miód, a nawet jaja dodawane do ciast i wypieków. Kiepski nastrój przełożył się na zanik apetytu, a typowe obżarstwo zamieniło się w upijanie się na smutno i zbiorowe czarnowidztwo. Baby, jak zwykle przepracowane po wielodniowej robocie w kuchni, jak co roku zasypiały na pastercie, ale w domu Błońskich, gdzie część pomieszczeń zmuszeni byli oddać na siedzibę lokalnej Selrady, świętowało się skromnie i po cichu. Nie chciano prowokować odrażającego Rosjanina, śpiącego na pryczy rozstawionej przy biurku, przy którym codziennie przyjmowano interesantów i wydawano nakazy dostaw. Non stop pod ich

domem kręciła się warta. Jedynie ich pierworodny, Janek, miał wstęp do ich kwatery, gdzie donosił drewna na opał i czasami wodę do samowara.

Na przełomie stycznia i lutego chwyciły takie mrozy, że nawet przy rozpalonym do granic możliwości piecu zimno im było w izbie. Rosjanie poprosili o skóry i koce i poowijani siedzieli za biurkiem, raz po raz dolewając samogonu do kubka z herbatą. Janek ciągle donosił im drewna. Pewnego dnia wychodził już, gdy usłyszał, jak tamci wspominają coś o liście kułaków, którzy pierwszymi transportami mieli być wywiezieni na Sybir. Zaciekawiony, nie domknął drzwi, ale przyczał się za nimi i zaczął podsłuchiwać. Z bijącym sercem jako jedno z pierwszych usłyszał własne nazwisko. Czym prędzej pobiegł powiedzieć o tym rodzicom. – O Boże ty mój – jęknęła Matka i zaczęła płakać.

– Cicho, kobieto! Trzeba się ratować! Wyciągaj szybko kiełbasy, kaszanki, szykuj zakąski. Krysia, pomóż mamie nakrywać do stołu – dyrygował Władysław, po czym wziął głęboki oddech i ruszył do pomieszczenia zajmowanego przez Selradę. W szybkim tempie na stole w głównym pokoju pojawiła się gorzalka, mięsa, kiełbasy, ogórki. Rosjanie nie odmówili wypicia wódki, dzięki czemu trzy godziny później, niezłe wstawieni, obiecali, że skreślą rodzinę Błońskich z listy na Sybir, za co zainkasowali po dwie złote pięciodolarówki przywiezione z Ameryki oraz po złotym pierścionku, jakie Konstancja wyciągnęła ze szkatułki klejnotów odziedziczonych po babce. – Boże, gdyby nie to, żeś ich podsłuchał, to my byśmy dzisiaj byli na tych saniach – Konstancja szeptała synowi do ucha, tuląc go do siebie kilka tygodni później, kiedy psy ujadaniem pobudziły ich w środku nocy. Wyglądając przez okno, zobaczyli zamieszanie przed domem sąsiada, którego w asyście pokrzykiwań, strasząc karabinem, sadzano z całą rodziną na sanie. – Na Sybir ich biorą! – zawodziła Konstancja. – O Boże, o Boże!

Andżelika wciąż szuka Dolores

Czas zatoczył pętlę – kończy się kolejny Festiwal Filmowy w Wenecji. „Znowu przy porannej kawie przeczytam gazety z wieściami z festiwalu i recenzjami pokazywanych filmów” – to była moja pierwsza myśl po przebudzeniu. Dzisiejszy poranek należał do jednego z tych przesyconych światłem, pełnych zachęty, a nawet obietnicy. Od pierwszych chwil łaknęłam przyjemności, czegoś nieoczekiwanie dobrego, co mogłoby zdarzyć się akurat tego dnia. Przepelniała mnie radość, szybko wybrałam ubranie do pracy (to było proste i dosyć ekscytujące, bo miałam po raz pierwszy włożyć coś, co kupiłam zaledwie wczoraj), nie nakrzyczałam na córeczkę, która beztrzesko wylała na czysty obrus sok z czarnej porzeczki i powiedziała, że to nie jej wina. Na razie ani jednego wstrząsu serca i okropnego skurczu gardła, ani jednego gwałtownego galopu. Lepiej niż zwykle zniosłam rozstanie z małym w przedszkolu, gdzie wył i krzychał: „Dlaczego mnie zostawiasz, dlaczego mnie już nie kochasz?!”. W samochodzie celowo opowiedziałam Andrzejowi mój sen erotyczny z Dolores w roli głównej. Podkolorowałam nieco sceny pieszczot w malinowym chruśniaku, aby miał o czym fantazjować w trakcie nudnych posiadówek na zebraniu zarządu. Ale Dolores naprawdę mi się śniła. Naga, jak zawsze wyrozumiała i wulgarna. Taka pozostała w mojej wyobraźni, choć teraz ma ponad trzydzieści lat i nie może już być kimś, kim była jedenaście lat temu. Może właśnie dzisiaj się uda ją odnaleźć? Z zapalem po raz tysięczny przeszukam portale społecznościowe, które mnożą się jak grzyby po deszczu, aż w końcu natknę się na jakiś ślad. Myślałam o przetrząsaniu Live Journal, z impetem wkraczając do kawiarni przy rondzie ONZ, aby kupić wielki kubek kawy i kanapki na wynos. Stojący w kolejce przede mną mężczyzna spoglądał na mnie z zainteresowaniem, co dodatkowo poprawiło moje samopoczucie. Szukanie Dolores, oto kolejna lina przeciągająca mnie przez życie...

Trzeba siebie nauczyć pokory, trzeba wypracować w sobie mechanizmy realizujące quasi-szczęście misternie budowane na wątych linach, które przeciągają przez życie. Stworzyć gorset zapewniający stabilność w czarnych godzinach rozpacz. Być architektem konstrukcji własnej woli, opartej na kompromisie między nieskrępowanymi marzeniami a wymogami świata, trzymać nieustannie w ryzach swoje rozbuchane wyobrażenia o szczęściu, które wcale nie zależy

od czynników zewnętrznych i biegu wydarzeń. Oczekiwanie takiego stanu ducha jako czegoś, co daje los, jest pomyłką porównywalną z dziewczęcymi wyobrażeniami o miłości.

Czasami przecież jestem prawie szczęśliwa. Na przykład kiedy czuję się piękna i potwierdza to jakaś fotografia. Wkroczyłam do budynku biura, rozdając uśmiechy, aż natknęłam się na spóźnioną pracownicę, która nie tłumacząc się wcale, zmierzyła mnie od stóp do głów, pytając lakonicznie: – Co, nowa spódnica?

– Tak, takie byle co, kupiłam wczoraj, wracając do domu – odparłam, udając obojętność, chociaż chciałam, aby nowy ciuch został zauważony.

– A jak tam karta kredytowa, wytrzymuje? – usłyszałam pytanie.

– Och, moja karta już sięgnęła dna... – Uśmiechnęłam się uprzejmie, dodając: – To na razie, widzimy się za piętnaście minut na spotkaniu działu – i skręciłam w stronę mojego gabinetu. Tamta poszła do siebie, gdzie teraz, to pewne, w gronie kilku pracowników obgada moją rozrzutność, gruby tyłek i aspiracje modowe. Nic nie rozwściecza tak bardzo jak zasobne konto i możliwość nieustannego kupowania. Nagłe wezwanie od dyrektora wybiło mnie z planowania wieczornych przyjemności (lepsze wino, na przykład porządna rioja, od której ściernie całe podniebienie, a wcześniej lody o smaku belgijskiej czekolady i może trochę porządnego sera), ale kiedy ponownie usiadłam przy biurku i zaczęłam tracić czas na poszukiwania śladów Dolores w sieci, ktoś zadzwonił z ważną sprawą.

Telefonuję do Anity, mojej przyjaciółki. Pracowałyśmy razem w firmie konsultingowej i w trakcie lunchu razem wyprawiałyśmy się na jedzenie suto zakrapiane winem, aby później wracać w szampańskim humorze na rauszu do biura. Dzisiaj głównie do siebie dzwoniśmy, czasem spotykamy się na obiedzie. Ja opowiadam historie z mojego życia w zabawny sposób, koloryzując i dramatyzując, mam słowotok i dużo się śmieję. Anita chwali się swoimi sukcesami w pracy, informuje mnie o kolejnych kochankach i erotycznych wjazdach do Turcji, skrobankach i śmiałych planach na życie. A gdy się z nią wylewnie żegnam, odchodzę z poczuciem przegranej i wstyd mi za moje nudne, poukładane życie.

Anita zawsze stanowiła pewien substytut Dolores – jej wykształconą, dobrze usytuowaną materialnie i społecznie akceptowaną wersję. Była również wyjątkowo piękna, przyciągająca mężczyzn jak magnes, szalona (zwłaszcza pod wpływem alkoholu) i trochę szurnięta, choć ambicje miała możliwe do zrealizowania (własne centrum odnowy biologicznej, a nie „stadiony dla wszystkich”), a mężczyzn traktowała jako partnerów i źródło, z którego można czerpać nie

tylko seksualne przyjemności, pieniądze, ale też wsparcie zapewniające realizację własnych celów.

Każdy musi mieć jakieś liny przeciągające go przez życie... Ja też szukam wciąż czegoś, czego mogę się uczepić, pragnąć i tym samym czerpać z tego pragnienia energię, aby przeć do przodu, czekać na kolejny dzień, i tak w kółko, do końca... Co dalej, co dalej? Mogłabym zająć się ogrodem (gdybym tylko miała dom i działkę) – ktoś powiedział, że zakładanie ogrodu jest jak pisanie powieści. Mogłabym pójść do szkoły fotografii, mogłabym skupić się na ciele i doprowadzić je do lepszego stanu, zaplanować zabiegi, ćwiczenia, dietę, peelingi i depilację, operację piersi, które obecnie, po dwóch cyklach karmienia wyglądały dobrze wyłącznie ukryte w biustonoszu, mogłabym pisać dziennik albo blog, mogłabym zostać wolontariuszką w hospicjum albo zająć się sportem, przejść na wegetarianizm, nauczyć się tańczyć, przeczytać historię powszechną, nauczyć się włoskiego... Zaczęłam się zastanawiać, czy w dzisiejszym świecie istnieje silnie oddziałująca na ludzi ideologia, wokół której można skupić swój los, i jedyne, co przyszło mi do głowy, to antyglobalizm i ekologia. Czy bycie w opozycji do systemu rozumianego jako sieć powiązań decydentów tego świata i podległych im instytucji kontrolujących cały glob nie przyniosłoby satysfakcji? Czy życie w sposób chroniący środowisko nie byłoby wystarczającym wyzwaniem? Ekologiczny dom, produkty *fair trade*, żadnych sieciówek wykorzystujących dzieci z Trzeciego Świata, staranny dobór żywności i tak dalej. W co innego można wierzyć, skoro ani religia, ani polityka nie mają wpływu na codzienność? Każdy kolejny dzień przypomina szarpaninę i pęd. Mijają kolejne godziny, dni, byle do weekendu upływającego równie niespokojnie, w zawrotnym tempie. Dzieci rosną, praca nudzi i coraz bardziej frustruje. Byle dalej, byle dalej, a przecież ten kołowrót kiedyś zatrzyma się na dobre. Wsiadam z zatłoczonego tramwaju i szybkim krokiem kieruję się na Francuską, mijając stragany z kwiatami i festiwalem dyń różnej wielkości. Buty mnie cisną, telefon dzwoni. W myślach kombinuję, jakie produkty kupić, aby podać kolację, co zjedzą dzieci. Szukam czegoś na wieczór, jakiejś atrakcji i nagrody za kolejny wypełniony pracą dzień. Mijam bez żalu piwnicę z winami. Jakiś problem z pracy rozprasza moje planowanie wieczoru i wnosi niepokój. Przy sklepie Bachus z żalem spoglądam na wystawione w szybie butelki burgunda. Skręcam w zasłaną liśćmi uliczkę prowadzącą do przedszkola i mijając kolejny na mej drodze sklep z winami, ulegam pokusie i szybko kupuję chilijski shiraz. Do przedszkola docieram na kilka minut przed zamknięciem. Uśmiechy, zdawkowe rozmowy, synek krzyczy: „Chcę mieć inną mamę, taką

mamę, która nie oddaje mnie do przedszkola!”. Szlocha, bo zgubił rysunek, nie chce trzymać się za rękę, a przy przejściu dla pieszych buntowniczo oświadcza, że przez pasy przechodzi się na czerwonym świetle i tak go właśnie nauczono na spotkaniu z policjantem. Ekologiczna siatka z pomidorami i jabłkami ciąży niemiłosiernie, a ukryta w torbie butelka uwiera mnie w żebra. Teraz do szkoły, po drugie dziecko. Serce bije mi tak mocno, że wydaje mi się, że za moment po prostu się zatrzyma. Starając się panować nad głosem, łagodnie przemawiam do malucha, który nie chce dalej iść. Następnego dnia przed obiadem odebrałam telefon z przedszkola, że mały ma gorączkę i trzeba go szybko zabrać do domu. W pracy oczywiście goniły nieprzekraczalne terminy odpowiedzi na dziesiątki zapytań. Serce zaczęło kołatać, ciśnienie skoczyło mocno do góry. Wsiadałam do taksówki, gdy przeniknęło mnie poczucie trwogi. Idąc szybkim krokiem do przedszkola, myślałam o tym, co mnie czeka – czuwanie przy chorym, marudnym synku, wizyta u lekarza, wykupienie lekarstw, podanie ich, a co z jutrem? Powinnam być w pracy, na negocjacjach. Znowu to upokarzające tłumaczenie się, że dziecko chore, że nie mam go z kim zostawić. Ból palców wywołany przez ucisk nowych butów sprawia, że z trudem stawiam stopy na chodniku. Ołowiane niebo zwiastowało deszcz.

Myślę o widzianej na jednej z wystaw bluzce, zwykłej białej w czarne paski, ale z modnymi znowu, uformowanymi ramionami, takiej jaką ma kobieca postać na słynnym zdjęciu z 1969 roku Henriego Cartiera-Bressona, na którym para całuje się, siedząc przy kawiarnianym stoliku na bulwarze Diderota. Do tego luźne łańcuchy białych i czarnych pereł, czarne spodnie z wysokim stanem... Liczę w głowie pieniądze, jakie zostały mi przed wyczerpaniem limitu kart kredytowych. Myślę o ubraniach, jakie chciałabym włożyć, o czerwonej sukience z drapowanym dekoltem, o płaszczu w kolorze wielbłądzim, o skórzanej kurtce, o klasycznych kostiumach a la Chanel i nowoczesnych płataninach łańcuchów, o torebkach, o sukienkach w kobiecych krojach, z paskiem w talii, takich jakie miała Matka. O jej sukni balowej ze srebrnym karczkiem i szerokich rękawach z czarnego tiulu gnieczonego w harmonijkę i broszce w kształcie liścia z imitacji szmaragdów w złotej oprawie, nieco przypominającej nagrodę Złotej Palmy w Cannes ...

Na szczęście tym razem infekcja u dziecka okazuje się niegroźna.

Oto obraz szczęścia – tak wydawałoby się prostego i powszechnego. Idziemy na spacer do Ogrodu Saskiego w Święto Niepodległości. Jest wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku jesienny dzień.

– Uwielbiam tak iść z nimi za rączkę – roztkliwia się Andrzej, trzymając za prawą dłoń córeczkę wystrojoną w czerwony płaszcz, a za lewą synka machającego łobuzersko białoczerwoną flagą. W tym momencie go kocham i myślę o tym miękkim, ciepłym miejscu na jego nagiej klatce piersiowej, które tworzy zachęcający rowek przy ułożeniu na boku i pochyleniu barków do przodu. Płacąc oszałamiającą cenę, kupuję dzieciom obrzydliwe błyszczące balony, z którymi biegają jak w amoku po parku, nie interesując się jeźdźcami na koniach, przebranymi w historyczne mundury ani orkiestrą dętą, wygrywającą podniosłe piosenki. Podniecenie i radość dzieciaków wkrótce ustępują totalnej frustracji, gdy wstążka jednego z balonów urywa się i jest za krótka, a drugi niespodziewanie szybuje w objęcia beztroskich chmur. Jednak mnie słodczy dnia nie zakłóca nawet pamięć o pomordowanych i sentymentalne piękno uliczki, która jako jedyna zachowała autentyczną zabudowę po likwidacji getta. Po pozbawionych tynku murach prześlizguje się jęzor pomarańczowego słońca. Umieszczono na nich wydrukowane na płótnie sepiowe portrety pięknych kobiet, mężczyzn i dzieci malowanych jeszcze przed wojną, nieświadomych, rzecz jasna, potwornego losu, jaki miał przypaść niedługo im w udziale. Podobnie jak wiele płaczących się po tym terenie osób, robię kilka fotografii zaniedbanych, ciemnych podwórek, po czym wchodzimy do Cafe Próżna, gdzie dzieci kontynuują swój pełen wyrzutu dialog dotyczący wypuszczonego balona. Przepelnia mnie uniesienie wywołane obrazkiem rodzinnego szczęścia, dokazujących, kochanych maluchów. Andrzej jest mniej niż zwykle zgorzkniały i znudzony, żartuje i relacjonuje zabawne zdarzenie z pracy. Ten obraz podbudowuje mnie, ale też boli. Kawa smakuje idealnie i czuję się ładna. Piękne dzieci i nas roześmianych dokumentują udane fotografie, których posiadanie znaczy dla mnie więcej niż świadomość doznanych emocji. Kiedy wracamy do samochodu, na fasadzie mijanego kościoła dostrzegam plakat z napisem „Bóg ci wystarczy”. Dlaczego nie zawsze wystarcza?

Krystyna marzy o niebieskiej sukience

Miała zły dzień. Była w pracy ciągle podenerwowana. Wdrażała nowego pracownika, protegowanego jej przełożonego, którego interesował tylko przydział jak największej ilości pomocy biurowych, dostęp do telefonu i ryczałt na benzynę. Poszły jej dzisiaj dwie paczki papierosów i nie wiadomo, ile razy zalewała wrzątkiem fusy kawy w szklance, żeby tylko przetrwać do popołudnia. Stukot maszyn do pisania potęgował jej migrenę. Delegowała zadania, wzywała do siebie pracowników, wypytywała co i jak wykonano, zrugła księgową za opieszałość, zagroziła obcięciem premii magazynierowi. Pełne podziwu pochwały dotyczące jej stroju czy uczesania, zwykle mile łechcące jej ego, dzisiaj nie pomagały.

– Ech, Krysia, jesteś kobietą idealną! Zawsze w sukience, zadbana, podobna do Zośki Loren! – kadził jej kadrowy, gdy w trakcie odprawy dyskutowali o kwestiach związanych z wprowadzeniem zakładowego regulaminu pracy. Jego komplementy nie poprawiły jej nastroju.

Pod koniec dnia wezwał ją jeszcze dyrektor i częstując koniakiem, w niedwuznaczny sposób zapraszał na bankiet z okazji dziesięciolecia zakładów. Kładąc jej dłoń na ramieniu, niby od niechcienia głaskał jej ramię, w końcu parkując ręką na biodrze.

– Oj, widziałem jak tańczysz twista! Złoto nie dziewczyna! – Śmiała się jak trzpiotka (zauważyła dawno temu, jak mężczyźni lubią, gdy śmiała się beztrosko) i nie obiecując niczego konkretnego, wymigiwał się z bankietu, mówiąc, że nie ma opieki do dzieci.

– Kiedyś pójdziemy, na pewno, może w przyszłym miesiącu? – mówiła.

– Zastanów się, Krysia, nad studiami, przypominam o propozycji. Byłabyś świetną prawniczką! – powiedział na odchodne. Z ulgą opuściła w końcu gabinet dyrekcji Zakładów Przetwórstwa Mięsnego i z dumną miną, wyprostowana wróciła do swojego pokoju. Mijała po drodze korytarz pełen co chwila otwieranych drzwi, niejednoznacznych min przechodzących kobiet, zazdroszczących jej figury, perfekcyjnego stroju (włosy w kok, klipsy z imitacji pereł, obcisła sukienka o kształcie klepsydry) i stanowiska, oraz lubieżnie uśmiechających się mężczyzn, którzy nie kryli pożądlivych spojrzeń.

– Ach te nogi! – skomentował kierownik Zjednoczenia, cmokając.

– Władek, daj spokój! – Krystyna westchnęła i poszła dalej.

Wychodząc z biura z żakiem w ręce, pozwoliła sobie na luksus spaceru do oddalonego o osiemset metrów od biura przedszkola. Pierwszy zwiastun lata wprowadził ją w jeszcze większe rozżalenie i poczucie niesprawiedliwości, podsycane przez zachłanne spojrzenia mijających ją mężczyzn. Oceniała szybko odbicie swojej sylwetki w szybie sklepu i poczuła gorzką satysfakcję – obecna moda jej służyła, szła długości mini idealnie pozwoliła eksponować zgrabne nogi. Jej uroda nadal wzbudzała podziw. Od wiosny do jesieni opalona na murzyna, szczupła, oczy podkreślała zgodnie z modą mocną kreską, a włosy czesała w kok lub z filuternie wywiniętymi końcami. Zawsze dobierała ciekawe klipsy i chustki. Uszyła kilka sukienek o prostym kroju przed kolano, z wcięciem w pasie, z materiałów sprowadzanych z Niemiec w żywych kolorach i kwiecistych deseniach. Do tego zawsze wkładała buty na obcasie.

Gdy spoglądała na swoje odbicie, znowu wracały złość i poczucie, iż zasługuje na dużo więcej, niż oferuje jej życie. Co ją czeka dalej? Ludzie szykują się na urlopy, planują wczasy, a ona jak zwykle sama, słomiana wdowa. Znowu, jak w poprzednich latach, zabierze dzieci na turnus wczasów organizowany przez zakład pracy. Może tym razem nad morze? Ledwo Stefan wróci z poligonu, już wyjedzie do Warszawy na studia do Akademii Oficerskiej, przez pięć lat niemal non stop nie będzie go w domu... Zresztą jeśli nawet jest, wcale na nią nie patrzy, nie docenia jej urody, nie tak przynajmniej, jak by chciała. Minęła wystawę sklepu odzieżowego, z żalem spoglądając kątem oka na niebieską sukienkę na manekinie. Cóż, nie było mowy o takim wydatku, kiedy do wypłaty pozostało jeszcze dziesięć dni. Wchodząc do budynku przedszkola, przypomniał o sobie niepokój związany z brakiem miesiączki, która spóźniała się dziewięć dni. Jej szwankujące od lat jajniki już nieraz doprowadzały do podobnej sytuacji, kiedy trzeba było zastrzykiem wywoływać okres, a od zaburzeń hormonalnych bolała potwornie głowa. Ale ryzyka ciąży nie mogła całkowicie wykluczyć. Ostatni raz obcowała z mężem tuż przed jego dwumiesięcznym wyjazdem na letni poligon. Jak zawsze po wstępnym etapie pocałunków i wstrzemięzliwej czułości czekała tylko na koniec, na ten jęk, za który tak pogardzała każdym mężczyzną, aby móc w spokoju zapalić papierosa i porozmawiać o tym, co aktualnie ją niepokoiło, skłonić go do działania, unaocznic mu jego niezaprzeczone, genetyczne lenistwo. Ściany trzeci rok niepomalowane, piec wymaga remontu, dzieciom trzeba kupić sandały i letnie ubranka, zapłacić za kolonie. Dzieciaki miały niespecjalny nastrój, marudziły i płakały. Ciężko było je namówić na wycieczkę do dziadków. Wizja lizaków i naleśników babci podziałała na tyle, że udało się wsiąść do autobusu. Jechała, żeby się pożalić i poskarżyć na swój los, ale kiedy

tylko przestąpiła próg domu, w którym dorastała, poczuła jeszcze większą samotność. Rodzice właśnie byli w trakcie kłótni, Matka wykrzykiwała zdenerwowana:

– Ty wiesz, co on zrobił?! Naprowadził mi tu jakichś Murzynów! Ziemniaki wstawiałam, jak słyszę dzwonek do drzwi, otwieram, a tam stoi jakaś baba, czarna jak smoła, i chłop, czarnusieńki, i pytają o Ojca! Obiadu im musiałam dać, aż strach teraz, talerze trzeba wyparzać, czy co! Już sąsiadka z naprzeciwka była się pytać, co to za Negry tu byli. Stary dureń, musiał się popisać, jaki to on światowy, przyjaciel Murzynów! – Ja ich spotkał pod sklepem, ledwo parę słów po polsku znają, nie mogli się dogadać. Powiedziałem sklepowej, że ja w Ameryce był, ja Negrów znam! Ja po angielsku do nich przemówił. Biedni, nikogo tu nie znają, na studia na zoologię przyjechali z ciemnej Afryki!

Zajęci sobą, ledwo zwrócili uwagę na wnuki, które domagając się jedzenia doprowadziły do uspokojenia nastrojów.

– Już, już, babcia naleśniki robi. – Matka zarzuciła poliestrowy fartuch w niebieskie kwiaty i ruszyła rozpalać pod kuchnią. – Jakaś ty chuda, Krystyna, skóra i kości. – Ojciec pokiwał głową, po czym wlepił wzrok w telewizor i przestał się nią interesować. Matka nigdy nie była specjalnie uczuciowa, Ojciec również nie angażował się emocjonalnie. Na co liczyła? Od zawsze była pozostawiona sama sobie. Dla nich liczyła się tylko praca, pogoń za podołaniem wszystkim tym obowiązkom codziennego utrzymania gospodarki. Nigdy nie mieli czasu, a kiedy zatrzymywali się na moment, to tylko dlatego, że zmęczenie ścinało ich z nóg. Pamiętała jednak jak przez mgłę utraconą idyllę dzieciństwa, kiedy jeszcze przed strasznymi wydarzeniami na Wołyniu wiedli dostatnie życie, a Ojciec sadzał ją na kolanach, obcałowywał „swoją słodką królową” (Matka podejrzliwie obrzucała go czujnym wzrokiem, bo nigdy nie wiadomo, do czego chłop jest zdolny), kroił gruszki zerwane z ich sadu. Uwielbiał dzieci. Ilekroć z odwiedzającymi go sąsiadami napił się samogonu, w środku nocy prowadził ich do sypialni dzieci i pokazywał, jakie ma skarby, zupełnie jakby nie znali jego synów i córki. Masakra z lipca czterdziestego trzeciego zmieniła go na zawsze. Czasami wyobrażała sobie, jak musiał się bać, słysząc te niewiarygodne okropieństwa o ludziach płonących w pożarach, patrząc na ciała zamordowanych dzieci, ich porozrywane członki, wieszane na gałęziach drzew. Nie do zniesienia musiał się wydać lęk przed utratą potomstwa, gdy kocha się tak mocno, że serce niemal pęka. Od tamtej pory nigdy już nie pozwolił sobie na tkliwość, nawet gdy mały Fredzio umarł w bydłącym

wagonie w drodze do Polski, nikt po nim nie zapłakał. – A gdzie stryj Wieniek? – zapytała Krystyna.

– Zaraz pewnie wyjdzie ze swojej przybudówki, chory jakiś. – Matka wzruszyła ramionami.

Gdy dzieci usiadły przy stole do jedzenia, Ojciec skupił się na wmuszaniu w nie potwornych ilości pływających w śmietanie placków. Zadowolenie wzbudzał w nim chyba jedynie widok znikających w buziach kolejnych kęsów. Jedzenie było najważniejsze, żyło się po to, aby trwać, a trwać można, jedynie jedząc. Kiedy masz co włożyć do ust, utrzymujesz się na powierzchni, spełniasz swoją rolę. Sama również w ten sposób rozumiała funkcję rodzica.

Do pokoju cichutko wszedł zgarbiony stryj. Był młodszy od Ojca, a wyglądał jak staruszek. Jak zawsze milczący, nieobecny. Od czasów, gdy Ojciec nie pozwolił mu na ślub z Ukrainką, wydawał się trochę niedorozwinięty. Zawsze przy nich, żył cichutko i spokojnie, bez żadnych potrzeb i wymagań, nic nie miał do powiedzenia i niczego od nikogo nie chciał. Nie słuchał nawet tego, co mówili inni, tylko mechanicznie głaskał kotkę, która zawsze za nim się płątała. Krystyna z posępną miną paliła papierosa i wodziła wzrokiem po bardzo skromnym wyposażeniu pokoju, pociemniałym, już niemal niewidocznym wizerunku Matki Boskiej Częstochowskiej, całej w zieleniach, cudem ocalałej z pożaru gospodarstwa na Wołyniu.

– Naprawdę, jak wróciłeś do kolonii, wszystko było spalone z wyjątkiem tego obrazka? – zapytała, wywołując ulubiony temat, jakim były wspomnienia wielkiej ucieczki i pożaru, który strawił niemal cały ich majątek, ledwo dwuletni wielki dom, zabudowania gospodarskie, przepiękny, tak pielęgnowany sad. – Wszystko poszło z dymem! A jakże! – przytaknął Ojciec.

Kiedy zaczynała się ta słyszana już ze sto czy nawet dwieście razy opowieść (wygłaszana przez Ojca podniesionym, pełnym emocji głosem, z dopowiedzeniami Matki wtórującej w tle w opisach okropieństw), czuła się bezpiecznie. Głupie pomysły, mrzonki o lepszym losie znikwały i zaczynała znowu doceniać to, co ma. Tak naprawdę nigdy nie brała na poważnie komunałów w stylu miłość czy przyjaźń. Sama myśl o miłości wywoływała w niej pełną pogardy niechęć. Była czymś bardziej żalosnym niż wiara w biblijne bajki o Adamie i Ewie albo w Świętego Mikołaja. Kilka zwierzęcych ruchów biodrami, kilka jęków, ulga jak po wypróżnieniu, niesmak i żal – oto miłość, jakiej można doświadczyć. A przyjaźń? Ciągła rywalizacja, ciągłe współzawodnictwo komu się lepiej wiedzie. Czym jest to wszystko, jak zostaje się w życiu bez niczego i nie ma co

włożyć do garnka? Jak mówił Ojciec, Bogu trzeba dziękować za każdy dzień w zdrowiu, bez cierpienia, kończony we własnym łóżku, z pełnym brzuchem.

– Do dziś nie mogę odżałować, że wszystkie cenne przedmioty zawiązałem w te piękne dywany! Ty nawet, Krysia, miałaś tam swoją najpiękniejszą lalkę, kupioną w sklepie w Łucku na ulicy Słowackiego. Ubrana była w piękną suknię w różowe falbany! I srebrne sztuce tam były, papiery wartościowe, jakieś akcje, weksle, biżuteria kupiona od Żyda na statku z Ameryki, perły moje, prawdziwe! Wszystko się spaliło przez te dywany, które mimo że zakopane pod ziemią, w beczkach, zajęły się od tego pożaru! – wspominała Matka. Krystyna kiwała głową ze smutnym wyrazem twarzy. Nagle uświadomiła sobie, że już nie pamięta, czy w ogóle widziała kiedyś szczerze śmiejącą się Matkę. Chyba nigdy...

– Nie martw się, Krysia, zaciśniesz zęby, wytrzymasz jakoś, a za kilka lat będziesz panią oficerową! Dadzą wam lepsze mieszkanie, lepsze zarobki, będziesz nie byle kim! – mówiła jej Matka na odchodnym.

– Ach – wzdychała Krystyna – w pracy dyrektor kadrowy powiedział mi, że mogliby mnie skierować na zaoczne studia prawnicze, widzą we mnie potencjał. Mogłabym zajmować wysokie stanowiska...

– Daj spokój, dzieci małe, o nich trzeba myśleć, kto się nimi zaopiekuje? Matką jesteś i żoną, nie zapominaj o tym! – Matka tylko machnęła ręką. Kiedy wracała już do domu, pokonując z trudem prowadząc na czwarte piętro schody, na klatce spotkała wynoszącą właśnie śmieci sąsiadkę, jej najbliższą koleżankę Teresę. Wymieniły kilka zdań, a Krystyna korzystając z miłego tonu rozmowy, odważyła się zagadnąć na koniec:

– Nie pożyczłabyś mi ze dwieście złotych do pierwszego? Jak tylko Stefan wróci, dostanie pensję.

– Oj, Krysia, kiedy wam się w końcu ułoży? Żal mi ciebie, ciągle sama. Żebyś chociaż miała swobodnie z czego żyć... Pożyczę ci, tylko pogadam z Leonem. Dobranoc. A, jeszcze jedno! Przyjdiesz do mnie do szpitala w piątek? Jutro mam zabieg. Już drugi raz nie uważaliśmy w tym roku... Przyniosłabyś mi jakieś owoce.

Krystyna zapewniła, że oczywiście przyjdzie, po czym ukrywając swoje upokorzenie, poszła dalej na górę. „Tej to się życie układa – pomyślała ze złością i żalem. – Złapała lekarza z prywatną praktyką! Nic nie musi robić, siedzi w domu, z dziećmi, zawsze ma zapas gotówki. Ale z drugiej strony, jest gruba, bez porównania brzydsza ode mnie. Jeden syn urodził się z

padaczką...” – robiła w myślach porównanie między swoim losem a losem sąsiadki. Wychodziło mniej więcej po równo. Z myślą, że uroda i świetna figura zawsze będą przeważać szalę na jej stronę, Krystyna przestała myśleć o swoim niesprawiedliwym losie. Kiedy Stefan zatelefonował późnym wieczorem, z nieukrywaną satysfakcją doniosła mu, że Teresa idzie na kolejną skrobankę.

Kiedy dzieci już zasnęły, a ona w przerywanej dalekim odgłosem tramwajów ciszy miasta paliła papierosa w pościeli, myślała, jakby to było, gdyby wiodła takie życie jak Teresa, nie miała kłopotów finansowych, dobierała do woli ubrania i dodatki, cieszyła się idealnym domem i mężem codziennie w domu na kolacji... Nie zaznała szczęścia w życiu. Może w piątek wyjdzie wcześniej z biura, przygotuje jedzenie i pojedzie z dziećmi nad jezioro, żeby posiedzieć nad wodą chociaż kilka godzin. Dni są coraz dłuższe. Bez dokuczającej łuszczycy jej ciało w kostiumie kąpielowym prezentowałoby się wprost idealnie. Sięgnęła do torebki po relanium, żeby złapać chociaż trochę snu przed kolejnym dniem. „Ach, siedzieć tak i patrzeć na wodę, na zielony horyzont drzew, patrzeć i patrzeć...”. Ale presja kolejnego dnia wyrwała ją z marzeń. Rano czekało ją szykowanie kanapek, ubieranie dzieci do szkoły, odprowadzanie, bieg do tramwaju... Czuła ucisk w przetyku, jakby zaczynało brakować jej powietrza, za chwilę zacznie się dusić, a jest sama, tylko ona i dzieci. Jeśli coś by się wydarzyło, nie ma nawet jak wezwać pogotowia... Z trudem łapała powietrze. Po chwili oddech się wyrównał, uspokoiła się. Relanium zaczynało działać. Zasypiając, postanowiła, że jutro kupi tę niebieską sukienkę z wystawy. Zasluguje na to!

Andżelika rozmawia z dentystką-intelektualistką

Już w trakcie wizyt w gabinecie stomatologicznym, w którym w końcu podjęłam się doprowadzić moje uzębienie do stanu idealnego, wytworzyła się między mną a dentystką jakaś więź sympatii i wzajemnego uznania. Szybko okazało się, że dzielimy problem nerwicy i miewamy podobne objawy psychosomatyczne. Nie wiadomo, w jaki sposób, gawędząc, zanim znieczulenie zaczęło działać, rozmawialiśmy o atakach paniki, jakbyśmy wymieniały opinie na temat trudności w stosowaniu diety albo problemach z wychowaniem dzieci. Ona komplementowała moje oryginalne stroje i fryzurę, ja okazywałam uznanie jej wspaniałej figurze, która jak na kobietę czterdziestoletnią po dwóch porodach była fantastyczna i dla wielu (włączając także mnie) nieosiągalna. Wychodziłam z jej gabinetu nie tylko z poczuciem, że o siebie dbam, ale zawsze podbudowana miłymi słowami, a także zrelaksowana. Podczas gdy dentystka robiła swoje, ja bujałam w obłokach, weryfikując katalog najnowszych marzeń.

Wreszcie gdy wybieliła mi zęby i nie pozostało już nic do poprawienia, zaproponowała przejście na „ty” i plotki przy kawie. Imponowała mi swoim silnym charakterem i przedsiębiorczością – należała do typu ludzi, którzy mówią innym, jak mają żyć, i wydają się bardzo kompetentni w przekazywaniu dobrych rad. „Kobieto, naucz się wreszcie przyjmować komplementy i miłe komentarze na swój temat” – nieustannie mnie pouczała, gdy krygowałam się lub zaprzeczałam, słysząc coś pozytywnego z jej ust. Ponadto mimo zawodu, jaki wykonywała, była bardzo obyta kulturalnie, chodziła do opery i teatru, na koncerty i warsztaty kulinarne. Wyznała w trakcie naszej pierwszej wizyty w kawiarni, że napisała książkę o dziadkach i ich życiu w żydowskiej społeczności małego miasteczka pod Kielcami, o tym jak szli trzydzieści kilometrów do pociągu jadącego do Auschwitz. „Wiem, że nie mam szans na publikację, kto chciałby to czytać... – mówiła. – Gdybym to jednak wydała, byłabym chyba pierwszą dentystką na świecie, która została pisarką!”. Andrzej podjechał po mnie któregoś wieczoru, gdy stałam pod zielonym neonem kliniki dentystycznej i rozmawiałam z lekarką. Określił ją jako kolejną świrowatą osobę, która z nieznanых przyczyn do mnie łągnie. „A może się w tobie zakochała? Ciągłe telefonuje, prawi ci komplementy, może jest coś między wami? Nie to, że jestem zazdrosny. Nawet bym się ucieszył na mały trójkącik, gdyby tylko był to ktoś

atrakcyjniejszy” – kpił. Spotkawszy się w orientalnej restauracji, zaczęłyśmy od standardowej oceny naszego stanu psychicznego, posługując się już kodem typu „galopujące serce”, „przerywany sen”, „paniczny lęk”. Ona miała „te dni” ostatnio w związku z podejrzeniem guzka w piersi, ja zaś w trakcie wyjazdu nad morze, gdzie chociaż było pięknie, nie wiedzieć czemu nocami miałam wrażenie, że nie mogę oddychać i serce przestaje mi bić. Ona szybko poznała moją historię traumy związanej z chorobą rodziców, a ja przyczyny, które wywołały u niej objawy psychosomatyczne.

Narzekałam na Andrzeja. Wygarnęłam mu, że jest nudny, że poza pracą niemal nic go nie interesuje (ewentualnie wyjazdy w męskim gronie na nurkowanie w egzotycznych rejonach świata), że mnie zaniedbuje, jest krytyczny wobec wszystkiego, w nic się nie angażuje, a ja chcę czuć jakieś emocje, że coś się dzieje, czuć żarliwość.

– Odpuść mu, facet zasuwa, aby zapewnić tobie i dzieciom byt, pomyśl też o nim. Sama coś zaproponuj! Nie możecie zostawić dzieci pod opieką choć na kilka dni i wyjechać gdzieś, gdzie będziecie mieć czas dla siebie i na to, aby zrobić coś niestandardowego? Ja, kiedy widzę, że emocje w moim związku zaczynają się ograniczać do wyrzutów wobec drugiej osoby, i że zapala mi się w głowie czerwone światło, mówię sobie, że trzeba zastosować remedium. Wówczas wyjeżdżamy we dwoje na weekend, w góry, żeby pochodzić, albo do Krakowa powłóczyć się po mieście To bardzo pomaga, daje siłę, aby trwać dalej. – Tak, wiem, masz rację. Narzekam, narzekam, chcę nie wiadomo czego, a potem dzieci zaczynają chorować, koncentrujemy się na nich i nad tym, aby wrócić do tej normalności, która wydawała się tak nudna. I niczego już wtedy nie pragnę, tylko żeby razem to przejść. Nie zaprzęłam sobie głowy tym, czego mi brak, ale o tym, jaką mam wspaniałą rodzinę. – A widzisz!

– To ja jestem siłą sprawczą w tym związku, muszę rzeczywiście zaplanować jakiś wyjazd, marzy mi się Sycylia! Standardowo zakończyłyśmy rozmowę konkluzją, że tak naprawdę nic nam nie dolega, jesteśmy zupełnie zdrowe, tylko mamy nie po kolei pod sufitem i chcemy za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę zwłaszcza naszych partnerów, którzy niedostatecznie zauważają nasze potrzeby.

Kładę się już spać, kiedy nagle ciszę przerywa dzwonek telefonu. Starając się zapobiec obudzeniu dzieci, rzucam się do aparatu i słyszę szloch dentystki.

– Kto dzwoni o tej porze? – pyta Andrzej wścickłym tonem. – Znowu twoja dentystka?

– Cicho! – syczę, osłaniając dłonią aparat. – Właśnie się dowiedziała, że zmarł jej brat.

Andżelika marzy o domku z ogródkiem

Kiedyś nie zależało mi na zmianie mieszkania, mimo że wielu naszych znajomych ewoluowało w kierunku bogatych przedmieść lub podwarszawskich miejscowości, gdzie osiedlali się w wielkich domach, z których dojazd do centrum przekraczał godzinę. Nie wiedzieć czemu (pewnie z nudów, z potrzeby dokonania jakiejś zmiany, aby coś się znowu działo) zakiełkowało we mnie pragnienie większej przestrzeni, ogrodu, w którym biegałby pies, a ja przesiadywałabym wieczorami, serwując posiłki na wolnym powietrzu.

Może bardziej nawet niż na samym domu zależy mi na tym, żeby coś urządzić, wykańczać od zera, dekorować, dobierać elementy, stworzyć wizję i powoli ją realizować. Chodzi może o samo przedsięwzięcie, o danie upustu wyobraźni w zakresie wzorów, deseni, kolorów i artystycznej oprawy codziennego otoczenia. Jednak Andrzej nie podziela moich pragnień. – Przecież jest nam tu dobrze, nie można chcieć zbyt wiele – mówi, nie podnosząc wzroku znad gazety. Zaczynamy się kłócić. Wykrzykuję, że nie po to pracuję i wychowuję dzieci, żeby nawet nie mieć głupiego ogródka. Moje argumenty przemawiające za większym metrażem, możliwością kupna psa i życiem w bliskości z przyrodą torpeduje, wypominając długie na kartach kredytowych i podkreślając problem związany z dojazdem do pracy.

– Udowodnij mi, że potrafisz cokolwiek zaoszczędzić, a pomyślę o powiększeniu kredytu! – proponuje. W końcu wymiana zdań kończy się po tym, jak z wściekłością rzucam w jego stronę patelnię. – Prawie uderzyłaś dziecko! – krzyczy Andrzej i sprawdza, czy naczynie uszkodziło egzotyczne drewno na podłodze. Dzieci płaczą i patrzą skonsternowane.

Kilka godzin później nagła złość mija, chociaż nadal się dąsam i wyłuszczam mężowi zastrzeżenia, że niedostatecznie się stara, za mało mi pomaga, nie ma ambicji, dotarł do stosunkowo wysokiej pozycji w korporacji i interesuje go tylko utrzymanie tego stanu. A mógłby przecież chcieć więcej, mieć dom z prawdziwego zdarzenia, pracować na własną rękę, rozwijać się i budować coś nowego. Nie ma polotu, nie ma aspiracji. Jego dewiza to: „żeby tylko nie było gorzej”, a moja: „mam wszystko, chcę więcej”.

– Myślisz, że ja lubię moją pracę, że chodzę tam codziennie z przyjemnością? Też nienawidzę korporacji, ale wiem, że mam kredyt do spłacenia i dzieci do utrzymania. Ty żyjesz

ponad stan, bezustannie chcesz więcej i więcej, zadłużasz się, a ja muszę potem spłacać twoje karty kredytowe! – Kłótnia zaczyna się od nowa.

Siedzę przy biurku w pracy i zmagam się z projektami, audytami, wewnętrznymi procedurami, których przydatność jest wielce wątpliwa, aż w tej monotonii i ciszy dochodzę do stanu, kiedy zdaje mi się, że rozerwie mnie od wewnątrz narastające rozgoryczenie, że nagle wydam z siebie gwałtowny krzyk sprzeciwu przeciwko piekłu, w jakie wpadłam, podejmując pracę w korporacji. Byłe do przerwy na posiłek, byłe coś się wydarzyło. Przeglądam sklepy internetowe w poszukiwaniu czegoś, co stanowiłoby „wartość dodaną” w mojej i tak zbyt okazałej garderobie. Zaraz kilkoma kliknięciami znowu obciążę kartę i przez moment będę podekscytowana oczekiwaniem na przesyłkę, a potem wrócę do redagowania idiotycznego raportu, bo przecież muszę pozyskać środki, aby koło toczyło się dalej...

– Dlaczego nie zmienisz pracy? Poszukaj czegoś bardziej interesującego. Przecież jesteś taka energiczna, kontaktowa, mogłabyś rozkręcić własny biznes, zastanów się – namawia mnie przez telefon Anita. Nasze rozmowy utraciły dawną intensywność, a drogi życiowe totalnie się rozminęły. Oficjalnie wciąż tytułujemy się przyjaciółkami, jednak więź, jaka nas łączyła kilka lat wcześniej, osłabła.

– Wiesz, że z dwójką małych dzieci nie mogę sobie pozwolić na siedzenie po godzinach, tutaj jest nudno, ale mam możliwość wyjść wcześniej i wziąć od czasu do czasu zwolnienie. Nie mogę już tak pracować jak kiedyś, kiedy całe wieczory, a czasem noce, zarywałyśmy w pracy – tłumaczę. – Tak, tak – przyznaje. Kiedy pytam, co u niej, chwali się, że schudła ostatnio sześć kilo, właściwie bez żadnej diety, tylko dzięki masażom, na które chodzi dwa, trzy razy w tygodniu, i że jedzie do Birmy, bo potrzebuje odpoczynku od polskiego piekła i odmiany w egzotycznej scenerii. Poza tym zrobiła sobie tatuaż (już trzeci, nad kością ogonową) i zaczęła korzystać z porad stylistki poleconej jej przez znajomą. Już przeszły przez etap doboru kolorów i selekcji rzeczy z jej garderoby. Idzie też na wernisaż znajomego fotografa, zerwała znajomość z trenerem piłki nożnej (tym, który preferował stosunki analne i kazał jej kupować drewnianą biżuterię oraz okulary w modnych oprawkach), przespała się ze swoim byłym – pod nieobecność żony przyjechał ją odwiedzić, i zaczęła się spotykać z kolegą jeszcze z podstawówki, z którym kiedyś, dawno temu się przespała, ale wówczas był żonaty i czekał na narodziny dziecka. Teraz jest rozwiedziony, z małżeństwa nic nie wyszło, a facet jest adwokatem i specjalizuje się w gruntach warszawskich.

– A co z waszą podróżą do Ameryki Południowej, może pojedziecie w tym roku? Teściowa nie zaopiekowałaby się dziećmiakami? – zapytała na koniec. Na szczęście zaraz musiała kończyć, bo dzwonił do niej ktoś ważny.

Kiedy odkładałam słuchawkę, poczułam zażenowanie, że w moim życiu nie dzieje się nic ekscytującego (nie licząc wyprawy do opery i szybkiego drinka, przedstawienia w przedszkolu i wyleczonej w końcu anginy u dziecka). Wiem, że większość planów Anity nie przechodzi do fazy realizacji, ale gdybym mogła opowiedzieć jej o tym, że kupujemy dom, czułabym, że też idziemy do przodu, rozwijamy się i powodzi nam się w życiu. O podróży do Peru, którą planowaliśmy przeszło sześć lat temu, nawet już nie rozmawiamy. Pomijając kwestię skomplikowanej logistyki pozostawienia dzieci pod czyjąś opieką, nie myślę już o takim przedsięwzięciu, chociaż podróż – o ile już się rozpocznie – jest moim żywiołem. Entuzjazm i chęć zwiedzania, spontaniczność i brak strachu, jakie odczuwam, pojawiając się w nieznanym miejscu, są nie do zniesienia, jak twierdzi Andrzej, który wszystko musi mieć z góry zaplanowane, zarezerwowane i przemyślane. A jednak Ameryka Południowa mnie przeraża, bo boję się tam polecieć... Każdy lot, zwłaszcza kilkugodzinny, napawa mnie długotrwałą trwogą, przywodzi myśli o śmierci i niewysłowiony lęk. Czy nie dlatego postanowiłam zajść w ciążę, żeby ustrzec się przed tą podróżą? Przekonałam Andrzeja, że już czas na pierwsze dziecko, że na Peru – o którym tak marzył, od kiedy przeczytał książki Vargasa Llosy – trzeba jeszcze poczekać.

Wczoraj znowu nie spałam, zmagając się z oślizgłym poczuciem, że dzieje się ze mną coś złego. Walczyłam z nadchodzącym atakiem paniki, zestawiając w głowie ubrania z dodatkami, tworząc w myślach wyrafinowaną stylizację, do której muszę tylko dokupić długi wisior (najlepiej z imitacji postarzanego złota) i znaleźć w zawalonej szafie nieużywaną od dłuższego czasu klasyczną torebkę w kształcie kufierka. Ta idea bycia piękną i interesująco ubraną również narodziła się z nudy i potrzeby odmiany egzystencji. Jakbym na przykładzie Matki nie mogła wyciągnąć wniosków, że bycie ładną i ubraną lepiej od innych nie przynosi szczęścia. Jednak próbuję. Znowu usłyszę komplementy (od kobiet, które nie mogą się nadziwić mojej inwencji) i skupię na sobie spojrzenia (przede wszystkim mężczyzn spoglądających z niezrozumiałym wyrzutem lub lubieżnym podtekstem).

Teraz z werwą przystępuję do przeszukiwania portali z branży nieruchomości. Dzień w dzień oglądam oferty, niekiedy dzwonię, pytając o konkretne lokum. Frustruję się i nie myślę

realnie, zdaję sobie sprawę, że nie stać nas na to, co mi się podoba, a to, na co moglibyśmy sobie pozwolić, razi wręcz swoją brzydotą, bylejakością albo brakiem gustu. Z trudem namawiam Andrzeja na kilka wizyt w potencjalnie dostępnych dla nas domach i znoszę krytykę – ten jest za daleko od lasu, ten za blisko, przy tym słyhać ulicę, tamten ma szambo, a ten kiepską podłogę... I tak bez końca. Oglądamy domy w budowie, których doprowadzenie do stanu używalności zbyt wiele by nas kosztowało, wchodzimy do domów, gdzie nadal mieszkają ludzie. Wystrój niektórych z nich (na żywo tak inny od tego na fotografiach) sprawia, że natychmiast chcę uciekać.

Po jednym z domów położonym w sosnowym lesie w podwarszawskiej miejscowości oprowadza nas brzuchaty właściciel w różowym sweterku z logo Ralpha Laurena. Już w pierwszym zdaniu informuje, że posiada obywatelstwo Niemiec i całe wyposażenie lokum nabył właśnie tam. Sam mieszka obok, w wielkim, otynkowanym na różowo pałacu z niegustownymi wieżyczkami. W porównaniu z nieruchomością, którą odwiedzamy, wygląda jak stajnia albo budynek gospodarczy. Ze zblazowanym wyrazem nalanej twarzy prowadzi nas po „luksusowych”, jak je określa, wnętrzach, urządzonych dla swojego wybitnie uzdolnionego syna. Ten jednak „zmienił plany i chce sobie sam coś zbudować”. Każda z trzech łazienek jest wyposażona w wanny z hydromasażem i podłączenia pod telewizory. Gdy wyrażam zdziwienie tymi instalacjami, właściciel obrusza się: „Proszę pani, mój syn nawet w trakcie korzystania z toalety coś zawsze ogląda. On jest przyzwyczajony do luksusu!”.

Wychodzimy zdeglustowani potencjalnym sąsiedztwem i jedziemy oglądać kolejny dom, i kolejny. Wracam przybita i zniechęcona, aby od poniedziałku znowu przetrząsać serwisy internetowe i wypełnić puste godziny nadzieją na znalezienie czegoś wspaniałego.

Staram się oceniać nieruchomości racjonalnie, choć wracając do domu, czuję tylko zrezygnowanie. Czy naprawdę nowe mieszkanie miałyby nadać nową jakość mojemu życiu? Żaden z oglądanych domów nie wywołuje we mnie pragnienia na tyle silnego, aby go sobie nie odpuścić.

Nazajutrz, gdy z bukietem roześmianych słoneczników w dłoni idę Francuską i planuję zjeść posiłek z rodziną w jednej z trattorii, gdzie panuje bezpretensjonalna swoboda i jada się przy stolikach wystawionych na chodnik, podchodzi do mnie jakaś kobieta z aparatem i prosi, abym pozowała do zdjęcia, które będzie ilustrować artykuł pod tytułem *Sielskie życie na Saskiej Kępie*. Rzeczywiście, przytakuje, wspaniale się tu mieszka. Jak wioska w mieście, zielona

enklawa z uroczymi knajpkami i kawiarniami, niewiarygodną ilością kwaciarni, sklepów winiarskich i straganów z owocami i warzywami. Gdzie byłoby nam lepiej? Co ja sobie, głupia, myślałam...

Andżelika jedzie na cmentarz

W pierwszą rocznicę śmierci Matki padał lodowaty deszcz. Andrzej został z dziećmi, a ja zmuszona byłam samodzielnie pokonywać tę długą drogę przez płaską, pozbawioną drzew przestrzeń pełną nagrobków. Matka nieustannie śniła mi się, okazując swoje niezadowolenie z faktu, że nie dbam o nagrobek. Oczami wyobraźni widziałam ją, jak z dezaprobatą śledzi gdzieś z góry, jak biegam po sklepach albo idę do kina w czasie, który mogłabym poświęcić na wizytę na cmentarzu. Chcąc zaznać krótkotrwałego spokoju, poczułam się na tyle silna, aby pójść tam dzisiaj. Kupiłam najdroższe wieńce sztucznych kwiatów i największe znicze. Wybierałam skrupulatnie, wciąż w towarzystwie Matki bacznie przyglądającej się, czy nie decyduję się przypadkiem na coś taniego albo żółtego. Już miałam zgodzić się na czerwone róże, gdy nagle stanął mi przed oczami znany grymas, okazywany zwykle na widok prezentu-niespodzianki, podarowanego jej na imieniny czy urodziny. Trafienie na coś w jej guście zawsze graniczyło z cudem.

„Powie ktoś zaraz, że komuniści” – rzekła z przekąsem, przypalając papierosa. Westchnęłam i poprosiłam o różowe lilie, po czym obładowana ruszyłam do bramy cmentarza. Jak zwykle wiało i stalowe niebo przecinały samoloty pobliskiego aeroklubu. Kiedy dotarłam w końcu w najodleglejszy kraniec cmentarza, z dali zobaczyłam świecące w słońcu złotem grawerowane litery ich imion i nazwisk. Podretuszowane twarze rodziców na porcelanowych fotografiach, które przytwierdził brat, wydawały się nierzeczywiste. Wyrzuciłam zeschnięte wiązanki i wypalone znicze, wytarłam płytę z czarnego marmuru i chwilę się pomodliłam, niby za ich dusze, chociaż nie mogłam się powstrzymać, aby nie powiedzieć pod nosem: „W końcu przyszłam, widzicie, jestem”. Kiedy tak stałam nad ich grobem, zza moich pleców niespodziewanie odezwał się głos jakiejś starszej kobiety:

– To ta pani też zmarła? Często ją widziałam, jak przyjeżdżała na świeży grób męża. Ja też swojego niedawno pochowałam... Zawał?

– Mama zmarła trzeciego lutego zeszłego roku na raka płuc – odparłam.

– O mój Boże! – Kobieta objęła twarz dłońmi. – A tata też na nowotwór, prawda? Ile to minęło, rok?

– Tata zmarł pierwszego lutego, dokładnie rok wcześniej. Pogrzeb oboje mieli w tym samym dniu, ósmego dnia miesiąca, rok po roku, ten sam cmentarz, to samo miejsce na stypę, ci sami goście... Oboje mieli dokładnie po sześćdziesiąt dziewięć lat, oboje na raka...

– Coś nieprawdopodobnego! Widać było po pani mamie, że sama nie daje sobie rady bez męża...

Pokiwałam głową i powiedziałam, że muszę iść, by odebrać dzieci z przedszkola. Odchodziłam w pośpiechu. Moja siła już się gdzieś ulotniła. Przypomniałam sobie, jak Ojciec wieziony na operację, po której żył już tylko miesiąc, powiedział do Mamy z surowym wyrazem twarzy: „Nie martw się, Krystyna, jeśli nawet nie przeżyję, to i tak niedługo się spotkamy!”.

Nie wiedzieć czemu, przypomniał mi się w drodze powrotnej nasz pies, te chwile, gdy konał, a ja czuwałam przy nim dzień i noc.

Andrzej i Andżelika zwiedzają Sycylię cz. 1

Nie wierzył, że ta wyprawa dojdzie do skutku: tyle trzeba było przygotowań, tyle planowania, kalkulowania, obmyślenia planu podróży, bez których odmówił nawet rozmów na temat wyjazdu.

A jednak Andżelika uwzięła się na Sycylię i dopięła swego – namówiła męża, aby przeznaczył na odpoczynek „tylko we dwoje” swoją kwartalną premię, jego matka zgodziła się zająć przez te kilka dni dziećmi, udało się im obojgu dostać urlopy w pracy, zarezerwowali każdy z noclegów w innej miejscowości, w promocji kupili bilety do Katanii z przesiadką w Rzymie i wynajęli niewielkiego fiata. I dopiero przed samym wylotem z Warszawy cały plan niemal runął doszczętnie, kiedy Andżelika – po zrobieniu już zakupów na niemałą kwotę w perfumerii na lotnisku – patrząc na stalowe, pokryte groźnymi chmurami niebo oświadczyła, że ma złe przeczucia i nie powinni wsiadać do samolotu. Miał wrażenie, że żona walczy z napadem paniki i jeśli tylko puści jej ramię, ona rzuci się biegiem do wyjścia, marnując im urlop i zaprzepaszczając jego premię.

Namówił ją, żeby wypić w toalecie zawartość kilku „małpek” z whiskey, ale gdy zobaczył jej minę po powrocie, zrozumiał, że nawet to nie pomogło. Oznajmiła, że nie może oddychać i galopuje jej serce, a on z trudem pohamował wybuch wściekłości. Wziął głęboki oddech i zaczął ją przekonywać, że przeczucia nie mają znaczenia, a on przed każdą długą podróżą samochodem czuje, że zdarzy się wypadek. W momencie wejścia do rękawa doczepionego do samolotu jej nerwowość i agresja ustąpiły miejsca bierności i łzom napływającym jej do oczu.

– Zobaczysz, rozbijemy się. Czuję to. Osierocimy nasze dzieci – mówiła, wchodząc na pokład. Jakaś starsza kobieta słysząc jej słowa, spojrzała na nią z przerażeniem.

Kiedy jednak samolot gładko wystartował i szybko pozwolono rozpiąć pasy, alkohol zrobił swoje i Andżelika się uspokoiła. Andrzej spoglądał na doskonale widoczne tego dnia pasma ziemi, wierzchołki gór, a w końcu tafłę morza. Żona przeglądała kolorowe magazyny, wertując w kółko reklamy luksusowych produktów.

– Ale piękne są te sandały na koturnie, nie sądzisz? – pytała.

– Od lat nie widziałem czegoś tak ohydneho! Zabiłabyś się w czymś takim! – odpowiedział.

– To Prada z najnowszej kolekcji! Ty to masz pojęcie o modzie! – zachnęła się. Rzeczywiście do siebie nie pasowali – nawet wizualnie czuł się coraz gorzej u jej boku. Jej dobry wygląd tylko uwypuklał jego niedoskonałości i sprawiał, że chociaż często chciał seksu i dostawał go, czuł potem dyskomfort i dręczyło go poczucie, że nie spełnił jej oczekiwań.

Świadomość własnej atrakcyjności sprawiła, iż Andżelika śmieiej wymagała od niego zaspokojenia własnych pragnień, co doprowadziło do niemego rytuału w ich łóżkowym pożyciu, zgodnie z którym Andrzej w pierwszej kolejności robił wszystko, co lubiła, aby pierwsza osiągnęła orgazm – ilekroć nie zdążyła przed jego szczytowaniem, wybiegała z impetem z łóżka, krzycząc, że ma tego dosyć i że nie zamierza niczego z tego nie mieć. Czuł się wówczas na tyle źle, że przez kilkanaście następnych dni unikał jakichkolwiek możliwości odbycia stosunku, co przy małych dzieciach w domu nie było skomplikowane.

– Och, jaka szkoda, że moja królowna nie ma bucików godnych jej stopki! Ach, gdyby tak na moment zdążyć w Rzymie skoczyć do jakiegoś sklepu i je kupić... – kpił sobie z niej, dopóki nie odłożyła czasopisma. Kiedy jednak przebijali się przez tłum pasażerów zalegający korytarze lotniska, Andżelika wypatrzyła butik Prądy i sandały na gigantycznym koturnie, po czym przyklejona do szyby wystawowej ze smętną miną stała w bezruchu, tym samym demonstrując swoje pragnienie. Cena butów budziła w Andrzejku krzyk sprzeciwu.

– Chodź, spóźnimy się na samolot! – syczał wściekły.

– Dobrze, już! – rzuciła.

– Okej, jak szybko to załatwisz, kupię ci te sandały. Tylko przymierz, bo przecież nie będzie jak ich zwrócić. Obiecałem ci prezent z mojej premii – dodał posepnie, nie wiedząc czemu. Tym razem nie miał siły na odpieranie jej naburmuszonych uwag i chmurnych spojrzeń.

– Naprawdę? – Andżelika z podekscytowaniem wparowała do sklepu i po kilku minutach Andrzej już wstukiwał kod autoryzujący płatność w wysokości czterystu euro. W momencie gdy tekturowa biała torba z logo projektantki zawisła na ramieniu kobiety, wyraz jej twarzy zdecydowanie się zmienił. Szła przez lotnisko dumna, jakby w jednej sekundzie stała się koronowaną następczynią tronu. Andrzej pomyślał, że to żenujące, ale przynajmniej dzięki zakupowi zapewnił sobie wieczór bez kłótni i odpowiednią dawkę czułości. Gdyby nie kupił jej

tych butów, czekałaby go awantura i seria wyrzutów, z których żaden oczywiście nie dotyczyłby wprost odmowy zakupu czegoś przerażająco drogiego i niepraktycznego.

Dzięki butom jakoś zmobilizowała się w trakcie startu samolotu do Katanii. Kiedy lecieli, w dole identyfikując Etnę, żona nie umiała ukryć bezmyślnej radości, jaką sprawił jej zakup z metką Prądy. Popijała drinki serwowane przez ciemnego stewarda, taksującego jej duży dekolt, i wyraźnie zadowolona przymierzała sandały, podziwiając swoją nogę na wysokim obcasie. Śmiał się z niej. Wyglądała naprawdę ładnie, mimo skończonych trzydziestu trzech lat. Wiele kobiet, w tym koleżanki z liceum, które widział ostatnio na święcie z okazji stulecia szkoły, w jej wieku przypominało smutne, zaniedbane, najczęściej otyłe bibliotekarki z prowincji. Tymczasem jego żona piękniała z każdym miesiącem, i nie mógł dociec dlaczego. Samolot kołysał się, przedzierając się przez ołowiane chmury piętrzące się ponad widocznym kraterem Etny, po czym brawurowo wylądował na małym lotnisku w Katanii. Zapadał zmierzch. W nozdrza uderzał silny, przesycony wonią wodorostów, bardzo zmysłowy śródziemnomorski zapach. Ilekroć przebywał w tych rejonach świata, ta specyficzna woń zawsze pobudzała jego zmysły. Kiedy taksówka wiozła ich przez szpaler czarnych sylwetek palm, pomyślał, że chciałby tu być ze studentką prawa, którą miesiąc temu przyjął w swoim departamencie na praktyki, aby opracowała zestawienie prowadzonych sporów sądowych.

Andżelika niepokoiła się chłodem, gdy autokar przedzierał się przez ciemność wyspy.

– Jeśli wrócę nieopalona, naprawdę się wścieknę – narzekała. Andrzej chciał zauważyć, że nigdy – przynajmniej od kiedy są parą – nie była w stanie leżeć przez kilka godzin na plaży, skąd więc teraz ten idiotyczny pomysł? Zaniechał jednak drażnienia jej, bardziej zajęty swoimi myślami. Wyobrażał sobie że siedzi obok niego Eliza, skromna, zwyczajna w dżinsach i bezpretensjonalnie związanych w kucyk włosach, wesoła, pozytywnie nastawiona, przystępna i roześmiana. Wspominał jej uśmiech, uroczy i spontaniczny. Po tylu latach małżeństwa zdał sobie sprawę, że Andżelika naprawdę rzadko się śmieje a jeśli już, kontroluje układ swoich warg i szybko tłumi ten odruch, jakby wstydziła się swojego użębienia, chociaż nie ma takiej potrzeby. Po kilkunastu minutach podróży przez miasto, w trakcie której Andrzej na próżno próbował dostrzec w szafirowej przestrzeni zarysy miasta, autokar zatrzymał się przed hotelem.

Nazajutrz żona obudziła go już wyszykowana pełna zapału i werwy, gotowa do zwiedzania. Nie lubił tego jej nadmiernego entuzjazmu, jaki odczuwała w nowym miejscu, oczekującemu na poznanie. Była już po wnikliwej lekturze przewodnika, opracowała plan

wycieczki. Będą godzinami bez przerwy chodzić i chodzić, w zawrotnym tempie zaliczając ogromną liczbę zabytków. Wstał, nie mogąc wykrzesać z siebie choćby ułamka podekscytowania, jakie ona okazywała. Chętna zwiedzać i poznawać nowe rejony, przytłaczała go tempem i pretensjami, że zbyt wolno idzie mu mycie i ubieranie, tracą tylko czas, a już dawno powinni być po śniadaniu.

– Przypominam ci, że przyjechałem tu, żeby odpocząć – tłumaczył, starając się ignorować jej wyrażające niecierpliwość miny i wywracanie oczami, gdy mówiła: „Jak to, jeszcze musisz myć włosy, teraz?”

W końcu ruszyli oglądać historyczne centrum miasta, zamek i katedrę, przysiadając co chwilę w kolejnych kawiarniach, na *cafe freddo* albo kieliszek białego wina przed obiadem. „Dlaczego nie ma słońca?” – pytała retorycznie Andżelika, zaniepokojona szarym niebem i raczej pochmurną aurą. Telefon do domu wyprowadził ją ostatecznie z dobrego nastroju – dzieci złapały gripę żołądkową i wymiotowały. Andrzej wiedział już, jak potoczy się ich wyprawa. Czekają go pełne samoudręczenia telefony do Polski, komentarze pogłębiające poczucie winy i rozmowy w kółko o tym samym, chociaż będąc tutaj, nic nie mogli poradzić na chorobę. Zasłaniając się straszną migreną, nakłonił żonę do szybszego, niż planowała, powrotu do hotelu, gdzie niemal natychmiast legł na łóżku o metalowym wezglówiu w kształcie wachlarza i zasnął jak zabity. Jego organizm w porę włączył system samoobrony.

Obudził się po godzinie, spocony. Andżelika popijała campari wyjęte z minibaru, siedząc w milczeniu przed otwartym oknem, z którego obserwowała wąską, obstawioną donicami pełnymi kwiatów uliczkę. – Wiesz, ile kosztuje taka buteleczka? Nie możesz się powstrzymać? – zapytał.

– Zapłacę za nie, nie martw się – rzuciła z wściekłością, ciskając butelkę do kosza.

– Jasne, tak jak zapłaciłaś za to wypite wczoraj po kolacji... Spłaciłaś chociaż kartę kredytową? – zapytał.

– Znowu się zaczyna! Nie wytrzymam! Po co tutaj przyjechaliśmy, skoro nas na to nie stać?! – zaczęła krzyczeć. Miała włoski temperament – w jednej chwili potrafiła unieść się gwałtownym gniewem, gotowała się i wrzeszczała, gestykulowała, niekiedy rzucając przedmiotami, bluzgając i miotając się jak szalona. Niekiedy go to bawiło, bo wiedział, że jej złość stosunkowo szybko minie i nie rozpamiętując już wypowiedzianych w złości słów, wróca do dawnego *status quo*, jakby kłótnia nigdy nie miała miejsca.

Jednak mimo nabytej przez lata umiejętności, jak z nią postępować, niekiedy dawał ponosić się emocjom i na zimno obalał wytaczane przez żonę argumenty, zaprzeczał każdemu jej zarzutowi, wykręcał kota ogonem i wmawiał, że czarne jest białe, co doprowadzało ją do furii.

– Nie baw się ze mną w jakiegoś prawnika, nie dam sobie wmówić, że czarne jest białe! – wykrzykiwała, brnąc w fale oskarżeń i pomówień o poniżanie jej, nieokazywanie szacunku „dla matki swoich dzieci”, nieudolność życiową, brak ambicji i bierność.

Tym razem odpuścił, chociaż musiał mocno powstrzymać się przed wytknięciem jej absolutnie nieracjonalnego postępowania z finansami. Jej rozrzutność, z roku na rok coraz bardziej trudna do opanowania, powoli pchała ich w kierunku spirali długów. Niekiedy nie mógł w nocy spać, tylko leżał coraz bardziej zafrasowany, zastanawiając się, jak w rzeczywistości wysokie są długi zaciągnięte przez żonę. Nieustannie kręciła, trwonila pensję w zastraszającym tempie, a potem pożyczala od niego pieniądze (mimo iż dawał jej dodatkowe środki na życie). Nie mógł uzyskać od niej konkretnej informacji, ile ma kart kredytowych i jakie są ich limity, dopóki nie dochodziła do dna swojej wydolności finansowej i w pewnych momentach przyznawała – ostatecznie ukorzona, uległa i potulna – że nie ma na spłatę zaległości. Wówczas w aurze łez i podziękowań Andrzej uruchamiał ich skromne rezerwy, spłacał zadłużenie którejś z kart, aby po kilku miesiącach przekonać się, że mimo zapewnień karta wcale nie została zlikwidowana i nadal jest w użyciu. W końcu udobruchana położyła się na łóżku obok niego i nieoczekiwanie zapadła w sen.

Promienie słońca sączyły światło przez lekko uchylone okna pokoju i żaluzje. W półmroku ciało żony było boleśnie cudne. Patrzył na jej ramiona, obnażone przez zsunięte ramiączka połyskującej koszuli w kolorze beżu. Dłonie, złożone jak do pacierza, umieściła pod policzkiem niewinnej twarzy kobiety-dziecka. Przyłgnał do ciepłych piersi, aby zaraz zaznać błogości. Zatrzyma się czas, jego „ja” oddali się, rozkoszując własnymi wizjami i przyjemnością, tracąc z kobietą jakąkolwiek więź umysłową. Ona będzie przeżywać własne rozkoszne drzenie, własne fantazje, osamotniona bardziej niż kiedykolwiek.

Po trwającym ledwie chwilę obcowaniu musieli szybko się spakować i wsiąść do autokaru wiozącego ich ku Taorminie. W trakcie podróży przysnął, a kiedy ostre słońce zmusiło go do otwarcia oczu, ujrzał wąskie uliczki jakiegoś miasteczka i unoszące się nad zatoką ołowiane, rozpaczliwe chmury. Andżelika wyjęła z torebki *Miłość w czasach zarazy* i otworzyła na początkowych stronach. Spoglądał, jak jej twarz pochyla się nad kartkami. Pomyślał, iż od

początku wycieczki, wliczając kilkugodzinny lot samolotem, nie zdołała przeczytać nawet pierwszych pięciu stron powieści, niebędącej przecież wymagającą lekturą. Zapewne wołałaby obejrzeć jeden z popularnych amerykańskich seriali o gospodyniach domowych albo lekarzach, na które wieczór w wieczór, pijąc wino, marnowała czas. Po kilkunastu minutach jazdy wijącą się wzdłuż zatoki szosą autokar niespodziewanie zatrzymał się przed dosyć niepozornie wyglądającym hotelem, którego wejście ozdabiały palmy i kaktusy w donicach. Zaczął kropić deszcz.

– Tam gdzieś za chmurami znajduje się Etna – wyjaśnił któryś z podróżnych.

– Deszcz pada tutaj podobno dwa czy trzy dni w roku! – powiedziała kobieta siedząca za Andżeliką.

– *It's terrible!* – żona rozpoczęła konwersację. W duchu nie mógł się powstrzymać od wyśmiania jej okropnego akcentu. W urządzonej niczym skalista grota recepcji hotelowej powitał ich ubrany w ludowe stroje personel. Panował zgiełk wywoływany przez dorodne papugi, uwięzione w gigantycznych klatkach, ustawionych po obu stronach schodów. Po długo trwających formalnościach udali się wreszcie do pokoju, który od pierwszej chwili wzbudził zachwyt w lubiącej wygody Andżelice. Sięgnąwszy najpierw po campari z minibaru, nie kryjąc zadowolenia, udała się na balkon w spektakularny sposób wychodzący na pełne morze. Gdy usiedli w wiklinowych fotelach, przed ich oczami widniała jedynie spokojna tafła wody o zielonkawym odcieniu. Dopiero kiedy wychylili się mocno na prawo, mogli zobaczyć wierzchołki wzgórz i zarys zabudowań. Andrzej wdychał zapach wodorostów i myślał o nokturnach Chopina. Chciałby słyszeć teraz muzykę i trwać tak, zgubiwszy swoje „ja” w dźwiękach. Przymknął na chwilę oczy. Marzył, że gdy je otworzy, na fotelu obok nie będzie jego żony, lecz praktykantka, radosna i spokojna, prosta w swych pragnieniach, łatwa do zaspokojenia, świeża i umiejąca okazać zadowolenie z mężczyzny.

Andżelika przeglądała folder reklamujący hotel i jego atrakcje: siłownię, kasyno, bary.

– Popatrz, jak wygląda restauracja! Jakby przyczepiono ją do skały! To tutaj kręcono niektóre sceny z filmu *Wielki błękit*.. W czasach liceum urywałyśmy się z Gizmo na wagary do kina, aby go obejrzeć, co najmniej sześć razy! Zawsze marzyłam, aby znaleźć się w tym miejscu! – wołała podekscytowana. Już była otwarta na nowe wrażenia, by zwiedzać miasto, jeść, pić, zaznawać coraz więcej i więcej... Andrzej nie miał siły. Pragnął poleżeć i poczytać książkę, spoglądając od czasu do czasu na morze.

– Chyba żartujesz?! – zawołała żona. – Bierz prysznic i wychodzimy, szkoda marnować czas! Tutaj jest tak cudnie! Żeby tylko nie padało...

Wkrótce, odświeżeni i przebrani (Andżelika w kupionej specjalnie na wyjazd sukience z gołymi plecami w kolorze malinowego sorbetu), wsiedli do odjeżdżającego spod hotelu autobusu, który mozolnie począł wspinać się krętą drogą w górę, skąd rozciągał się malowniczy widok na miasto. Kierowca trąbił na jadące pojazdy i pokrzykiwał do śniadych ludzi przechodzących z obojętną miną tuż przed kołami autokaru. Wąskie uliczki starej Taorminy, tonące w kwitnących kwiatach i egzotycznych roślinach, pełne były siedzących przed domami starszych ludzi i pokrzykujących beztriosko dzieci. Nie znając okolicy, Andrzej i Andżelika wysiedli w końcu na szczycie jakiegoś wzgórza, otoczonego pięknymi domami. – Och, jak bym chciała żyć w takim miejscu! Tutaj nie można nie być szczęśliwym! – Żona wypowiadała podyktowane zachwytem frazesy. Widoczne w oddali morze miało ten niezwykły, mglisty, a jednocześnie intensywny odcień bajecznego turkus. Zeszli w dół miasta i spacerowali jego uliczkami, zaglądając do kościoła o barokowej fasadzie. W restauracji z widokiem na wodę zjedli makaron z owocami morza, popili schłodzonym białym winem, które szybko uderzyło im do głowy. Różowa chmura niknąc, przywiodła wkrótce szary zmierzch, by w nim zapadła się przestrzeń morza. Zwiedzanie teatru zdecydowali się przesunąć na kolejny dzień, gdyż Andżelikę bardziej pochłoneły luksusowe sklepy rozlokowane wzdłuż Corso Umberto I. Obładowani torebkami wrócili do hotelu, aby w restauracji z widokiem na zatokę i rozpościerające się w dali, zalane światłami wzgórza Giardini di Naxos zjeść langusty, od których Andrzejowi zrobiło się niedobrze. Upojona faktem przebywania w tak pięknym miejscu, Andżelika wypila niemal całą butelkę wina i wzdychała, spoglądając na pianistę wygrywającego jazzujące melodie przy podświetlonym basenie. – Pocałuj mnie – poprosiła, rozchylając usta. Andrzej złożył na jej wargach oficjalny krótki pocałunek. Czuć było od niej alkoholem, a zjedzony posiłek sprawił, że źle się czuł, bolał go żołądek. Widok sumy na rachunku dodatkowo wprawił go w przygnębienie.

– Wracajmy, źle się czuję – powiedział. Żona była niezadowolona. Chciała zostać wśród ładnych ludzi, otoczona luksusem i beztrioskim pięknem. Wzdychała, epatując rozczarowaniem. Andrzej nie dbał o jej humory. „Jeśli spędzimy tu kolejne pół godziny, wydam dodatkowo dwadzieścia euro” – chciał powiedzieć, ale ugryzł się w język.

Andżelika postanowiła wziąć przed zaśnięciem długą kąpiel, podczas gdy Andrzej leżał rozwalony na łóżku, z bolącym brzuchem, z nudów kontemplując niewielki zaciek na suficie

hotelowego pokoju. Jego wzrok kusił porzucony przez żonę na nocnej szafce fioletowy zeszyt w japońskie motywy, w którym za radą psychoterapeutki wieczorami lub w trakcie sjesty po solidnym drinku pisała dziennik. Po kilkunastominutowych zmaganiach ze sobą postanowił zabić dręczącą go nudę i sięgnął do notatek żony. Przekartkował kilkadziesiąt stron zapisanych mało czytelnym pismem – były to osobiste zwierzenia oscylujące wciąż wokół tych samych zagadnień: smutku, zmagania się z nerwicą, poczucia winy z powodu życia, któremu brakuje ważnych treści, niespełnionych marzeń. Wciąż natrafiał na stwierdzenia, iż „była prawie szczęśliwa”, „coś mogłoby być szczęściem”, „już prawie wiedziała, na czym szczęście polega”. Taka była w tych zapiskach słaba, wyciszona, wycofana, niepewna, użalająca się nad sobą. „Onanizowanie się własną melancholią” – przeszło mu przez myśl. Zestawienie w myślach osoby, jaką znał, z kimś, kto pisał te pełne żalu słowa, wypadło szokująco. W kontaktach z ludźmi Andželika była pełna werwy, kontaktowa, zabawna, roześmiana. Miała cechę, której nie lubił i którą na każdym kroku jej wytykał – koloryzowała każdy fakt, wyolbrzymiała w swych opowieściach każde zdarzenie. W jej słowach prosta opowieść nabierała znamion ekscytującego wydarzenia lub tragedii. Tymczasem jej wewnętrzny głos nie pasował do oblicza, jakie pokazywała ludziom. Nie można nawet stwierdzić, który z obrazów jej osoby był prawdziwszy – może to, kim się stawała w zderzeniu z innymi ludźmi, powinno dać jej do myślenia, a nawet stać się sposobem walki z nerwicą. Na miejscu terapeutki zaleciłby jak najwięcej przebywania wśród ludzi, wśród których musiała się mobilizować i okiełznać swoje stany paniki. Pytanie, czy ona sama widziała ten rozdźwięk pomiędzy jej „ja” uczepionym samego siebie i „ja” oderwanym, mniej egotycznym, a przez to zdrowszym i mniej bojącym się śmierci. Dźwięk otwieranych przez nią drzwi od łazienki zmusił go do szybkiego odłożenia zeszytu na miejsce. Weszła owinięta w śnieżnobiały ręcznik, zaczerwieniona od ciepłej wody, z mokrymi włosami opadającymi na spieczonym słońcem ramiona. Wydała mu się ładniejsza niż kiedykolwiek. Mimo iż dobiegała trzydziestego trzeciego roku życia, jej figura była lepsza niż kilka lat temu. Uroda żony i umiejętne zabiegi poprawiające wygląd (kolor włosów, fryzura, dobór strojów i dodatków, buty na obcasie) przyniosły niespodziewane efekty, których ona sama nie była świadoma. Chciał jej powiedzieć komplement, cały ciąg komplementów, ale nagle przypomniał sobie ich dzisiejszy spacer głównym deptakiem Taorminy i irytujący rajd po sklepach rozlokowanych na tej ulicy. Z niepojętym podnieceniem i zaangażowaniem wchodziła do kolejnych markowych butików, nie mogąc się pohamować i

używając karty kredytowej w niekontrolowanym amoku. Nie potrafił zwalczyć pogardy, jaką odczuwał, patrząc teraz na żonę.

Nie do końca zrozumiał przemianę, jaka w niej zaszła przez ostatnie kilka lat. Kiedy się poznali na jakiejś studenckiej imprezie, spodobała mu się fizycznie, wyglądała na dobrą, miłą i ciepłą osobę. Była wesoła i całkiem mądra. Gardziła ubraniami i modą, ubierała się – podobnie jak on – we flanelowe koszule w kratę w stylu grunge, nie była materialistką – co bardzo mu się podobało, po tym jak jego poprzednia dziewczyna zostawiła go dla kogoś majątnego, kto mógł fundować jej drogie kosmetyki i drinki w modnych klubach. Po urodzeniu drugiego dziecka coś się w niej zmieniło. U modnego fryzjera zafarbowała włosy na rudo, co przy jej bladej, porcelanowej cerze wyglądało nieco awangardowo. Zaczęła inicjować kontakty seksualne i chciała ich więcej niż zwykle. Wy tłumaczyła mu, że po trzydziestce kobietom wzrasta popęd seksualny, co uspokoiło jego obawy. Wcześniej nie należała do oszczędnych, ale jej zachowania były racjonalne. Gdy trzy lata temu zaczęła korzystać z kart kredytowych, zaciągała pożyczki, nieustannie brakowało jej pieniędzy, kręciła, kłamała, wyciągała od niego każdy grosz i wydawała na ubrania. Co wieczór wypijała trzy lub nawet cztery kieliszki czerwonego wina. Tłumaczyła, że w ten sposób uśmierza traumę związaną z chorobą Ojca. Zaczęła coraz śmiejle zestawiać stroje, malować powieki na niebiesko, nosić buty na wysokich obcasach i co chwila potrzebować nowej torebki.

Nie wiedział, jak reagować na to wszystko, więc hamował się, w subtelny sposób dając jej do zrozumienia, że za dużo pije i za dużo wydaje. Kiedy jednak wyznała mu z płaczem, że wyczerpała limit kart kredytowych i zadłużyła się na wartość niezłego samochodu, wymógł na niej zniszczenie kart i oszczędniejszy tryb życia.

Była coraz ładniejsza, mimo że przybywało jej lat. Niekiedy nie mógł się nadziwić, jak pięknie wyglądała, jaka jest atrakcyjna i pociągająca, jak zestawia ubrania i dodatki, tworząc imponującą całość. Widział spojrzenia innych mężczyzn, jakimi obdarzali jego żonę. Był dumny, ale też nieco zaniepokojony, że może znajdzie się ktoś, z kim zacznie go zdradzać. Gdyby do tego doszło, nigdy by jej nie wybaczył i zabrał dzieci. Dzieci były przecież najważniejsze. Często nie miał do nich cierpliwości, ale wiedział, że bycie ojcem stanowiło najistotniejszą rolę w jego życiu. A ona sprawdzała się jako dobra matka, nieco nadopiekuńcza, ale czuła i dbająca. Maluchy kochały ją wręcz obsesyjnie, o co w pierwszych latach ich życia był bardzo zazdrosny. Jej pociąg do luksusowych przedmiotów i dostatniego życia stał się niepohamowany. Andrzej

początkowo wściekał się i czynił złośliwe komentarze, jednak po kolejnej wizycie w trzecim już salonie obuwniczym zrezygnował i nie odzywając się, usiadł na ławce zwróconej ku tafli turkusowego morza. Czekał w ciszy, bezpiecznie obserwując zza ciemnych okularów marki Prada (jedynej drogiej rzeczy, jaką kupił sobie w trakcie pobytu) parę staruszków, którzy wylegli po zakończonej sjeście na ulicę i siedząc na przyniesionych ze sobą stołeczkach, dyskutowali żarliwie przed wejściem do kościoła. Z pewną satysfakcją, ale też smutkiem, myślał, że nic nie jest w stanie przełamać jego obojętności wobec świata i własnego życia – ani te piękne widoki, ani luksusowe dobra, na które teoretycznie mógłby sobie pozwolić. Nie miał złudzeń, co może wycisnąć z życia i czego może się spodziewać. Sam fakt, iż nie cierpiał w danej chwili, stanowił wystarczające szczęście. Ale nie dla każdego. Jego żona roztrwoni dziś zapewne ogromną sumę pieniędzy, po czym wróci do hotelowego pokoju, dumnie dźwigając torebki z emblematami znanych marek, i jej zakupowy haj szybko przygaśnie. Będzie się starała podtrzymać opadającą euforię alkoholem, ewentualnie – zależnie od nastroju – seksem. W końcu wystroi się, nasyci swoje ego poczuciem bycia piękną, zmarnuje czas na pustych rozmowach z innymi ładnymi ludźmi, zmęczy serią pozowanych uśmiechów i staraniami, aby być atrakcyjną i zabawną, po czym pijana i smutna, stwierdzi przed pójściem spać, że jest nieszczęśliwa.

Patrzył na jej wieczorne ablucje, na szereg czynności, jakie wykonywała, aby poprawić wygląd, jak zawzięcie prostowała włosy, malowała powieki, długo tuszowała rzęsy, a potem przymierzała kilka sukienek z rzędu, nie mogąc zdecydować się ostatecznie na żadną. A chodziło tylko o kolację. Nie mógł zrozumieć jej determinacji i skupienia na wyglądzie. Skąd to się w niej wzięło? Skąd zainteresowanie modą, ta potrzeba podobania się? Przecież kiedy ją poznał, gardziła wystrojonymi kobietami, skupionymi na wyglądzie idiotkami. Kupowanie ubrań stanowiło dla niej nieprzyjemną konieczność. Dzisiaj mówi, że to był wyraz jej ignorancji, mieszanki kompleksów i braku pieniędzy. A strój to nie tylko tworzenie własnego wizerunku, to sposób na nudę, na znalezienie czegoś permanentnie ekscytującego i generującego ciągle nowe pragnienia.

Rano niebo zasnuło się chmurami, co wprawiło Andżelikę w zły humor, bo nastawiła się na piękne zdjęcia na tle ruin teatru. Jednak gdy dotarli do zapierającego dech miejsca, chmury rozstały się, ukazując na moment ośnieżony wierzchołek wulkanu.

– Ustaw się na tle Etny – prosiła żona. Po sesji zdjęciowej chciała koniecznie wypić kawę w najdroższej kawiarni w okolicy, z widokiem na spektakularny amfiteatr. – To piękno jest aż

bolesne, nie wiadomo, co z nim zrobić... – Żona wzdychała nad filiżanką cappuccino za dziesięć euro, plus obsługa. – Wyobraź sobie, być tutaj wieczorem, uczestniczyć w festiwalu filmowym albo koncercie, jaki się tu odbywa... – mówiła. Wzruszył ramionami, po czym dodał, że w takim miejscu koncerty nie mogą być udane z uwagi na słabe nagłośnienie.

Nie spodziewał się, że jego kolejny przejaw prezentowanej w trakcie wyjazdu obojętności wobec wszystkiego, co tu się działo, wywoła tak gwałtowny potok zarzutów.

– Dlaczego wszystko jest złe? Dlaczego wszystko krytykujesz, wszystko kwestionujesz? Jesteśmy w tak pięknym miejscu, a ty napawasz się jedynie własną obojętnością wobec starogreckich zabytków? Skąd w tobie ta miałość, to ograniczenie? I to niby ja jestem typem, któremu ciągle się coś nie podoba... Może życie przy tobie wyplenilo we mnie wszelki entuzjizm? Jak tak można? Bać się wszystkiego, być tak zachowawczym? Gdyby wszyscy się tak zachowywali, świat nigdy nie poszedłby do przodu!!!

Wrzeszczała, nie ścisząc nawet głosu, nie zważając na zwrócone ku nim oczy zaskoczonych turystów, którzy siedzieli przy sąsiednich stolikach.

– Nieustannie słyszę tylko zarzuty i pretensje wobec mnie. Jak ci się nie podoba związek, w jakim jesteśmy, proszę, poszukaj kogoś lepszego – odparł, znowu próbując rozgrywać ich sprzeczkę na zimno. Wiedział, że jego spokój i pozorny brak emocji wytrącały ją jeszcze bardziej z równowagi.

– Myślisz, że bym nie chciała?! Czasami marzę o innych mężczyznach, nawet kobietach. Czasami nie mogę na ciebie patrzeć, mdli mnie od twoich pseudointelektualnych rozważań, od twojej krytyki, od tej jałowości i braku ambicji! Wszystko, co ciebie dotyczy, jest letnie. Czy ty w ogóle czułeś kiedykolwiek coś podobnego do namiętności lub euforii?

Zakończyła swoją emocjonalną przemowę, rzucając na stół wyciągnięty w pośpiechu z portmonetki banknot, po czym wstała i nie zważając na męża, żwawym krokiem zaczęła iść przed siebie. Szybko znikła mu z oczu, wmieszała się w tłum turystów. W kieszeni miał klucz do ich hotelowego pokoju. Wielokrotnie w trakcie awantury robiła podobne sceny – najbardziej lubiła wysiadać z samochodu, w momencie gdy ten zatrzymywał się na światłach. Uciekała mu ze sklepów, z kina, z autobusu, a kiedy nie mieli dzieci, wybiegała z domu i płała się po ulicach, czekając, aż mąż wyjdzie nakłaniać ją do powrotu. Kiedyś denerwował się, gonił ją i przeproszał, śmiejąc się z jej impulsywnych zachowań. Dzisiaj cała sytuacja jedynie go poirytowała. „Bardzo dobrze – pomyślał. – Ciekawe, jak wróci do hotelu? Przejdzie na obcasach

kilka kilometrów biegnącej stromo w dół drogi?”. Jednak chwilę później zaatakowała go niepokojąca myśl, iż zaraz jakiś mężczyzna zaczepi ją, zaproponuje podwiezienie, a ona, wściekła, może pozwoli na dotykanie się, a może nawet obściskiwanie w samochodzie?

Wstał więc z krzesła i ruszył czym prędzej ku głównemu deptakowi w miasteczku, licząc na to, że gdzieś ją znajdzie. Rzeczywiście, siedziała na ławeczce, patrząc na taflę morza. Dosyć mocny wiatr potargał jej rude włosy. Nie wyglądała specjalnie atrakcyjnie – zmęczona swoim wybuchem emocji, zrezygnowana.

– No, już? Koniec komedii? Jeśli nie zdążymy na autobus, który odjeżdża za dziesięć minut, przypadnie nam transport do hotelu – powiedział. Bez słowa wstała i posłusznie poszła za nim w kierunku przystanku.

Już w autokarze rozmawiali o dzieciach, zachowując się tak, jakby nigdy nie doszło do żadnej kłótni. Pomyślał ze smutkiem o tym, jak dawno temu odkrył pewne prawidłowości w jej – zdawałoby się z początku – szalonym zachowaniu. Przez tyle lat znosił cierpliwie napady kokieterii, kiedy flirtowała z onieśmiałymi jej niebanalną urodą kelnerami, baristami, sprzedawcami czy mechanikami. Ilekroć zaś będąc w publicznym miejscu, poświęcał się rozmowie z inną kobietą czy choć na moment pozostawił Andżelikę samą, wzbierała w niej złość, która w pewnym momencie zawsze znajdowała wyraz w spektakularnej awanturze przy ludziach, często połączonej z obrzucaniem go wyzwiskami i okrzykami: „mam cię dość!”, „odwal się!” czy ulubione „przestań mnie ponizać!”. Stawała się natomiast spokojna, łaskawa i miła, gdy kupował jej prezenty (szczególnie te przez nią wskazane). Odbierała je jako oznaki okazywanego uwielbienia i zastępowały one wyznania, iż jest najpiękniejsza i najważniejsza w jego życiu. Upojona alkoholem, ofiarowywała mu się z przemyślaną beztroską, pachnąca duszną słodyczą i ubrana w bieliznę, która przywodziła mu na myśl barokowe, pełne przepychu imprezy w ogrodach królewskich pałaców. Bez zażenowania oferowała uległość i swoje ciało, nie starając się nawet zatuszować niepokojącego wrażenia, iż jej łaskawość stanowi formę podziękowania za otrzymane dobra.

Andżelika marzy o lalce Barbie

Moje pierwsze wspomnienie: jestem trzyletnią królową i pępkiem świata. Wszystko kręci się wokół mnie, nawet jedyny odbiornik telewizyjny w domu stoi w moim pokoju! Aby mi łaskawie poszła spać, nakazuję rodzicom wozić mnie przez godzinę w wózku i recytować na zmianę wiersze Brzechwy. Nie kładę się w ogóle, zanim nie skończy się ostatni program w telewizji. Jestem najładniejszą, najbardziej rezolutną, przebojową i najwspanialej ubraną dziewczynką w naszym prowincjonalnym światku. Jestem powodem do dumy i chwały rodziców. Nie ma osoby, której Matka nie opisałaby mnie jako swojego największego osiągnięcia i bohaterskiego wyczynu – urodziła mnie w końcu, mając czterdzieści lat! Jestem królową na włościach, sama organizuję sobie swój świat – mam adapter i płyty z bajkami i piosenkami i co chwila sama je zmieniam. Nieustannie coś rysuję, wycinam, doklejam, przebieram lalki, tnę ich ubranka i wkładam na nowo. Nigdy się nie nudzę i nie potrzebuję widowni ani towarzystwa. Miłość i uwielbienie innych są dla mnie oczywistością, która zapewnia mi poczucie bezpieczeństwa i swobodę bycia sobą.

Minęło niemal trzydzieści lat od tamtych beztrudnych dni w małym miasteczku, a ja wciąż borykam się z syndromem osoby nadmiernie chwalonej i podziwianej, która w nagły sposób traci zarówno swą urodę, jak również pozycję i zainteresowanie innych.

Jako dziecko we wczesnym wieku szkolnym nieustannie marzyłam o zabawkach, jakich nigdy nie dane mi było posiadać. Myślałam nieprzerwanie o lalkach Barbie, ich domkach, basenach i koniach, o małpkach ssących kciuk (katalog z małpkami w różnych ubrankach pokazała mi koleżanka, budząc we mnie potworne pragnienie posiadania) i małych figurkach języków albo innych cudach, które poprzez swą nieosiągalność urastały do rangi magicznych przedmiotów posiadających moc odmiany rzeczywistości. Wszystkie te rzeczy miało wiele dzieci, zwłaszcza pochodzących z rodzin emigrujących z Polski. Zabawki te były też do kupienia w sklepach za dolary, a tych moi rodzice nigdy nie mieli. Wiedziałam, że nie dysponuję obcą walutą, więc w milczeniu snułam nierealne marzenia, a nawet śniłam o tych wszystkich zabawkach. Niestety, nie dostałam żadnej z nich.

Być może nigdy nie wiedziałam, czego chcę – czegoś pragnęłam, ale obiekt moich marzeń nie przybierał konkretnych kształtów, podobnie jak chłopak będący treścią mrzonek o miłości, przypominających rozmyte, pozbawione konkretnych rysów akwarele. Przez lata nie udało mi się nic w sobie zmienić. Ostatnio nieustannie poszukuję torebek. Mam już ich ponad dwadzieścia, w różnych kolorach, skórzane, zamszowe i materiałowe, o różnych kształtach i wymiarach, pasujące na różne okazje, letnie i zimowe, jesienne i wiosenne, do spodni i do płaszcza, sportowe i na wielkie wyjścia. Wciąż szukam. Zabijam biurową nudę, licytując na aukcjach internetowych. Raz znalazłam tę wymarzoną, zamszową od Gucciego, choć jej kolor nie współgrał właściwie z żadnym elementem mojej garderoby. Ktoś przebił moją ofertę dosłownie minutę przed zakończeniem aukcji. Wystarczyło, że wyszłam do toalety...

Pójść do sklepu i kupić, to byłoby zbyt proste. Ja chcę czegoś innego. Tylko czego?

Wszystko jest kwestią zaprzestania bujania w obłokach i dostrzegania rzeczy takimi, jakimi naprawdę są. Moja córeczka już wie, że lalka Barbie nawet cudownie opakowana i świetnie zareklamowana, jest tylko lalką. Ja przez całe życie nie mogę się uporać z traktowaniem pewnych rzeczy, jakby miały moc odmiany wszystkiego na lepsze. Tak myślałam nawet w trakcie studiów, kiedy nie było mnie stać na kosmetyki selektywne ani perfumy z wyższej półki. Wąchałam nieustannie próbki wody Poeme i nie umiałam się pozbyć przeświadczenia, że gdyby tylko jej flakon stał na mojej półce, a ja spryskałabym się nią, moja atrakcyjność byłaby nie do pobicia. To samo dotyczyło szminek Diora czy cieni do powiek Guerlame, które pozostawały zupełnie poza moim zasięgiem. Marzyłam o tym wszystkim, choć – jak w dzieciństwie – nie mogłam ich mieć, bo obraz siebie jako osoby gardzącej pieniędzmi nie pozwoliłby mi na kreatywność i pęd do zarabiania. Kiedy jednak zaczęłam pracować, nagle niezłe pieniądze po prostu pojawiły się na moim koncie, co zawdzięczam bardziej szczęściu lub przypadkowi niż własnej determinacji. Mogłam równie dobrze wylądować w oddziale Zakładu Ubezpieczeń Społecznych za śmieszne wynagrodzenie i żyć na niskim poziomie. Nie zniżyłabym się do polowania na mężczyznę z pieniędzmi, podobnie jak nie umiałam się przyznać przed sobą, że kwestie materialne determinują nam życie, a głoszenie haseł typu „lepiej być, niż mieć” jest przejawem ignorancji.

Dlaczego dzisiaj nie może mi wystarczyć coś co jest w moim zasięgu, coś, co mogę mieć, coś na miarę chińskich temperówek dzisiejszych czasów? To niebywałe że trzydzieści kilka lat życia zajęło mi dojrzenie do najprostszycy prawdy. Na przykład takich, jak świadomość, iż

żadna z napisanych na świecie ksiązek nie objawi mi jedynej prawdy o istocie rzeczy (i nie mogę traktować literatury jako materii formowania wrażeń ani czyhać na wytropienie klucza do szczęścia, który nauczy mnie satysfakcjonującego istnienia). Albo że środki materialne są ważne i nie można nimi pogardzać, i że równie ważny jest wygląd zewnętrzny i sposób manifestowania swojego gustu poprzez ubiór, i najważniejsze – nie ma na co czekać, bo to „coś”, na które tak czekałam, nie nadejdzie. Nie stanie się nic olśniewającego, co na zawsze mnie oświeci i wzniesie moje życie na wyższy poziom. W moim zasięgu znajduje się ograniczony wachlarz możliwości. Tak jak przez sam fakt pragnienia nie stanę się piękna w oczach innych (mając figurę gruszki, muszę pogodzić się z niedoskonałością ciała od pasa w dół i próbować racjonalnie dotrzeć do optymalnie dobrego wyglądu), tak poprzez samo czekanie nie osiągnę nieoczekiwanego szczęścia. Dlaczego nie umiałam dojrzeć do tej prymitywnej prawdy, mając szesnaście, siedemnaście, a nawet dwadzieścia lat? Napawałam się swoim cierpieniem w aurze jesieni, co dokładnie przypomina mi się teraz, gdy na straganach z warzywami widzę pyszne sylwetki dyń, a powietrze przesycone jest mglistym światłem. Idę po dywanie bajecznych liści i wiem, że aby ocalić swój rozum, tym razem nie mogę ulec rozmarzeniu i czekaniu na „coś”. Ile to już razy upatrywałam szczęścia w nieoczekiwanej zmianie, jaką – jak mi się zdawało – musiał przynieść los. Czekałam i czekałam, nieustannie zaznając rozgoryczenia, poczucia klęski, aby jakiś czas później znowu zacząć czekać. Spacerowałam po cudnie kolorowym parku, płątałam się po mieście albo podejmowałam żalosne próby prowokowania zmian. Zapisywałam się na lekcje języków czy malarstwa, licząc na to, że będą one czymś znacznie więcej niż sposobem zdobywania wiedzy. W jakiś niepojęty sposób wierzyłam, że nowy kolor szminki odmieni mój los. Kupowałam płytę albo książki, szłam do kina i marzyłam, że zaraz na mojej drodze pojawi się ktoś (oczywiście nieprzeciętnie ładny, ktoś, kto pozna się na mojej urodzie i pokocha od pierwszego wejrzenia) i wszystko się odmieni raz na zawsze. Czekałam, wyjeżdżając na letnie obozy i pobyty z koleżankami, za każdym razem przywożąc rozczarowanie. Pewnego dnia wróciłam do domu po zajęciach w kółku plastycznym, z którym wiązałam wielkie nadzieje. Przybyłe osoby w większości jak ja były osamotnionymi licealistkami. Prowadząca poleciła namalować wspomnienie z wakacji...

W domu nie mogłam pohamować łez. Matka nawet nie pytała, dlaczego płaczę, przekonana pewnie, że niefortunnie się zadurzyłam. Tylko raz zachowała się tak, jakby mnie rozumiała. Łkałam przeraźliwie a ona położyła moją głowę na swoich kolanach i głaskała mi

włosy. Byłam jak bohaterowie Flauberta którego czytałam i nie umiałam zrozumieć. Zawsze najbardziej czułam się sobą, gdy męczyło mnie niespełnialne pragnienie miłości, ale jej obiekt istniał jedynie w mojej wyobraźni. Łaknęłam mętnej, niezidentyfikowanej wizji pełni życia, która przy próbie realizacji doprowadzała zawsze do rozczarowania i klęski. Zbyt wielkie oczekiwania...

Życie tymczasem biegło wytyczonym szlakiem, jak kula, którą bynajmniej nie ja rzuciłam na tor Ula rodziców głównym celem mojego wychowania miały być ukończone studia, więc zadowoleni z mojej porażki podczas egzaminów do Akademii Sztuk Pięknych wysłali mnie na studia biznesowe Ukończyłam je i znalazłam dobrą pracę, przykładowie wyszłam za mąż, urodziłam dziecko, wypełniając rzetelnie dawno temu wytyczony przez nich plan.

Co robić? Szukać pokrzepienia, iść bez rozmyślenia o końcu, uczepić się prostych i niezbyt odległych celów, czegoś, co „przeciągnie” nas dalej? Kolejna pora roku, wyjazd, poród, przyjęcie, drobne elementy pchające nas do przodu. Czy moi rodzice żyli inaczej? Czy ktokolwiek da radę istnieć bez uczepienia się czegoś, co poniesie nas dalej? Wszystko jedno, czy jest to wielkie dzieło, które malarz planuje ukończyć, czy kolejny wpływ pieniędzy na konto, dzięki którym będzie można kupić nową pralkę. Cóż z tego, że kiedyś dotrze się do kresu? Wielu mądrzejszych ode mnie miało wiarę w nieśmiertelność duszy... Przecież jeśli głębiej się zastanowić, całkiem nieźle jest to wszystko poukładane. Gdyby nie przemijanie, czy można byłoby naprawdę kochać? Czy mając pewność trwania, docenilibyśmy to wszystko, co można uzyskać w ramach życia?

A więc należy przestać szukać w opowieściach prawd, których pisarz nie może przekazać, opisując złożoność istnienia. Skoro zawsze bardziej obchodził mnie los znanych pisarzy niż ich dzieła (przeczytawszy trzy biografie Kafki, nie mogłam przebrnąć ani przez *Proces*, ani przez *Zamek*), lepiej nie udawać, że pasjonuje mnie literatura. Powinnam czerpać wsparcie z biografii, zapoznawać się z historią, wybierać dzienniki i reportaże z podróży, zamiast katować się poezją tylko podsycającą impresjonistyczne pragnienia mojej słabej psychiki. I nigdy więcej nie czytać już Czechowa po to tylko, aby pod wpływem wystawy Chagalla nadać danej porze roku rosyjskiego czaru.

Takie to wszystko wydaje się proste, dopóki nie nadejdą dni wypełnione niepojętym lękiem. A wtedy we wszystkim, co bombarduje umysł, słychać jedynie „śmierć”, i groza narasta z godziny na godzinę.

Aby mieć poczucie, że jeszcze istnieję – w całej tej poświęconej rodzinie kombinacji starań i czynności, by zaspokoić jej potrzeby – marnuję czas na idiotyczne fora i wymianę maili z nieznanymi osobami. Po co prezentuję się przed tymi wszystkimi towarzyszkami mojej młodości, na które nie ma już miejsca w moim prawdziwym świecie? Pełno tu frustratów i osób z niezaleczonymi kompleksami, za wszelką cenę starającymi się przekonać jak największą liczbę znajomych o swojej wyjątkowości i powodzeniu. Ci, którzy byli kiedyś otyli, publikują swoje fotografie w odchudzonej odsłonie, ci, którym nie udało się skończyć szkoły, zamieszczają swoje zdjęcia w marynarkach za biurkami. Jakie to żałosne.

Mój znajomy sprzed lat, który odnalazł mnie na Goldenbook.com, co parę dni dodaje swoje kolejne fotki. Teraz każdy z jego grupy znajomych wie, że ma nową babę (sylwestrowe zdjęcie w balowych strojach), że był z nią i jej przyjaciółką na wycieczce w Szanghaju (panoramy rozświetlonego nocą miasta z „restauracji na 43. piętrze wieżowca”, on i dwie dobrze utrzymane, ale, nie da się ukryć, dużo starsze od niego kobiety w T-shirtach eksponujących świeżo zrobione biusty), a teraz seria pozowanych zdjęć ze sławnymi osobami, od Wałęsy zaczynając, a na męskiej gwiazdzie porno kończąc. Nawet nie musi się chwalić, że był na wakacjach albo co robi w piątek wieczorem. Po prostu wstawia zdjęcie, budując wizję swojego życia jako wielkiego pasma zabaw i podróży.

Całymi dniami, w każdej wolnej chwili, kiedy nie absorbują mnie dzieci, mąż ani zakupy, odpisuję na wiadomości przesłane przez rozmaite osoby, dawne koleżanki lub kolegów ze szkoły albo ze studiów, z którymi odnowiłam znajomość po dziesięciu albo więcej latach milczenia, członków rodziny, dalekich krewnych, przeróżnych bliższych lub dalszych znajomych. Odnalazł mnie nawet rodak z Ameryki o tym samym nazwisku, niejaki Andrew G. z zapadłej dziury koło Nowego Orleanu, daleki krewny, wnuk brata dziadka, który nie wrócił z nim do Polski, tylko został w Nowym Jorku.

Czytam te fora i maile, nawet gdy gotuję makaron albo obieram fasolkę. Piszę, pijąc kawę, przeglądam przesłane fotki, karmiąc jednocześnie dziecko, tuż przed zaśnięciem, leżąc już w łóżku (Andrzej ma zwyczaj zażywać długiej kąpieli przed pójściem spać), dodaję swoje trzy grosze na forach, wypowiadam się na tematy związane z wychowywaniem dzieci, układam listę ulubionych rzeczy, dla których warto żyć, ulubionych filmów i piosenek, jestem w klubie wielbicieli wina, zapisałam się na forum poezji (to takie dekadencje i wyjątkowe czytać poezję w dzisiejszych czasach) oraz forum najwspanialszych miast świata (głosuję na Florencję). Aż

przychodzi dzień, kiedy jałowość tego wszystkiego doprowadza mnie do rozpacz. Sztuczny sposób podtrzymywania znajomości, iluzja istnienia w ramach wykreowanego „ja” pęka w momencie, gdy człowiek o imieniu Fabrice (znalazł mnie przez niefortunne z mojej strony dokonanie wpisu o treści „czytanie poezji” w rubryce „zainteresowania”) wyznał mi miłość od pierwszego wejrzenia i namawiał do lektury tajemniczego sonetu Gerarda de Nerval’a *El Desdichado*. A potem przez kolejne dni przysyłał mi o tej samej godzinie o zmierzchu kolejne wersy wiersza. Nie wiedziałam, czy to jakieś idiotyczne żarty, czy przyczepił się do mnie jakiś świr. Przeczytany w spokojny środowy wieczór sonet wprowadził mnie w niezrozumiały lęk i poczucie obcości.

Zaczynam żałować czasu zmarnowanego na pseudokontakty z ludźmi, z którymi nic mnie nie łączy, nie licząc kilku osób – z nimi odnowienie znajomości uznaję za pozytywne. Pozostałe grono jest mi całkowicie obojętne i nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Co więcej, wiem już, że są tacy, którzy nie chcą mieć styczności ze mną, na przykład mój były chłopak albo moja przyjaciółka z czasów liceum. Jej milczenie dużo bardziej mnie zabolęło. Nie odpowiedziała na moje listy, nie dała swoich namiarów. Ten dość jasny przekaz zranił mnie, bo liczyłam od kilku dobrych lat na ponowną zażyłość. Myślałam, że i ona wspomina mnie z sentymentem i żałuje nagłego zerwania przyjaźni. Cóż, rzeczywistość w smutny sposób weryfikuje wyobrażenia, jakie mamy o sobie samych, oraz jak widzą nas inni...

Andżelika na wołyńskim stepie

Program koncertu *Romances russes*: wiolonczela Mischa Maisky, fortepian Pavel Gililov, utwory Glinki, Czajkowskiego, Rimskiego-Korsakowa, Mussorgsky'ego, Rachmaninowa, Awenskiego. Jak tylko popłynęła muzyka, nabrzmiała we mnie nostalgia za pejzażami, których nigdy nie widziałam, ale tkwiły we mnie niczym wirus choroby przeniesiony do mojej krwi z krwi przodków. Niespodziewanie odzywa się wołyńska strona mojej duszy. Mam gwałtowną potrzebę pochłonięcia morza alkoholu. Chcę płakać i sycić się tym smutkiem miłości, które nigdy nie przerodziły się w rzeczywistość, a rozegrały się jedynie w ramach nakreślonych przez pragnienie i potencjał możliwości. Nagle czuję zapach szuflady kredensu stojącego kiedyś w salonie, gdzie przechowywane były albumy z fotografiami, medale Ojca i wojskowe gadżety sprzed lat – proporczyki, noże do rozcinania papieru z emblematem socjalistycznego orła i talerze z nadrukiem nazwy jednostki. Zamykam oczy i myślę o tych wszystkich popołudniach, gdy wracałam ze szkoły i czekało mnie jeszcze wiele godzin, zanim położyłam się spać. W okropnie umeblowanym, ale zawsze wysprzątanym mieszkaniu zalegała cisza, słońce podświetlało fragmenty kolorowych wzorów na dywanach. Znowu tam jestem, przechodzę z salonu do przedpokoju wyłożonego potworną tapetą, imitującą brzozy las, otwieram drzwi jasnej szafy i wdycham zapach naftaliny, jakim epatują stłoczone ubrania. Sięgam po byle jaki wieszak i wyjmuję płaszcz w niezwykłym kolorze leśnej, nieco szmaragdowej zieleni. „Czego znowu tam szukasz?” – słyszę dobiegający z kuchni niezadowolony głos Matki. Z nieodłącznym papierosem w kąciku zwiędłych warg stoi przy kuchence z ręką opartą na biodrze i miesza ciemnobrazowy sos w emaliowanym garnku z kompozycją okropnych kwiatów na białej ścianie. „Nie masz nic zadane?” – pyta. Za oknem kuchni rysują się śmiało sylwetki piętnasto-piętrowych „mrówkowców”, a miodowe światło nadaje im odrobiny uroku. „Wyjdź z psem, bo zaraz mi tu nasika” – dodaje. Do nóg łąsi się nasza potwornie otyła Sara – mieszaniec pudła i owczarka nizinnego, wesoło uśmiechnięta na swój psi sposób. Dolatuje do mnie fetor jej wiecznie zaropiałych uszu, których po prostu nie sposób niczym wyleczyć.

Dzisiaj można powiedzieć, że depresja jest syndromem naszych czasów, zjawiskiem społecznym, wręcz modą. W latach stanu wojennego nikt jej nie diagnozował, a problemy

psychiczne kwalifikowano jako nerwicę, zapisywano psychotropy, po których Matka była spokojna i pogrążona w letargu. Działała niczym pozbawiony pragnień automat. Wstawała bardzo wcześnie, aby wyszykować mnie do szkoły, a Ojca do pracy. Przygotowywała kanapki na wynos (gruba warstwa masła i wędliny), a także domowe śniadanie. Często jako pierwszy posiłek dnia jedliśmy obsmażone na patelni plastry grubej kiełbasy, tłuste gotowane serdelki, smażone krążki mortadeli maczane w jajku i tartej bułce, ewentualnie biały twaróg z dużą ilością śmietany. Ojciec wstawał przede mną i wychodził bardzo wcześnie. Nigdy nie widziałam, żeby Matka jadła w tym samym czasie co inni. Nie robiła tego, kiedy byli u nas goście (zdarzało się to dosyć rzadko, ale i tak było przykre, zwykle pojawiała się niezapowiedziana rodzina i Matka klnąc w duchu, usługiwała im i nakłaniała do jedzenia) ani nawet w wieczór wigilijny, podczas którego wycieńczona pieczeniem i sprzątaniami nie miała sił ani ochoty czegoś spróbować.

Kiedy po południu wracałam ze szkoły, Matka wstawała z łóżka i kończyła gotować obiad. Siadałam przy stole, ona zaś stała przy kuchence i paląc papierosa, jednocześnie mieszała zasmażkę do sosu albo wkładała okazałe kotlety na skwierczący smalec i ciągnęła swą pełną żalu skargę: „A TEN taki jest leniwy, że już słów nie mam. Wczoraj mówię mu, że taniej można podobno od jednego takiego kupić kilka par dzinsów. Jak będzie jechał do Moskwy, mógłby z zyskiem sprzedać, przywiózłby jakieś złoto czy futro. Ale gdzie tam, jak skoczył! On, wielki oficer, nie będzie przecież wiózł szmat na handel! Inni jakoś nie mają takiego problemu, jego koledzy na takich wyjazdach to się samochodów dorobili, ale TEN, gdzie tam! Inni to potrafią się jakoś zakręcić, załatwić coś dla domu, dla rodziny, boazerię kładą, umieją glazurę kupić albo dolary. Ale co się dziwić, oni wszyscy, cała jego rodzina, to lenie...”

Wykonywała czynności związane z przygotowaniem pożywienia z niechęcią i przymusem („co ja mam wymyślić na obiad, niech ktoś mi powie, mam już dosyć”), jednocześnie skrupulatnie pilnując każdego posiłku, jako priorytet traktując zadanie nakarmienia każdej osoby przebywającej w jej domu tak, aby nigdy nie mogła powiedzieć, że wyszła z tego mieszkania głodna. Nieustannie na kolanach zmywała podłogę, jeździła odkurzaczem albo prasowała każdą rzecz, począwszy od bawełnianych majtek, a kończąc na kuchennej ścierce. Wypełnianie podstawowych obowiązków pani domu stanowiło filar jej przeświadczenia, iż jest dobrą matką i żoną, że mimo licznych schorzeń funkcjonuje normalnie, wręcz się poświęca, bo jest przecież rencistką. Bycie chorą tłumaczyło wszystko. Zwalniało ją z odpowiedzialności za własne szczęście. Jej egzystencja wydawała się tak smutna i pozbawiona treści... Nie słuchając zbyt

uważnie jej skarg, rozmyślałam o swoich szkolnych problemach, nabijając na widelec kawałki mięsa otoczonego niemal czarną panierką – zawsze je przesadnie wysmażała, żeby przypadkiem nie zjeść czegoś niedosmażonego. Surowych produktów bała się bardziej niż tłuszczu i cholesterolu, z tego też powodu zawsze rozgotowywała ryż, makaron albo warzywa.

Zapalała kolejnego papierosa i spoglądając przez szybę zawsze zamkniętego okna (przeciąg znalazł się w pierwszej dziesiątce zdarzeń, których unikała jak ognia), coraz bardziej angażowała się w swój monolog, dopóki nie uciekałam z kuchni do swojego pokoju. Inni to, inni tamto, zawsze INNI byli lepsi, mądrzejsi, sprytniejsi i mieli większy potencjał. „Tobie tak wszystko opowiadam, bo nie mam dosłownie do kogo ust otworzyć, sama tu jestem w tej Warszawie. Nikogo tu nie ma, ani rodziny, ani znajomych... No co, mam z tą plotkarą z naprzeciwka rozmawiać, żeby potem rozniosła po wszystkich osiedlowych koleżankach? Tam, w Giżycku to miałam znajomych, przyjaciółki... Mówię ci, zawsze ci to będę powtarzać, żebyś nie dała się tak zamknąć w domu jak ja. Widzisz, sama nie zarabiam, mam tylko te grosze z renty, chora jestem, ON mną pomiata, poniża na każdym kroku – mówiła. – Ach, jak ja całe życie marzyłam o domku z ogródkiem na Mazurach. Wystarczyłoby coś niewielkiego, byle tylko mieć blisko do jeziora. Całymi godzinami mogłabym tak siedzieć i patrzeć na wodę. Tam słońce daje takie dziwne światło, jakby rozmyte, szkliste. Tej Warszawy nienawidzę, życie sobie tu zmarnowałam... I pomyśleć, że jeden taki znajomy Ojca proponował mu kupno domu w dobrym stanie, z zadbanym ogrodem. Nie był drogi, ale gdzie tam! Przecież ON nienawidzi lasu i wody. Nie było mowy, aby odpuścić tę Warszawę, bo tutaj czekała go kariera! Liczył, że zostanie generałem, i tak by się stało, gdyby nie taki jego konkurent na stanowisko – sprytny był, nie przebierał w środkach i zadenuncjował Ojca, że ten praktykuje katolickie obrządki, chrzci dzieci, wziął ślub kościelny...” – opowiadała bez końca. Ojciec jako wróg numer jeden ustępował czasami członkom swojej rodziny, której Matka nie znosiła równie mocno, jak on pogardzał jej powinowatymi. Nie rozumiała, dlaczego jej nie lubili, chociaż ciągle zwoziła im prezenty. Gościła ich, karmiła, pozwalała nocować, kiedy przyjeżdżali (najczęściej bez żadnej zapowiedzi) załatwić sprawy w stolicy. A oni umieli ją tylko obgadać. Babka była najgorsza, wścibska, złośliwa, skąpa, odwiedzała ją, a potem wybrzydzała: tego nie zje, tamtego nie może, serka by wolała albo pomarańczę. Czepiała się, że dzieci źle są wychowywane.

Matka kontynuowała swój monolog... A ta jej siostra, samotnie wychowująca dzieci, wielka kierowniczką osiedlowej kwiaciarni. Nie umiała nigdy zadbać o dom, przychodziła z

pracy, siadała w fotelu z papierosem i kawą i wydawała polecenia: ty ugotuj ziemniaki, ty zrób zakupy. Sama palcem nie kiwnęła, a do tego była wulgarna, kłótniwa, z nożem potrafiła skakać do męża, więc nie dziwne, że znalazł sobie inną, u której mieszkał, a do domu przychodził od czasu do czasu, żeby zobaczyć, jak dzieci się chowają. U tamtej miał wszystko zrobione, uprasowane, czyściutki, ugotowane... Siostra jednak walczyła. Raz spotkała kochankę męża na ulicy i pobiła ją torebką, nawyzywała od dziwek i złodziejek mężów. Kiedy indziej wykorzystwała sytuację, że mąż przyszedł do dzieci, zaciągnęła go do łóżka i zaszła w trzecią ciążę. Myślała, że do niej wróci, ale pechowo, tuż po porodzie, nie wiadomo czemu, pierwszy w odwiedzin na porodówkę z wielkim koszem kwiatów przyszedł piekarz ze sklepu sąsiadującego z jej kwaciarnią. A włosy miał jasne jak słoma, zupełnie jak mały Adaś, który się właśnie urodził. I kiedy jej mąż przyszedł do szpitala i zobaczył tego piekarza i do tego dziecko z włosami jasnymi jak ten piekarz, to tylko spojrzął, odwrócił się na pięcie i poszedł pić. Ze trzy dni go nie było. Siostra mu tłumaczyła i sam piekarz mówił, że to nie on jest ojcem, ale coś takiego się już stało, że ten Adaś nie był dla niego do końca pewny jako syn. A jej kuzynka Lodzia, coś jej odbiło w wieku trzydziestu pięciu lat – ksiądz się jej spodobał, rzuciła rodzinę i została gosposią na plebanii. Ksiądz był bardzo zamożny, do tego przystojny, jak aktor filmowy. Parafia bogata, tydzień w tydzień Lodzia do domu zwoziła kopy jaj, mięsa, masła, wszystko to parafianie przynosili. Pisano na nich donosy, ale żyli tak prawie dziesięć lat, dopóki ksiądz nie zmarł na zawał, a wtedy mąż przyjął ją z powrotem.

A jej kuzynka Hania nie miała szczęścia w życiu. Urodziła się z jedną nogą krótszą i utykała. Tańczyć nie mogła, jak szła ulicą, to jak pokraka, wiadomo było, że nie znajdzie sobie nikogo specjalnego. Pracowała do tego w zakładzie przetwórstwa rybnego, na ubojni. Tak przesiąkła zapachem ryb, że wszystkiego próbowała i niczym nie mogła go zlikwidować. Co dzień po pracy kąpała się w jakimś olejku, smarowała się nie wiadomo czym, a ten odór wciąż było czuć! Jednak kiedyś trafił się dobry kandydat, elegancki i dobrze usytuowany. Pobrali się, urodziły im się dzieci, ale on szybko sobie znalazł kogoś na boku. Zostawił ją i te dzieci. Czego się spodziewać, wziął sobie babę z takim defektem, kulawą i w dodatku jeszcze śmierdzącą! Pewnie o posag mu chodziło, bo jej ojciec, wuj Edek, wielki dom postawił, żeby chociaż tym skusić kogoś na ślub z Hanką.

Przez opowieści Matki przetaczał się korowód niesamowitych postaci, członków rodziny. Każdy zasługiwał na obmówienie, na skrytykowanie, na pokuszenie się o analizę jego losu,

przepełnioną jadem i niechęcią. Mam to po niej. Nie ma chyba osoby, nawet wśród tych autentycznie przeze mnie lubianych, której nie oceniałabym z sarkazmem i złośliwością. I uświadomiłam sobie to dopiero niedawno...

Kiedy Ojciec wracał do domu, mechanicznie wypełniając obowiązki, przynosiła mu do salonu kopiasty talerz jedzenia, a po chwili donosiła szklankę herbaty. Siedziała w kuchni, paląc papierosa, podczas kiedy on jadł. Gdy przychodziła zabrać puste naczynie, on wpatrywał się już w płachtę gazety. „Pojechałbyś do apteki” – zaczynała. Zawsze były jakieś sprawy: apteka, pralnia, poczta. „Zaraz, jak chwilę odpocznę” – odpowiadał. Z chęcią wychodził, wolał stać w kolejce, niż znosić jej gderanie nad głową. Do sklepu po bieżące artykuły chodziłam ja. Lubiłam to, nawet jeśli po przyjściu do domu musiałam lecieć znowu, bo Matka zapomniała o mące albo czymś innym. Zawsze zabierałam jakieś drobne z portmonetki. Chyba o tym wiedziała, ale nigdy nie powiedziała ani słowa.

– Ach, te twoje wołyńskie geny, zawsze musisz kogoś z założenia traktować jako nieuczciwego. – Andrzej wzdycha, gdy na głos rozważam wątpliwości dotyczące zatrudnienia nowej osoby do sprzątnięcia mieszkania. – Ale jak damy jej klucz, na pewno zaraz obejrzy wszystko, co mamy w szafkach, zrobi lustrację naszego dobytku, a może będzie używać moich kosmetyków? Taki krem Chanel to pokusa – mówiłam. Tak, wiem, mój mąż ma rację. Walczę z tym mechanizmem, ale bezskutecznie. Zawsze pierwsze przychodzą mi na myśl czyjeś wady lub sposób postępowania, który krytykuję. Absolutnie każdego mogę obgadać, znaleźć w nim wszystko co najgorsze, wytknąć wszelkie niedoskonałości, nawet jeśli czuję ogólną sympatię. A lubię kogoś, gdy wypowiada się korzystnie na mój temat. Wówczas od razu jest w moich oczach coś wart. Postępuję zupełnie jak Matka... Nawet wahania nastrojów i humory mam równie irytujące i trudne do zniesienia. Jedyna różnica polega na tym, że ja uświadamiam sobie własne wady, choć świadomość ta nie jest w stanie uchronić mnie przed korektą emocji, absolutnie niepoddających się władzy światłego rozumu.

Nieraz, kiedy siedziałam w kuchni i nie miałam nic innego do roboty, słuchałam serwowanych przez Matkę opowieści, wpadałam w prowokacyjny albo dociekliwy ton i przerywałam jej monolog, aby zadawać pytania.

Temat jej dzieciństwa spędzonego na Wołyniu pojawiał się jako jeden z najczęstszych. Byłam ciekawa, czy w ogóle Matka cokolwiek stamtąd pamięta. Miała sześć lat, kiedy jako ocaleni z rzezi otrzymali papiery repatriantów i przyjechali do Zamościa. – Coś pamiętam, ale

bardziej są to wspomnienia wrażeń. Gdy wchodzę czasem do ogrodu albo sadu – oczywiście u kogoś, bo swojego się nie dorobiłam i już się pewnie nie dorobię – ten zapach kwitnących drzew przypomina mi od razu, jak ojciec oprowadzał mnie po naszym olbrzymim sadzie, gdzie każdemu nowemu dziecku sadził drzewko i nazywał jego imieniem. Brał mnie na kolana i kroił mi gruszki. Takich owoców nigdy już nigdzie nie jadłam. Śliwki wielkie jak pół pięści, gruszki soczyste, wspaniałe, dosłownie czarne od soku czereśnie. Jaka tam była ziemia, najlepszy czarnoziem, całkowicie przez ruską zarazę zniszczony... O tym czarnoziemie mówiło się, że wystarczy garść zboża rzucić za siebie, a na pewno coś z niego wyrośnie! Ale już dzisiaj tego nie ma, wszystko zniszczyli kolchozami, reformami rolnymi, przekopali te żyzne gleby, tak że teraz nie chcą nic rodzić... – Matka wzdychała. – Ale czy pamiętasz wasz dom?

– Tak, dom pamiętam. Jako pierwszy w okolicy był kryty dachówką, nie słomą. Cały drewniany, z gankiem pośrodku. Izby duże, w każdej leżał dywan. Później tata popełnił błąd, bo kiedy pakowali dobytek do beczek, na wierzch dali właśnie te dywany. Ojciec zakopał to w sadzie, nocą. Pewni byli, że chociaż to, co zakopane, odzyskają, ale jak Ukraińcy podpalili kolonię, to i te dywany się spaliły. Ogień już dogasał, a tata pojechał tam, ryzykując życie, i okazało się, że i to, co w beczkach było, szlag trafił. Wszystko, zupełnie wszystko stracili. Nic się nie uratowało z całego gospodarstwa, tylko obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej nie spłonął, ten co w regale leży schowany... – Taki zielony?

– Tak, zielony jest jakiś. Szkło pękło, ale sam obrazek się zachował. Mówili, że to cud... W każdym razie nowiutki dom stracili, zostali z niczym, bo uciekając przed Ukraińcami, prawie nic nie wzięli, tyle co mieli na sobie. Mama tylko pierścionki i perły po swojej matce przechowała. Nie mogli wzbudzać podejrzeń, że uciekają, bo zaraz by ich zarżnęli gdzieś po drodze. Na szczęście dotarli szczęśliwie do Łucka. W domu u ciotki Omelańskiej na pięćdziesięciu metrach żyło już ponad dwadzieścia osób, sami uciekinierzy. Tylko o jednym się mówiło, ciągle ktoś przynosił okropne wieści, jak to kolejne kolonie i wsie puszczano z dymem, wszystkich mordowano, nieważne, czy to kobieta była, czy dziecko. Każdego, kto się nawinął, tak żeby cały naród polski wyniszczyć... Ojciec całe życie tylko o tym już mówił. Każdemu tę historię opowiadał, czy to listonosz przyszedł do domu, czy jak kogoś poznał. „Ja, panie, z Wołynia jestem – zaczynał zawsze. – Ukraińcy mnie całą prawie rodzinę wymordowali...”. Snuł swoją opowieść. Zawsze o siostrze swojej wspominał, ciągle jakby mu przed oczami stała. Podobno była piękną kobietą.

– A ty pamiętasz te mordy, widziałaś je na własne oczy?

– Za dużo nie pamiętam. Mordów nie widziałam, słyszałam tylko, jak ciągle o tym wszyscy mówili. A że księdza siekierą zarżnęli, a to nauczyciela z rodziną zakopano żywcem w zbiorowym grobie, jakąś kobietę ciężarną nożami w brzuch zakłuli, aż się wykrwawiła, a dzieci patrzyły na to wszystko. Tak mordowano, jakby to średniowiecze było. A jak nie mieli narzędzi, to dusili, a dzieci do studni wrzucali.

– Straszliwe barbarzyństwo. I Niemcy na to pozwalali?

– Mówiłam ci, że jak Niemcy wkraczali na Wołyń, to ich kwiatami witano. Pamiętam jak przez mgłę, że przy drodze z mamą stałam. Tacy inni wydawali się niż ci prymitywni Ruscy. Sądzono, że nic nie może być gorszego od tej hołoty. Ale coś takiego się stało po tym, jak Rosjan przepędzili, że ten ukraiński nacjonalizm zaczął szybko się odradzać. Niemcy nie chcieli się w to mieszać. Na rękę im było, że Ukraińcy za nich robotę wykonują. Zresztą Niemcy stacjonowali w dużych miastach, tam gdzie kolej była, a bandy UPA działały w lesie, skąd łatwo napadały na małe osady. Problem stanowiło rozdrobnienie. Wsie były bardzo małe, mnóstwo kolonii, takich jak nasza. Ledwo sześć czy siedem gospodarstw. – A Czechów nie ruszali?

– Nie, Czechów nie. Tylko *Smert Lachami* krzyczeli. Do tej pory, jak to słyszę, to mnie ciarki przebiegają... Wszędzie się to słyszało. Napisy na murach malowano, ulotki krążyły. Sąsiad sąsiada mordował, nawet zdarzało się, że mąż żonę! Kiedyś przyszły do ciotki dwie dziewczyny, całe nogi miały pokrwawione. Powiedziały, że ojciec matkę siekierą na ich oczach zabił, bo Polką była z pochodzenia. Koledzy, co razem do szkoły chodzili, zabijali jeden drugiego.

– Coś strasznego... I nikt nie pomagał, nie ostrzegał?

– Byli, ale nieliczni. Nas właśnie ostrzegł znajomy ojca, z którym razem na handel jeździli. Jego syn był nacjonalistą, zagroził mu, że jak coś wychłapie, to i jego zamorduje. Ale ten stary Ukrainiec ojcu powiedział, że on tego nie pochwała i że nasza kolonia następna jest w kolejce do likwidacji. Jak ojciec to usłyszał, przestaliśmy się kryć po lasach, po kościołach, tylko postanowili z matką szybko zakopać dobytek i uciekać do Łucka. – Myśleli, że wrócą?

– Myśleli, że chociaż to, co zakopali, odzyskają.

– A jak już byliście w Łucku?

– Ciężko było, ale ojciec był bardzo zaradny, zaraz zaczął z wujem bimber pędzić i wymieniał go na jedzenie lub opał. Próbował załatwić dokumenty repatriacyjne, ale to nie było proste. Czekaliśmy w kolejce. Pamiętam też, że wielu już chorowało na tyfus.

A mama ciągle i ciągle jak opętana na pogrzeby pomordowanych chodziła i zawsze mnie tam ze sobą ciągnęła. Dzień w dzień odbywały się jakieś masowe pochówki i ona kombinowała, jakby się dostać poza miasto. Wiele godzin nam zajmowały te podróże. Ja przez to zaczęłam się budzić nocami ze strasliwym krzykiem. Podobno okropnie płakałam. Dopiero ktoś mamie do rozumu przemówił, prawdopodobnie ksiądz powiedział jej: „Po co pani małą ze sobą ciąga? To nie jest widok dla dzieci”. I dopiero po tych słowach przestała. Ja też się z czasem uspokoiłam.

I pomyśleć, że nie chciało mi się iść na ten koncert... Ach, jak bardzo wołałam posiedzieć w domu, obejrzeć serial w telewizji, zjeść w spokoju mało wyszukaną kolację. Ale Andrzej powtarzał, że nie wypada, że musi się pokazać, bo zaprosił go ważny klient i potwierdził już przybycie. Z entuzjazmem wbijał się w stalowy garnitur, ja z ociąganiem malowałam oczy, co rusz wbijałam mu szpilę złościwości. Odrobinę energii wykrzesalam w sobie tylko na myśl o włożeniu po raz pierwszy małej pelerynki z wiązaniem z jedwabnych wstążek. Później oświetlony pięknie gmach filharmonii i padający śnieg wprawiły mnie w odpowiedni nastrój. Szampan na powitanie, kilka zdawkowych uścisków dłoni, prezentacja jako żony i wreszcie swoboda bycia ze sobą na widowni. Wreszcie ucichły skrzypnięcia podłóg, snop światła padł na wiolonczelę. Migotały światełka na choinkach, a piękne ornamenty i stiuki ścian zabytkowej sali, freski na suficie, dźwięki instrumentów – wszystko to sprawiło, że nawiedziło mnie niepojęte uczucie odnalezienia w sobie czegoś nowego, tchnącego nadzieją.

– Jednak odżyła w tobie ta kresowa dusza – powiedział Andrzej, widząc moją twarz, na której widocznie rysował się cień targających mną emocji.

W wyobraźni maluję pejzaż wołyński: wyblakłe, stłumione kolory (może z wyjątkiem pory wybuchu soczystej zieleni wczesną wiosną), perłowe, mleczne szarości, brudne brązy ziemi i szerniałego drewna zabudowań, zabrudzony błękit małych drewnianych cerkiewek, biel śniegu i płatków kwitnących wiśni, mętna żółć piaszczystych dróg, gama delikatnych zieleni i ginących w niej akcentów kolorów kwiatów, złoto czekających na żniwa pól.

I do tego, gdzie nie spojrzeć, bezkres płaskiej ziemi pooranej pasmami łąk i wstążkami rzek, pustka stepu tak przemożna, że budzi albo dzikość serca, albo chęć natychmiastowej ucieczki i schowania się w czymś ciasnym i pozornie bezpiecznym. Sam ogrom pogrążonej w

ciszy przestrzeni wywołuje lęk oraz poczucie, że ten spokój jest jedynie pozorny, uśpiony i w każdej chwili może go zniszczyć przyczajona w tym malowanym akwarelami pejzażu domagająca się krwi, niepojęta gwałtowność.

Te wszystkie historie rodzinne, powtarzane niezliczoną ilość razy, stanowią przekazywaną i uzupełnianą kameralną mitologię, opartą na bastionach takich faktów, jak bestialska masakra na Wołyniu. Podsycana z pokolenia na pokolenie nienawiść do Ukraińców, według dziadków stanowiła cel istnienia rodziny, jakby ich dług za uratowanie życia mógł być spłacony jedynie poprzez zaszczepianie w innych współczucia wobec ofiar i pogardy dla wroga. „W moim domu noga Ukraińca nigdy nie stanie! Ojciec mój w grobie by się przewrócił!” – mawiała Matka. Co dziwne, Tata nigdy nie powiełał historii opartych na fragmentach swojego życiorysu. Wolał przytaczać swoje wrażenia z podróży, opinie lub zdarzenia nieodnoszące się bezpośrednio do niego. Matka przeciwnie, lubiła każdej opowieści nadawać kontekst osobisty, nawet gdy wspominała swoją grubą dyrektorkę, która ważyła ponad sto kilo i na drugie śniadanie przynosiła do pracy pęto kaszanki. Zawsze gdzieś umieszczała siebie w tle: jak doradzała kobiecie, w jaki sposób odchudzić jej córkę czy poprawić relacje z mężem, który „wiadomo, że rozglądał się za innymi”.

Teraz powracanie pamięcią do słów Matki i przypominanie sobie tych historyjek, z których wyłaniała się ponura, pełna zawiści wobec wszystkich ludzi wizja świata, wydaje mi się ostateczną szansą na oczyszczenie z efektów ubocznych, jakie przyniosło doświadczenie śmierci rodziców. Myślę teraz, że cały ten ból, który nie został odpowiednio przeżyty, zaowocował traumą nerwicy i objawów psychosomatycznych, i dopiero teraz, kiedy krok po kroku cofam się w czasie, zaczynam nadrabiać to, co niemądrze chciałam ominąć, pozbywając się zbyt szybko mieszkania i znajdujących się w nich przedmiotów po rodzicach. Tuż po pogrzebie było mi tak ciężko, że wydawało mi się, iż tylko natychmiastowe uwolnienie się od balastu grzebania się w rzeczach po rodzicach w moim rodzinnym domu pozwoli mi poczuć ulgę. Z trudem wybrałam dosłownie kilka pamiątek: szable, stare zeszyty z czasów szkolnych. Zależało mi właściwie tylko na albumach ze zdjęciami. Andrzej strofował mnie, żebym niczego nie zabierała, bo nie mamy na to miejsca. Nie chciałam ani mebli, ani rzeczy z kuchni, wydawały się wręcz skalane śmiercią. Bałam się, że ich widok przypominał mi będzie piekło chorób i ostatnich straszliwych wydarzeń. Pozwoliłam więc, aby inni pozabierali to, co miało charakter użytkowy, rozdawałam wraz z

bratem komu popadło: przekazywałam meble instytucjom charytatywnym, a pazernej ciotce pozwoliłam węszyć w szufladach i szafkach, zabrać, co się jej podobało.

Bardzo się bałam. Widziałam śmierć od kuchni i miałam wizje, że spotka mnie to samo. I pomyśleć, że kiedy myśli o umieraniu napawały mnie grozą, miałam niemal pewność, że będzie mi lżej żyć, gdy ktoś z bliskich będzie już po tamtej stronie. Bardzo się myliłam.

Dzisiaj uświadomiłam sobie, że od kilku tygodni nie przestaje mnie dręczyć sen, w którym widzę Matkę. Stoi na balkonie, paląc papierosa, i nagle niespodziewanie jej ubranie zaczyna płonąć, a ona sama przechyla się przez barierkę i rzuca się w dół z siódmego piętra. „To znaczy, że ona zostawiła jakieś sprawy niezłatwione tu, na ziemi, i nie może przez to zaznać spokoju” – mówi teściowa, gdy opowiadam jej swój przygnębiający sen. Przeczytałam gdzieś, że uważa się, iż pisząc *Hamleta*, Szekspir odprawił rytuał pożegnania zmarłego syna, którego nie mógł przeżyć w zgodzie z obrzędami religii katolickiej, w tamtym czasie zwalczanej przez państwo. Więc może ja też w pewien prymitywny sposób poprawiam to zaniechanie, jakiego dopuściłam się tuż po pogrzebie. Wspominam, rozmyślam na tym, czego nie mogę już dotknąć, w myślach rekonstruuje stroje i przedmioty należące kiedyś do Matki, będące świadectwem jej życia i więcej mówiące o niej, niż znane mi fakty.

Andżelika odkrywa w jacuzzi miłość do męża

Podczas pobytu w hotelu w górach wybraliśmy się któregoś wieczoru do ulokowanego w podziemiach pomieszczenia z minispa. Dzieci z zapalem weszły do ogromnego jacuzzi i piszcząc, zaczęły się bawić. Miejsce mieliśmy zarezerwowane na dwie godziny, tylko dla nas. Rozwinęłam więc ręcznik i wchodząc do wielkiej wanny, odsłoniłam przygotowane ciało w bikini. Dokładnie wygolone pachwiny od razu przyciągnęły wzrok... Kręciło mi się trochę w głowie i szybko wyszłam z wody. Zdjęłam mokry kostium i owinęłam się ręcznikiem, który co chwila się zsuwał. Andrzej przeszedł do sauny, z której obserwował mnie przez szklane drzwi. Pozornie nie zwracając na niego uwagi, kokietowałam go, przechadzając się po sali, przeczesując zmoczone włosy przed lustrem i poprawiając ręcznik, a przy okazji odsłaniając różne partie ciała, piersi lub pośladki. Przygaszone, ciepłe światło lamp oraz palących się świec dodawało mojej bladej skórze powabu. Andrzej wyszedł z sauny i szybko opłukał się pod prysznicem, po czym podszedł do mnie i przylgnął do mnie swoim ciałem. Jego skóra jak zawsze pachniała ciepłem letniego dnia i skórą jabłka.

– Och, jaka jesteś piękna, jaka smukła, jak bardzo wyszczuplałaś, teraz to widzę. Jesteś przepiękna – jęczał. Miał erekcję.

– Przestań, dzieci patrzą – zadowolona besztalam go, pławiąc się w poczuciu własnej atrakcyjności. Maluchy radośnie pluskały się, nie zwracając na nas uwagi. Położyłam się na podgrzewanym fotelu, umieszczonym we wnęce, gdzie paliły się jedynie świece o intensywnym zapachu, a na niebieskim podwieszanym suficie błyskały drobniutkie lampki imitujące gwiazdy. Mąż tulił się do mnie, kierowany pożądaniem, gładził moją skórę, nie mogąc przy dzieciach pozwolić sobie na więcej. Słowa o moim pięknie rozleniwiły mnie i uspokoiły. Byłam gotowa rozchylić nogi i przyjąć go w sobie natychmiast – gdyby nie obecność dzieci oczywiście. Przymknęłam oczy i przez moment zapomniałam, że trwa surowa zima i upłynie jeszcze wiele tygodni, zanim zakwitną kwiaty, ale rozgrzana skóra sprawiła, iż na chwilę poczułam na niej dotyk promieni słonecznych. Wyobraziłam sobie chwile absolutnej błogości, poczucia własnego piękna, gdy leżę gdzieś na trawie i wsłuchuję się w delikatny szelest liści drzewa poruszanego

lekkim wiatrem. Spokój i doskonałość trwania w letnie popołudnie... Pomyślałam, że za rzadko korzystam z miłości, która jest na wyciągnięcie ręki.

Kiedy w końcu wysuszeni wróciliśmy do hotelowego pokoju, dzieci pobiegły się bawić w przeznaczonym do tego pomieszczeniu, i gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Andrzej już przylgnął do mnie, chcąc zaspokoić swoje pożądanie. Ja zaś nie byłam już tak chętna, lecz spoglądając na szafirowy zmierzch nad linią widocznych za oknem gór, poddałam się chciwym dłoniom. Gdy lizał moją waginę, wyobrażałam sobie, że robi to Dolores ubrana w pomarańczowo-różowe sari. Pośpieszyłam go, aby we mnie wszedł, chciałam szybko mieć orgazm. Wiedziałam, że długo to nie potrwa. Andrzej nieustannie powtarzał mi, jaka jestem piękna. Pomagałam sobie dłonią, aby tylko zdążyć, ale zabrakło dosłownie kilku chwil. Mąż osunął się obok, wyczerpany i zadowolony z siły doznanego przed chwilą wytrysku. Ja nie miałam nawet żalu. Jednak gdy mnie obejmował, szepcząc, że mnie kocha, poczułam nieodpartą ochotę zranienia go, jakby jego tkliwość i deklaracje miłości zasługiwały na poniżenie. Przez minutę czy dwie powstrzymałam się, ale gdy zapytał, czy było mi dobrze, mimo że nie miałam orgazmu, odparowałam, że nasz seks trwa dla mnie za krótko.

– Nie możesz poćwiczyć technik wstrzymania wytrysku? – zapytałam.

– To nie takie proste, próbuję się powstrzymać, ale dzisiaj nie dałem rady – odparł cicho, pozbawiony pewności siebie. Zabrałam mu jego zadowolenie.

Skąd to poirytowanie? To tylko orgazm. Wystarczy dosłownie kilka minut umiejętnego pocierania. I co w tym tak wielkiego, po prostu przyjemny skurcz, czasem dłuższy, czasem krótszy, szybko popada w zapomnienie, jak każde doznanie sensualne, smak pysznej potrawy czy przyjemność masażu. W przypadku konieczności dokonania wyboru pomiędzy seksem a zakupami, nie zawsze, ale czasami wybrałabym to drugie.

Ubierałam się, czując wewnętrzny dyskomfort. Czego więc chcę? Skąd to okrucieństwo? Więc jednak miłość i oddanie mężczyzny to też za mało? Żałowałam, że wypowiedziałam krytyczną uwagę.

– Bardzo mnie zraniłaś – powiedział ze smutkiem Andrzej w trakcie kolacji. Wzruszyłam ramionami.

Krystyna szykuje obiad, Stefan idzie na mecz

W tę majową sobotę obudziła się przed szóstą, żeby ze wszystkim zdążyć. W nocy śniła się jej Matka. Była już po tamtej stronie.

„I jak tam ci jest, mamoo?” – zapytała.

„Dobrze. Ciężko pracuję, bardzo ciężko” – odparła i odeszła. Była taka jak zawsze: oschła, pozbawiona uśmiechu, ubrana w kwiecisty fartuch, w którym chodziła po domu.

Otrząsając się z umykających resztek snu, Krystyna sięgnęła po papierosa. Zaciągała się powoli, nie włączając jeszcze światła. Czekał ją kolejny, intensywny dzień. Z szufladki kredensu wyjęła tabletkę, po czym połknęła, popijając stojącą obok łóżka herbatą. Gdyby miała domek, kawałek ziemi do uprawiania, byłoby zupełnie inaczej, pomyślała z goryczą. Widocznie w jej krwi płynęła potrzeba kontaktu z ziemią. Mogłaby godzinami patrzeć na jezioro, chodzić po lesie, czuć tajemniczy zapach roślin. Przydałaby się chociaż działka albo ogródek... Ale przecież Stefan nienawidzi kwiatów ani lasu, ma dosyć przyrody na poligonach, nie znosi wody, gór, nie podoba mu się morze. Co za człowiek! Nie kupi jej ziemi, nie będzie miała domu z ogródkiem... Matka jej mówiła, trzeba pracować, ciągle pracować...

Te bezkresne pola, gdzie okiem sięgnąć, i złocisty kolor... Jej rodzina nigdy już ich nie zobaczyła. Ciekawe, czy czasami zapach dymu, szum wiatru, daleki śpiew przypominały rodzicom o wielkiej ranie w ich sercach? Niekiedy wychodząc z zagrody, spoglądała na sunący w pośpiechu korowód wielkich chmur, czuła niezrozumiałą tęsknotę i obawę. Ale zaraz szła dalej, do swoich zajęć, zagnać krowy z pastwiska, przygotować posiłek. Zmysły karmione zapachem i smakiem tej ziemi nie chciały więcej od życia. Praca wypełniała każdy dzień, ciężka robota nie pozwalała bujać w obłokach.

Zgasła papierosa, rzucając okiem na świeżo wytapetowane ściany dużego pokoju, na ciekawy, nowoczesny wzór złożony z przenikających się ciemno- i jasnobezowych kół. Stefan będzie zaskoczony, ale gdyby czekała na jego wkład w urządzenie czy wygląd mieszkania, nie doczekałaby się nigdy na nic. Spojrzała na intensywnie niebieski wazon o dziwnym kształcie przypominającym kubał na śmieci, czerwony klosz lampy i z niepokojem pomyślała, czy to

wszystko do siebie teraz pasuje? Trzeba jeszcze odkurzyć półkę z kryształami, wytrzeć kieliszki i zakurzone liście wyrośniętego figusa.

Jednak w pierwszej kolejności łyknęła proszki, dodatkowo wzbogacając rutynowy zestaw środkiem przeciwko migrenie. Dopiero męczący kac przypomniał jej o wydarzeniach z poprzedniego dnia, świętowaniu imienin dyrektora wydziału jej zakładu pracy, które przeciągnęły się do późnej nocy. Alkohol szybko i skutecznie pomaga osiągnąć stan wielkiej łatwości obcowania z ludźmi. Zawsze chce jej się głośno śmiać, bardzo głośno, i tańczyć. Zwykle oszołomiona od niezwyklej intensywności komplementów i nadszkakiwania mężczyzn, nagle zapomina o swojej sytuacji, ni to wdowy, ni to żony, ciągle samotnej. Wreszcie okazują jej należyte zainteresowanie, składają hołd jej urodzie i zgrabnej sylwetce, której Stefan wydaje się nie zauważać.

Krystyna pościeliła wersalkę, zapaliła papierosa, a następnie wyjęła z portmonetki i przeliczyła banknoty. Wybrała jeden i zaniósła go do pokoju trzynastoletniego syna, który już się obudził, ale leżał wpatrzony smutnymi oczami na wiszący na ścianie plakat Beatlesów ze zdjęciem grupy z okładki *Rubber Soul*.

– No, wstawaj, co zjesz na śniadanie? – zapytała, jak gdyby nigdy nic, jakby w nocy Piotr wcale nie uchylił drzwi pokoju i nie zobaczył matki w objęciach pana K., kierownika wydziału spedycji, który odprowadził ją do domu. A że się chwiała i trochę ją mdlilo, wszedł z nią na górę. Syna musiał obudzić ten jej głośny, niepohamowany śmiech. Nie mogła powstrzymać wesołości, na moment wracały bez troska i wesołość z młodzieńczych lat, kiedy pomimo trudnych i bardzo skromnych warunków życia niewiele potrzeba było, żeby ją rozśmieszyć. Śmiała się ciągle i ze wszystkiego, dopóki życie nie wyleczyło jej z ducha zabawy. Teraz dawał jej do zrozumienia, jak bardzo nią gardzi. – O co ci chodzi? Przecież dzisiaj przyjeżdża Ojciec, trzeba zrobić zakupy! – powiedziała, dodając, że syn ma straszny bałagan pokoju. – O której wyszedł ten pan? – zapytał Piotr.

– Jaki pan?

– Ten, z którym się obściskiwaliśmy nago – odparł hardo syn.

– Co? Ja się obściskiwaliśmy? Jak śmiesz? Tylko mnie odprowadził, trochę wszyscy wypiliśmy, w naszym zakładzie świętowaliśmy dziesięciolecie, przecież ci mówiłam. Nie mogłam się wykręcić, czasami trzeba być z ludźmi, trochę poszaleć. Ja taka samotna przecież jestem. Twojego Ojca nigdy nie ma, jak przyjedzie, tak jak dziś, to tylko na chwilę, żeby mu

pranie zrobiła, żeby ciebie zobaczyć. A ja ciągle sama, ni wdowa, ni żona, każdy się pyta, gdzie mąż. Tłumacz się każdemu! Niczego przecież złego nie zrobiłam, on mnie tylko odprowadził i zaraz poszedł, kawy mu jeszcze dałam na kaca. Na kawę tylko został – mówiła, przecierając szmatką biurko i rozpostartą nad nim słomianą matę, gdzie Piotr szpilkami przyczepił zdjęcie jakiejś sympatii w szkolnym fartuchu. – A chcesz jeszcze tę płytę, o którą w tygodniu prosiłeś? Dam ci na nią pieniądze – obiecała, patrząc mu po raz pierwszy tego dnia badawczo w oczy. Dzieciak skusił się na transakcję, kiwnął głową. – To ubieraj się szybko, zrobię ci kanapki na śniadanie, a jak będziesz wracał z księgarni, kup warzywa, tutaj masz listę – powiedziała, badając stan portmonetki.

Kiedy Piotr wyszedł, z impetem zabrała się do prac porządkowych. Zmyła podłogi, powycierała kurze, wstawiła rosół i tuż przed dwunastą zdążyła się jeszcze przebrać w sukienkę w zielono-różowe esy-floresy. Cesała włosy w łazience, kiedy rozległ się dzwonek. Piotr otworzył Ojcu drzwi i dosłownie rzucił mu się na szyję. Kipiąc entuzjazmem, od progu zaczął opowiadać wieści ze szkoły i coś o harcerskich odznakach. Stefan wydawał się nie zwracać uwagi na żonę. Pachniał mundurem i skórą. Zajęła się więc szykowaniem mu zupy i parzeniem świeżej herbaty. Kiedy zaniósła talerz do pokoju, Stefan stał w nim na środku i z kwaśną miną wodził wzrokiem po nowej tapecie. – Jakaś taka pstrokata – powiedział z wyrzutem. – Nie mogłaś na mnie poczekać?

Usiedli z synem do jedzenia, podczas gdy ona zabrała się do prania przywiezionej przez męża brudnej bielizny. Naraz usłyszała:

– Krystyna, wychodzimy na mecz, będziemy za jakieś dwie godziny, może Adam też przyjdzie! – wołał jej mąż z przedpokoju, gdzie wkładał już buty. Po kilku minutach znowu była sama. Rozwiesiła wyprane majtki i skarpety, po czym zapalając papierosa, zabrała się do obierania ziemniaków i tłuczenia mięsa na zrazy. Sprawnie, niemal bezmyślnie przygotowywała pożywienie, prawie nie istniejąc. Zdziwiła się, gdy punkt szesnasta zjawili się Stefan z synem w towarzystwie najmłodszego brata i jego narzeczonej. Nie odnotowała nawet upływu czasu... Podnieceni dyskutowali o meczu siatkówki, zasiadając przy nakrytym stole, na który Krystyna sprawnie wniosła obiad. Jedli z apetytem, wszyscy z wyjątkiem dziewczyny Adama. W opinii Krystyny zupełnie do siebie nie pasowali, chociaż za miesiąc wyznaczony był termin ich ślubu. Ona jakaś milcząca, ładna kobieta, zadbana i bardzo modna zmieniła Adama, który zanim ją

poznał, ubierał się jak łachmaniarz i nawet porządnie nie umiał posługiwać się nożem i widelcem.

Zabierając ze stołu puste talerze po posiłku, zauważyła, że dziewczyna nerwowo spogląda na zegarek. Ledwo wniosła ciasta, Adam i jego narzeczona oświadczyli, że muszą już iść. Zapadał zmrok. Krystyna zabrała się do zmywania, podczas gdy mąż plątał się po kuchni z papierosem i wysłuchiwał, albo udawał, że słucha, relacjonowanych przez nią plotek o sąsiadach z kamienicy i wydarzeniach z pracy. On sam nie miał co opowiadać. Co mogła zrozumieć z życia żołnierza? Tłumaczyła mu, że Piotr nie ma butów na wiosnę, że kurtkę nową trzeba mu kupić i zapłacić za wczasy, a nie bardzo jest z czego. Jak tylko jej monolog zszedł na kwestie finansowe, Stefan powiedział, że musi odpocząć, i położył się na wersalce z gazetą.

– No chodź, wypij ze mną setkę wódki, pod te śledzie, które przygotowałaś! – powiedział do niej po zjedzeniu kolacji. Już wiedziała, jaki obowiązek teraz będzie musiała wykonać. Poczula potworne zmęczenie i niezrozumiałe rozczarowanie. Kiedy dzieciak poszedł wreszcie się spać, Stefan rozebrał się do majtek i pociągnął ją za sobą do łóżka. Była uległa i z trudem odwzajemniała pocałunki. Chciała, żeby jak najszybciej było już „po”, żeby zapalić papierosa i obejrzeć coś w telewizji. Tym razem, jak zawsze, chciała tylko przetrwać. Do momentu, w którym dochodziło do penetracji, było dosyć przyjemnie, ale kiedy już mężczyzna zaczynał w niej się poruszać, czuła irytację i wielką pogardę do tego zwierzęcego zapamiętania. Jakie to było żalotne, jakie uwłaczające, kiedy starali się „dojść”, jak napierali i dyszeli, a skurcze śmiesznie wykrzywiały im twarz. Kilka minut sapania i zaraz zmęczone ciało uwalniało ją ze swych objęć. „Nareszcie” – pomyślała i tym razem. Zapalili papierosa. Stefan bardzo szybko zasnął, ona nie mogła.

Rano w niedzielę wstała o szóstej, żeby wyprasować wyprane ubrania. Kiedy Stefan się obudził, gotowa już była jajecznica z sześciu jaj na boczku, jak lubił. W pośpiechu robiła mu jeszcze kanapki na drogę, pakowała torbę, bo o trzynastej miał pociąg do Warszawy. Odprowadziła go z Piotrem na dworzec, gdzie pożegnali się na kilka tygodni – niedługo zaczynała się sesja i egzaminy nie pozwolą mu przyjechać w kolejne weekendy. Dzieciak płakał, nie mógł się uspokoić, co poirytowało ją na tyle, że zrugła go ostro. W myślach planowała, co jutro włoży do pracy i kiedy zapłaci rachunki za czynsz i ogrzewanie. Piotr miał nazajutrz klasówkę, musiał się uczyć.

Rano zadzwoniono do niej do biura – dziewczyna Adama w nocy podcięła sobie żyły, skutecznie. Podobno miała romans z przełożonym, który nie chciał dla niej zostawić rodziny.

Andżelika ma orgazm podczas płatności kartą

Staram się przekonać, że tak wiele mogłoby się zdarzyć, można by żyć w duchu ekologii i naprawdę przejąć się losem świata – zrezygnować z lodówki, nie używać prądu, nie podróżować samolotami, nie kupować ubrań produkowanych przez wielkie koncerny. Można by też założyć własny blog i prezentować na nim fotografie przedstawiające różne stylizacje, własne pomysły modowe albo zdjęcia spotkanych na ulicy ciekawie ubranych ludzi. Czy to nie wciąga? Można by wreszcie przyjąć za swój cel dekonstrukcję widzianego świata i czynienie go estetycznie zjadliwym poprzez tworzenie przestrzeni życia, urządzenie i dekorowanie wnętrz, chodzenie na wystawy, wernisaże, jądanie w lokalach i spotykanie się na spacerach w parku.

Widzę właśnie taką siebie – piękną, niebanalną, otoczoną równie pięknymi ludźmi, w eklektycznym, pełnym rozmachu pomieszczeniu o wielkich oknach, za którymi kwitną wiśnie, jak kwitły kiedyś na Wołyniu...

Czas na moment zamiera, stoję w kompletnym bezruchu, poruszają się tylko w jakimś szalonym tańcu korony otaczających mnie drzew. Powinna zabrzmieć teraz muzyka, na przykład podszyty rozpaczą, pozornie wesoły Mozart. Nacierają wspomnienia wczoraj wypowiedzianych przeze mnie i do mnie słów, pędzące obrazy, milion emocji, odczuć i myśli na minutę, swoista karuzela zmieniających się ciągle stanów umysłu. Towarzyszy mi strach przed przemijaniem (ta od lat gnębiąca mnie obawa, że umrę przedwcześnie, zapoczątkowana przez dziecięce wróżenie z rąk przez siedmioletnią koleżankę, która powiedziała mi, że mam bardzo krótką linię życia), przychodzi lęk, że samo przywołanie pewnych myśli może sprawić, iż przydarzy się nam właśnie to, czego najbardziej się boimy. Narasta poczucie popełnienia grzechu pychy (czy rzeczywiście sami, w jakiś niezrozumiały sposób całkowicie samodzielnie kierujemy własnym losem, a więc nawet jeśli boimy się pewnego zdarzenia, sami potrafimy je wywołać; a przecież wszystko w rękach Boga – czy nie Jego woli należy się poddać? Jeśli istnieje przeznaczenie, czy to znaczy, że już zdecydował, kiedy zabierze nas do siebie, czy ta decyzja dopiero zapadnie? Chodź z innej strony nasze ludzkie poczucie czasu i chronologii zapewne rozmija się z prawdą nieskończoności). Odczuwam chwilowy przeblysłk zadowolenia (to ewidentne zainteresowanie mną mężczyzn, jakiś komplement czy miłe słowa). Potem ogarnia mnie poczucie niepewności,

jakby się stało na równoważni, jednocześnie nie wiedząc, czym grozi upadek z niej, i czy spadając, napotka się dostatecznie szybko przyjazne do lądowania podłoże. Nadchodzi poczucie rozpaczy, bo życie przemija i nic nie znaczy kilkusekundowa aria szczęścia na myśl o przyjemnościach, jakie czekają na mnie wieczorem (cóż wart jest łyk schłodzonego rose, smak rukoli i pestek słonecznika, czekolady i pękających od soku owoców, ile są warte dary natury, skoro doczesność jest tak niezrozumiała i bezcelowa). Nachodzi mnie pragnienie posiadania przedmiotów, zaspokojenia potrzeb, naprawdę kreowanych przez marketingowe działania maszyny konsumpcjonizmu; narasta myśl o zasłyszanych historiach o ludziach umierających na nowotwory. Przewijają się zbyt dalekie, a jednak mające jakieś niezrozumiałe znaczenie resztki snów, impulsy bólu i dolegliwości ciała; nagła chęć zaznania seksualnej przyjemności, powracające wspomnienia właśnie przeczytanej książki...

Jak zmienić swą codzienność? W jaki sposób wyrzucić telewizor, lodówkę, segregować odpady, zaniechać jedzenia mięsa, nie bywać w centrach handlowych, nie jadać w fast foodach, zażywać ruchu (ale nie w siłowni, gdzie spoceni, wygłodzeni ludzie katują się, aby mieć poczucie atrakcyjności), przestać pragnąć się podobać, obcować z przyrodą, niszczyć w sobie każdy przejaw zawiści, nie oglądać amerykańskich filmów, uwolnić się od pragnień wzbudzanych przez kulturę masową i będące na jej usługach media, nie oglądać kolorowych czasopism, być odpornym na obraz samego siebie, tworzony przez spojrzenia innych, tak samo zagubionych, lecz nie zawsze świadomych tego zatracenia? Czy to możliwe w ramach piekła łatwego życia, jakie stworzył sobie człowiek kosztem utraty tego, co najcenniejsze, i czego w ogóle już nie znamy – ukojenia lęku przed odejściem w samotności, o nieznanym godzinie i z pustymi rękami?

Nie ma jednak we mnie energii, brak mi motywacji, aby cokolwiek zrobić. Wolne chwile coraz częściej spędzam w łóżku, pod kołdrą, która oplata mnie, dając złudne poczucie bezpieczeństwa. To moje wielkie odkrycie – ilekroć mówię, że źle się czuję (mam w końcu nie najlepsze wyniki, kwalifikuję się na operację tarczycy, choć lekarz uspokajał, a całą sprawę przedstawiłam Andrzejowi w nieco przerysowany sposób), mogę się położyć w środku dnia, po prostu leżeć, zniknąć, odciąć się od wszystkiego. „Zostawcie mamę, mama jest chora” – tłumaczy dzieciom Andrzej i drzwi do sypialni pozostają zamknięte. Jestem sama, usprawiedliwiona i zwolniona z domowych obowiązków. Nikt nie może ode mnie wymagać aktywności. Mąż jest nagle w stanie sam przygotować kąpiel dla dzieci i nastawić zmywarkę. Ja

jedynie jeszcze gotuję, tego się trzymam – wszystkich nakarmić, wykonać to minimum. Jestem bohaterką, męczennicą, chociaż kręci mi się w głowie, ostatnimi siłami szykuję posiłek.

Odwracam się na drugi bok i czuję, jak serce zaczyna mi łomotać, nadchodzą znajome objawy. Naraz wydaje mi się, że boli mnie klatka piersiowa, mam ucisk w mostku i dopada mnie paniczny strach – zaraz zniknę, świadomość w jednej sekundzie zgaśnie, czuję, że przestaję oddychać. „Mama śpi, zostawcie ją w spokoju” – słyszę głos Andrzeja. Leżę dalej, przerażona tym, co się ze mną dzieje, i tym, kim powoli się staję – kimś takim jak Matka...

Co będzie dalej? Jak żyć? Nawet jeśli uda mi się zapomnieć o potencjalnych atakach paniki, mam w perspektywie wieczór z kieliszkiem wina w dłoni, odcinek ulubionego serialu, ale nie uchroni mnie to na sto procent przed czyhającymi demonami. Zupełnie bowiem niespodziewanie, w trakcie spotkania czy rozmowy, spaceru lub stania w kolejce w supermarkecie, nagle nie mogę oddychać, tracę przytomność, może ktoś wezwie pogotowie... Czuję, jak sztywnieje mi lewa ręka, mam węzeł w brzuchu, pocę się, zachowując – mam nadzieję – niewzruszony wyraz twarzy. Pytam się w myślach: „Czy to zawał?”. To może być zawał.

– Czy pani się dobrze czuje? Strasznie pani zbladła – odzywa się jakaś kobieta w kolejce przede mną. Kiwam głową, kłamię, że to ciąża, i szybciej płacę w kasie albo uciekam do toalety. Siedzę kilka minut na sedesie, starając się głęboko oddychać, ale serce zamiast się uspokoić, wciąż przyśpiesza i przyśpiesza. Co robić? Jeśli zemdleję tu, w toalecie, ktoś mnie znajdzie, jak będzie już pewnie za późno. Biedne dzieci, gdybym tak któregoś dnia po prostu nie wróciła do domu? Jak straszliwie by cierpiały... Sięgam w końcu po telefon, wybieram numer męża.

– Nie bardzo mogę rozmawiać, jestem na spotkaniu – szepce. – Źle się czuję, bardzo źle – mówię, rozpaczliwie pragnąc pomocy, uspokojenia, pociechy.

– A co się dzieje? – pyta Andrzej, jakby to nie był tysięczny telefon tego rodzaju na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy. Opowiadam o swoich objawach, on na szczęście nie okazuje zniecierpliwienia, nie bagatelizuje mojego stanu. – Może postaraj się wyjść na powietrze – doradza. Musi już kończyć. Pudruję drżącą dłonią twarz, myję ręce, po czym wychodzę z toalety, a potem wybiegam z budynku. Świeże powietrze sprawia, że kręci mi się w głowie. Idę bardzo szybkim krokiem, starając się uważnie rozglądać na przejściach dla pieszych. Gdyby teraz potrafił mnie samochód... Idę tak energicznie, że krawędź słupkowatego obcasa trafia na fragment oblodzonej kałuży i nagle czuję się tak, jakbym patrzyła na film w zwolnionym tempie,

jakbym obserwowala z boku to, co sie dzieje. Dopiero bol w kolanie uzmyslawia mi, ze upadlam. Ktos z przechodniow podchodzi, podaje mi reke.

– Nic sie pani nie stalo? – Kiwam przeczaco glowa, po czym nie zważajac na bol, podnosze sie zwinnie i znikam z ulicy. Mysle o tym, ze zaraz kupie kawe na wynos w papierowym kubku, posypie ja cynamonem, do tego salatka, ktora zmiesci mi sie do przepastnej, supermodnej torby. Ale najpierw wejde do pobliskiego sklepu, wzescniej jeszcze perfumeria... Rozgladam sie, nie szukajac niczego konkretnego. Konczy mi sie krem na noc, ale nie kupie go teraz. Obie karty kredytowe mam juz porzadnie obciazone, na biezacym rachunku debet. Przygladam sie jednak szminkom i blyszczynom, chociaz mam ich mnostwo, sa w kazdej z kilku uzywanych w tym sezonie torebek, w szufladzie komody, w samochodowym schowku, w kufierku stojacym na szafce w lazience... Jak szminka moglaby zmienic w jakikolwiek sposob moje zycie? Zawsze sie lapię na to niedorzeczne zludzenie i spontanicznie siegam po gęsty bluszczik Diora z drobinkami srebra o nazwie *Cherry snow*. Kiedy podaje ekspedientce karte, czuje, ze serce niepostrzezenie sie uspokoilo, jest juz lepiej. Slysze piosenke, ktora przypadla mi do gustu, ale nie wiem, kto jest wykonawca. Bedzie dobrze. Dziękuję z usmiechem za dorzucone do ślicznej papierowej torebeczki próbki kosmetyków i wychodzę, po czym bez namyslu kieruje swoje kroki do pobliskiego butiku pewnej marki, kojarzacej mi sie z podrózami do Włoch, jesienia w Florencji. Kupilam tam buty, torebke i ciekawe ubrania w ten pamietny dzien, kiedy dopadlo mnie oberwanie chmury. Za miesiac zaczną sie wyprzedaze i obiecywalam sobie, ze juz nie powieksze debetu na karcie, ale przydaloby mi sie cos nowego, stosownego do teatru na sztuke Harolda Pintera, na ktora pojdziemy w przyszłym tygodniu. Cos delikatnie blyszczacego, ale mniej wyzywajacego niz sukienka, jaka kupilam przed miesiacem. Przegladam kolejne wieszaki z ubraniami, robi na mnie wrazenie suknia z jaskrawym, odwaznym wzorem w stylu lat sześćdziesiątych. Zakup jednak nie przychodzi mi na powaznie do glowy, nie widze nawet odpowiedniego rozmiaru. Mój wzrok trafia juz na supermodne w tym sezonie spodnie, ale bojac sie, ze bede wygladac grubo, nie chce przymierzac, nie podolam dzis frustracji, nie dzis... Zwyczajnie trudno mi dobrać odpowiedni fason do mojej sylwetki gruszki. Gdybym schudla piec, sześć kilo, bylabyam naprawde bardzo atrakcyjna, ale nie jestem w stanie tego dokonac. Wystarczyłaby dieta kopenhaska, dwanaście dni, tylko tyle wysilku, na jaki nie jestem w stanie sie zdobyć. Choc nieustannie probuje roznych ograniczen, moja sylwetka pozostaje bez zmian.

Nagle mój wzrok pada na ułożoną w gablotce olbrzymią lakierowaną torbę. Widząc moje zainteresowanie, ekspedientka podchodzi i z cukierkowym uśmiechem informuje mnie, że to ostatni egzemplarz, wszystkie zeszyły niemal natychmiast, a to już zwiastun wiosennej kolekcji! Zastanawiam się, ale kobieta jest podstępna, wiem już, że kupię... Podobny model widziałam na reklamie Diora. Idąc z torbą do kasy (tłumaczę sobie, że mam słabość do tej marki, że to inwestycja na nowy sezon, widzę siebie na ulicy z tą torebką, gdy drzewa zaczną się zielenić; nieważne, że dwadzieścia kilka dni temu również pod wpływem impulsu kupiłam widzianą na wystawie sklepu czerwoną torebkę), biorę jeszcze T-shirt i apaszkę. Kiedy podaję kartę kredytową, czuję wyrzuty sumienia i niepokój, połączone z podekscytowaniem związanym z nabywaniem nowych przedmiotów. Świadomość, iż niebezpiecznie zbliżam się do limitu na karcie, wywołuje we mnie gwałtowne napięcie. A jeśli nie będzie akceptacji? Karta nie przechodzi. „Och, musiałam pomylić kartę” – tłumaczę się ze spokojnym uśmiechem i podaję visę, podczas gdy w głowie kołacze mi się myśl, iż kwota zakupów zapewne przekracza środki również na tej karcie. Co powiem ekspedientce? Ściskam najmocniej jak mogę nogi i krocze, zakładam jedną nogę tak, aby maksymalnie docisnąć udo drugiej. Napinam stanowczo mięśnie, staram się z całej siły, nikt nie zauważy nieco dziwnej pozycji, bo zakrywa mnie płaszcz. Patrzę tępo w wydający wreszcie odgłos wydruku terminal. Karta przeszła. Czekałam na zapakowanie wielkiej torby w worek przeciwkurzowy i wreszcie czuję, jak ucisk doprowadza do serii skurczów. Serce bije mi szybciej, przymykam oczy. Ekspedientka podaje mi papierowe torby, szybko wychodzę, jeszcze nieco oszołomiona, chociaż orgazm nie był tak intensywny i silny jak te odczuwane w trakcie seksu. Szybko wsiadam do taksówki, wraca poczucie winy, że dzieci na mnie czekają. Żałuję, że nie kupiłam im żadnego drobiazgu. Tak bardzo je kocham – serce ściska się na samą myśl o nich. Kiedy wrócę, córeczka – zawsze spragniona czułości – przylgnie do mnie swoim miękkim ciałkiem, synek będzie mnie wołał w nocy, głaskał po włosach i mówił: „Mamo, tak cię kocham”.

Telefonuję do domu, mówiąc, że zaraz będę, i myślę tylko o tym, jak ukryć tekturowe paczki ze znanym logo. Jestem zdenerwowana. Jak długo można tak żyć? Jak długo można doraźnie pocieszać się kupowaniem ubrań, kosmetyków, akcesoriów, a potem ze smutną miną prosić męża o pokrycie debetu na koncie? Te kompulsywne działania nie mają końca, nie jestem w stanie w racjonalny sposób ich kontrolować, wytrzymuję dzień czy dwa, a później nie mogę usiedzieć w domu, wariuję od rutyny i zimowej ciemności. Idę do dentysty i po drodze

nieopatrznie coś kupuję, a potem ukrywam przed mężem. Każdy ubiór, każda nowa rzecz cieszy tak naprawdę tylko przy pierwszym noszeniu, później z niezrozumiałych przyczyn traci urok, przestaje ekscytować, ujawnia wady, a czasami odstręcza i wzbudza niechęć. Ile takich bez sensu zakupionych szmat i drobiazgów zalega w szafach, ile szminek stało się moją własnością, abym już po drugim użyciu stwierdziła, że to nie to... Zdaję sobie z tego sprawę i gdy idę ulicą, powtarzam sobie, że zakupy w niczym nie pomogą, a jednak popycham drzwi do środka sklepu i mój rozum znika.

Konstancja nie może rozpocząć żniw

Minęło już sześćdziesiąt pięć lat. Śladów Kolonii Marusia nie sposób znaleźć na terenach dzisiejszych wsi w okolicach Charukowa. Może gdyby dziadek żył, instynktownie byłby w stanie wskazać tamten skrawek płaskiej ziemi, gdzie wybudował jedyny swój dom, który później spłonął, a jemu pozostawało tylko patrzeć na języki płomieni i dziękować za ocalenie życia najbliższych członków jego rodziny. Ledwo uchodząc z rzezi, nie było godnym wobec Boga żałować sadu, gdzie każde drzewko posadził własnoręcznie, ani pola zalanego złotem dojrzewających zbóż, ani tego domostwa, na którego zakup przez siedem lat po dziesięć godzin dziennie mył okna albo prasował koszule na amerykańskiej ziemi.

Często wyobrażam sobie te chwile poczucia grozy, realną groźbę utraty życia, kiedy Konstancja z mężem i rodziną schroniła się w kościele. Zewsząd dochodziły świadectwa potwornych zbrodni, a ich częstotliwość i bestialstwo latem 1943 roku gwałtownie nasiliło się na terenach powiatu łuckiego. Nie było dnia, aby Władysław nie przywoził z wyprawy na targ w Łucku coraz gorszych wiadomości o kolejnych wsiach i osadach atakowanych przez oddziały powstańcze UPA. A to piekarz, którego znali, został napadnięty nocą i zamordowany siekierą, natomiast jego żonie wbito nóż w wielki brzuch zaawansowanej ciąży, a to notariusz hipoteczny w Łucku wymordowany z całą sześciuosobową rodziną, częściowo spaloną żywcem. Kolejne kolonie i wsie padały ofiarą Ukraińców. Z początku spali w ubraniach, z podręcznym bagażem spakowanym i ułożonym przy łóżku, zupełnie jak wówczas gdy obawiali się pożaru od pioruna. W pobliskiej wsi, gdzie mieszkali nie tylko Polacy, ale też Czesi i Ukraińcy, jedna z sąsiadek podstępem zwabiła całą rodzinę do zagrody, którą podpalono z antypolską pieśnią na ustach, podobnie jak wielu innych uciekli, by schronić się w oddalonym o kilkanaście kilometrów nowo wybudowanym kościele. Dwie noce przesiedzieli wraz z setką innych osób w kościelnych ławkach, wysłuchując budzących grozę opowieści o mordach przypominających średniowieczne masakry, z wydłubywaniem oczu, wrzucaniem niemowląt do studni, mordowaniem czym popadło: tasakami, młotami, siekierami lub nawet zwykłymi nożami. Wyobrażam sobie, jak tam siedzą w zimnej kaplicy, podczas gdy pola pęcznią od obfitości plonów, czekając na rozpoczęcie żniw.

Co czuła babka, śpiewając jak inni pobożne pieśni? Czy łzy cisnęły jej się do oczu na myśl o tym, co było dotąd znudzonym chlebem powszednim, który teraz odjęto im od ust? Przecież nieraz ciężką robotą zagłuszała wewnętrzny sprzeciw i rozgoryczenie tym jednostajnym, zwykłym losem, ciągłą pracą, czekaniem, wiecznym czekaniem na coś, co nigdy nie przynosiło ukojenia. Ile by dała teraz za gwarancję tej zwyczajności. Gdyby znowu mogli jak zawsze zasiąść do stołu, rozmawiając o zniwach i spodziewanych plonach. Położyć spać umęczone pracą ciało, obudzić się o chłodnym świetle letniego, pogodnego dnia... Tylko tyle...

Władysław nie mógł się uspokoić, obawiając się o los ciężarnej siostry i jej rodziny, z którymi od kilku dni nie mieli kontaktu. Chyba szósty zmysł skłonił go do opuszczenia kościoła, mimo że Konstancja była przeciwna i krzyczała, że wpędzi ich wszystkich do grobu. Jednak na trzecią noc nie zostali w kaplicy. Pod osłoną nocy wracali do swojej Kolonii Marusi, widząc łunę ognia w okolicy osady, gdzie mieszkała siostra. Od uciekającego chłopaka, który jako jedyny uszedł z życiem z masakry, usłyszeli o przerażających okolicznościach śmierci ich bliskich. Do końca swoich dni Władysław nieustannie wspominał te okropności. Mimo że osobiście ich nie widział, zawsze miały mu stawać przed oczami. Nieszczęsną Marysię, z pięknym warkoczem sięgającym pośladków, za te włosy przywiązano do pnia drzewa i kazano patrzeć – najpierw jak mordują jej męża ciosem siekiery w czaszkę, a później jak po kolei wrywają członki i rozpruwają brzuchy czwórce jej dzieci w wieku od dwóch do sześciu lat. Na koniec, półprzytomną i obolałą od ciosów, jakie jej zadawano, ilekroć próbowała zamknąć oczy, zostawiono wiszącą na gałęzi, aby skonała w ogniu, jaki podłożyli pod osadę, uprzednio wyprowadzając z niej konie i krowy oraz wynosząc wszelki mający wartość dobytek mieszkańców. Władysław płakał i miotał się w rozpacz, podczas gdy chłopak nie chciał tracić czasu na rozmowy. Spieszył się do Łucka, gdzie mieszkała jego babka. „Uciekajcie, skryjcie się w lesie” – doradzał, w popłochu ruszając przed siebie.

O świetle, gdy z zimna tuląc się jedno do drugiego przysypiali w swojej kryjówce, banda UPA napadła na kościół, w którym niedawno się chronili, i puścili go z dymem, żywcem paląc prawie setkę przebywających wewnątrz osób.

Aby zapewnić rodzinie pożywienie, kolejnej nocy dziadek podkradł się do ich opustoszałej i jeszcze niezaatakowanej kolonii. Najcenniejsze przedmioty, srebrną zastawę, futra i dziecięce zabawki zawiązał w dywany, z których byli tak dumni, załadował do beczek, a te zakopał w sadzie. Papiery dotyczące nieruchomości i biżuterię schował do kieszeni. Odchodząc,

był przekonany, że jak wszystko się uspokoi, jeszcze tu wróci. Nazajutrz Ukraińcy zaczęli grabić ich majątek, wyprowadzili żywiec i śpiewając *Lacham smert!*, podpalili domostwa. Ogień strawił nie tylko ich piękny dom, pieczołowicie pielęgnowany sad, ale również wszystko co znalazło się w beczkach, zajęte od nieszczęsnych dywanów, które paliły się z zawrotną szybkością.

Po kilku nocach spędzonych w lesie nawet tam zrobiło się niebezpiecznie. Ruszyli więc do Łucka, do rodziny Władysława, która pomogła im przedostać się do Polski na ziemię odzyskane. „Gdybyś nie zawinął wszystkiego w te dywany...” – dzień w dzień marudziła babka. „Kobietko, ciesz się, że żyjesz, że twoich dzieci nie porąbano siekierą!” – warczał na nią dziadek.

Andżelika przestaje jeść mięso i zaczyna palić papierosy

Niedzielny poranek. Blask słońca rozlany w mieszkaniu sprawia, iż przytłaczający widok z okna na betonowe osiedle wydaje się mniej ponury. Budzi mnie zniechęcony zapach roztopionej słoniny, słyszę, jak Ojciec urządza w kuchni i robiąc wiele hałasu, z werwą smaży na patelni pomidory z kiełbasą. Akompaniuje mu dostojny, płaczliwy głos księdza odprawiającego mszę, której transmisję nadaje stare radio. Słyszę pełne zachęty pytanie:

– Zjesz trochę pomidorków? – Kręcę głową. – Nie wiesz, co dobre!

Wychodzę z odrazą, żeby nie widzieć Ojca ubranego w marynarski podkoszulek, niezasłaniający mu olbrzymiego brzucha, i jedwabne majtki z nogawką, wyraźnie żółte w kroku, z entuzjazmem mieszającego zawartość patelni. Dopiero co wróciłam z obozu, gdzie nauczyłam się palić (bez zaciągania) papierosy. Lubiłam zapalić, siedząc w otwartym oknie, i trwać tak po prostu, kontemplując widok toczącego się życia. Początkowo bałam się przyłapania, ale w końcu zorientowałam się, że dom jest do tego stopnia wypełniony dymem, że nawet gdy palę w swoim pokoju, wystarczy, bym ukryła papieros pod biurkiem, a rodzice nie zauważają (albo udają, że nie zauważają), co robię. Kiedyś jednak Ojciec wtargnął do mojego pokoju niespodziewanie, bez pukania, właśnie w momencie kiedy papieros był w moich ustach.

– Matko Boska! Moje dziecko z papierosem!!! – Złapał się dłońmi za głowę i z przesadną egzaltacją ponowił okrzyk: – Moje dziecko z papierosem!” – Po czym wyszedł i zapomnieliśmy o sprawie. Nigdy więcej nie usłyszałam jakiegokolwiek komentarza na temat mojego nałogu ani słowa nagany. Wręcz usprawiedliwiali mnie, gdy miłe sąsiadki widząc mnie palącą na spacerze z psem, donosiły rodzicom o niechlubnym procederze. Tłumaczyli, że przecież trudno zakazywać, skoro oni dają zły przykład, paląc od przeszło dwudziestu lat.

Fakt pogrążania się dziecka w nałogu nie stanowił problemu w porównaniu z tym, jak nagle – by użyć ich słów – kompletnie mi odbiło i oświadczyłam, że nie będę jeść mięsa. Zainspirował mnie mój korespondencyjny przyjaciel, wielbiciel Led Zeppelin. W jednym ze swych listów napisał, że nie ma nic bardziej naturalnego i moralnego niż rezygnacja ze spożywania naszych przyjaciół zwierząt. Matka od razu się wściekła.

– Co??? O nie!!! – wrzeszczała, tłukąc schab na kotlety. – Nie pozwolę, słyszysz, nie pozwolę, żeby moje dziecko zniszczyło sobie zdrowie! Do czego się chcesz doprowadzić? Uczyć się nie będziesz mogła, bez kawałka mięsa organizm nie będzie funkcjonował, a ty jeszcze rośniesz! – krzyczała, nie słuchając moich wyjaśnień odnośnie do faktów wyczytanych w nabytej przeze mnie *Encyklopedii wegetarianizmu*. Byłoby już lepiej, gdybym przyprowadziła do domu Murzyna i oświadczyła, że to mój narzeczony, chociaż pewnie w takiej sytuacji również nie daliby mi żyć. Ojciec wsparł Matkę swoim oburzeniem. Ponieważ ich groźby i tłumaczenie szkód, jakie wywoła powzięta przeze mnie decyzja, nie wpłynęły na zmianę mojego postanowienia, nieustannie okazywali mi dezaprobatę i podkreślali zmartwienie, jakiego im przysporzyłam. Matkę wciąż bolało serce, a Ojciec przy każdej okazji drwił ze mnie i ośmieszał moje intencje.

– Żałona jesteś, zwierzątek jej żal! Śmiechu warte, dziecinada! W czasie wojny za kawałek mięsa ludzie ryzykowali życiem! Twoja babka mogła skończyć w obozie, ale dla swoich dzieci szmuglowała kawałek kielbasy, a ty nie chcesz jeść mięsa, to niewyobrażalne! – mówił.

Kazali mi zrobić badania i pokazać zaświadczenie od lekarza o stanie zdrowia.

– Idź, idź, doktor ci może przemówi do rozumu! – gderali, a więc pełna strachu poszłam. Lekarka wysłuchiwała powodu mojej wizyty z pobłażliwym uśmiechem, zleciła badania krwi i wyjaśniła, że muszę zastępować białko zwierzęce fasolą lub innymi roślinami strączkowymi. Wróciłam do domu, triumfując, co Matka skwitowała komentarzem: „Zobaczysz, jeszcze się doczekasz, dzieci nie będziesz mogła mieć, przestanieś być płodna!”, i ostentacyjnie poszła zażyć tabletki nasercowe. Mój wegetarianizm stanowił powód do wstydu, bo dla Ojca nie było niczego gorszego na świecie niż „odmieniec”, a ja w końcu nim się stałam.

Na przyjęciu z okazji Pierwszej Komunii córki wuja wszyscy zajadali się pieczonym prosiakiem, podczas gdy ja robiłam kłopot, prosząc o same ziemniaki i surówkę, a ponieważ wszystkie ziemniaki uprzednio polano tłuszczem z mięsa, pozostała mi tylko nieszczęsna surówka i ciasta. Im bardziej jednak wzmagaly się gniew i irytacja rodziców, tym mocniej trwałam w swoim postanowieniu. Co sobotę moczyłam kilka godzin soczewicę lub soję, następnie równie długo gotowałam ją, mieliłam w maszynce i w końcu smażyłam kotlety na cały tydzień. W sklepach ze zdrową żywnością, które w tamtych czasach stanowiły nowość, kupowałam pasztet sojowy. Dietę uzupełniały sery i słodycze, a także gotowane w niedzielę zupki jarzynowe, do których – jak dowiedziałam się wiele lat później od brata – rodzice po

kryjomu dorzucali łyżkę smalcu albo dolewali wywar z kurczaka. Po niemal dwóch latach borykania się z narzekaniami, groźbami i nieprzyjemnymi komentarzami, rodzice w końcu zaakceptowali mój sposób odżywiania, osłabiając siłę i częstotliwość stosowanych wobec mnie środków. Ja tymczasem rozleniwiłam się tak bardzo, że gotowanie soczewicy nie wchodziło już w grę i niemal od rana do wieczora żywiłam się kanapkami z żółtym serem. W końcu po pełnej wrażeń nocy w jakimś klubie w trakcie wakacji poprzedzających rozpoczęcie studiów dałam się namówić dziewczynom na zjedzenie hamburgera. Po powrocie do domu i moim oświadczeniu, że znowu jem mięso, rodzice byli jakby trochę rozczarowani. „I po co było to wszystko, te nerwy, że prawie zawału dostałam?” – tak Matka skwitowała mój powrót do normalności.

Andżelika pomiędzy piekłem a nirwaną

Balansując pomiędzy rozpaczą a euforią, tłumaczę sobie, że trzeba mieć w życiu jakiś *constans*, nieruchomy rdzeń, pole w podświadomości, które będzie ostoją w sytuacji, kiedy nurt codzienności targa emocjami i w zależności od koniunktury wydarzeń jest tak dobrze, że szczęście wydaje się nie do zniesienia, albo tak źle, że lęk przed śmiercią i nieszczęściem depta mi po piętach. Szukam rozpaczliwie tej swojej ostoji. Miłość do dzieci naprawdę mogłaby mi wystarczyć za wszystko inne. Nie mogę jednak na to pozwolić, bo już wiem, że totalne pogrążenie w najwyższej tkliwości uczyni moje potomstwo emocjonalnymi kalekami, skażonymi toksycznym oddziaływaniem matki. Dla nich właśnie powinnam mieć własne, intymne źródło szczęścia. Tylko jak je odkryć?

Miłość cielesna jest zbyt uzależniona od stanu moich hormonów. Co do religii, łaska na mnie nie spłynęła, literatura wzbudza zbyt wielki niepokój, a muzyka, chociaż niekiedy umie uratować życie i postawić na nogi, coraz częściej jest tłem dla projekcji lęków i obaw, jakie głuchy na rozum umysł emituje niczym szykujący się do wybuchu gejzer.

Prześladuje mnie obraz minimalistycznego wnętrza zadymionej kawiarni (brązy i szarości) z widzianą nieco z oddali sylwetką kobiety. Jej figura jest doskonała, podobnie jak dopasowana sukienka i upięte w kok włosy. Układ ciała postaci niby statyczny, a jednak zdradza silne emocje, jakie budzą w niej niespełnione oczekiwania. Może to jest obraz, który powinnam namalować? Czy naprawdę tak ciężko spróbować? Farby o niezliczonych odcieniach, a także naciągnięte już na blejtram, zagruntowane płótno tak łatwo kupić w sklepie plastycznym. Przechodzę obok niego w drodze na targowisko. Tacham kosz warzyw, owoców i świeżych ryb. Czy czułabym to samo co kiedyś, kiedy byłam nastolatką i malowałam temperami prymitywne obrazki w stylu Chagalla (miodowe tarcze księżyców i fruwający po niebie kochankowie), to oderwanie od uciążliwego „ja”? Czy wróciłby dawny zapał, gdybym zestawiała barwy i nakładała maź na powierzchnię płótna?

Na nic się nie skarżyć, na nic... Czemu to takie niewykonalne? Chciałabym od rana do wieczora użalać się nad wszystkimi niedogodnościami losu, ale już nie mogę zatelefonować do Matki i ponarzekać na wszechobecną sierść kota w mieszkaniu. Nie mam siły ani cierpliwości

dzień w dzień zbierać jej z kanapy i nowoczesnych foteli, obitych cholernie drogim aksamitem w kolorze beżowego różu, na którym wiją się neobarokowe wzory z czarnego pluszu. Tak pragnęłam otaczać się pięknymi przedmiotami, dbałam o każdy najmniejszy element wystroju mieszkania, a teraz klnę na ciemne, egzotyczne drewno na podłodze – każdy okruch od razu rzuca się w oczy. Piękne wnętrza jednak nie pomogły w dziwnych wahaniach zniecałkowanego galopującego serca. Już zdawało się, że dotarłam do momentu, w którym nie łudzę się – już wiem, że nie będzie lepiej, nie będzie *happy endu* jak w filmie, a ulgi i uwolnienia się od lęku przed przyszłością i przeszłością nie zaznam nawet na włoskich wakacjach. Czy ciągle żale przyniosłyby mi ukojenie? Czy jak Matka chciałabym wzbudzać pożalowanie u innych? Nieustannie nowe niepowodzenia, przeszkody i kataklizmy życia codziennego (zepsute urządzenia domowe, utraty przedmiotów, brak pieniędzy) były jej orędziem zapewniającym triumf nad innymi i ich łatwym losem. W swoim mniemaniu górowała nad resztą dzięki cierpieniom, nie zdając sobie zupełnie sprawy z tego, że nikt z rodziny nie traktował poważnie jej schorzeń ani narzekania na los. Patrząc na moje dzieci, nieustannie mnie zachwycają. Czasami wystarczy padające z ich ust zdanie albo sposób, w jaki je powiedzą. Kiedy jesteśmy wszyscy razem, tańczymy szalone tańce, trzymając się za ręce (swoiste *dance macabre* do piosenek Toma Waitsa). W takich chwilach potwierdzam w duchu wartość przeświadczenia, iż nie mogłoby mnie spotkać nic wspanialszego. Ale spełnienie jedyne realnego pragnienia, jakie pojawiło się w moim życiu, zakończyło wielkie oczekiwanie. Otrzymałam łaskę, a zapłaciłam za nią dojrzałością, która oznacza koniec marzeń o miłości. A czyż nie tym się żywiłam, nosząc po świecie ciężar samotności? Koniec nieustannego wewnętrznego poczucia, że to nie do końca zidentyfikowane „coś” może w końcu nadejść, koniec gorączkowego podniecenia wywołanego nadzieją, że wydarzy się wreszcie coś niezwykłego.

Jeszcze niedawno stałam na rozstaju dróg, wyzwolona w swojej cielesności i coraz bardziej wyalienowana. Marzyło mi się życie w obcowaniu ze sztuką, w opozycji do społecznych konwenansów według standardów artystycznych środowisk, jakiś skomplikowany trójkąt – kobieta (ja) mieszkająca z dwoma mężczyznami, mająca z jednym dzieckiem, zamężna z drugim, podczas gdy mąż zakochany jest nie tylko w niej, ale też w ojcu jej dziecka. Żylibyśmy ukryci przed filisterskim światem, trzymając się własnych reguł, gdzieś w domku u podnóża gór, gdzie latem jadłoby się na deser poziomki, a zimą popijało coś mocniejszego w ciepłym kominku i spoglądało na pośpiesznie ośnieżone szczyty. Namalowałabym na ścianie miski pełne wstążek

makaronów, przepisy i kwiaty karczochów, a w łazience tropikalny fresk, dżunglę w odcieniach szalonej zieleni, trochę jak u Celnika Rousseau, ale bardziej gęstą i jaskrawą. Takie tam bajki, na które nie miałabym odwagi... Marzenia pogrzebało zniknięcie kluczowej postaci z moich pragnień. I tak znalazłam się całkowicie odosobniona, z kochankiem, który wreszcie widział szansę na wolność, z mężem, który wyjechał w siną dal, z ukochanym, który nie powiedział „do widzenia”, choć żegnał się od dawna, a ja nie mogłam zrozumieć przesyłania codziennie bukietów. Cóż, zawsze pomimo ekscentryczności i nonkonformizmu miałam wrażenie, że ulgę przyniosłoby mi życie w ramach zapomnianych konwenansów, całowanie kobiet w dłoń, kwiaty rozdawane na prawo i lewo, podążanie za tym, co dyktują rozum i obowiązek. Patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i zobaczyłam, dokąd zmierzam – byłam zadbana, śmiała, pewna siebie, zapracowana, ciągle w podróży, ciągle na lotniskach, w drodze do albo od francuskich klientów, spędzałam wieczory w restauracjach, piłam kolejne drinki, podejmowałam ciąg złych decyzji, aby tylko ominąć piekło samotnego wieczoru. Byłam jak postać z piosenki Joni Mitchell *Black Crow*. Rano wstawałam z entuzjazmem, myśląc o czekającym mnie dniu pracy. Za kilka lat nie byłabym w stanie zawrócić z tej drogi, gdyby nie spontaniczne pragnienie zajścia w ciążę, któremu na szczęście poddałam się bez oporów.

Teraz tylko pytam, czy kiedyś będzie mnie jeszcze odurzał zapach deszczu? Czy kwitnienie drzew coś znaczy, skoro nie niesie już nadziei spełnienia niemożliwego?

Może szczęście jest jedynie kwestią woli i nastawienia? Trzeba postanowić być szczęśliwym. Dlaczego nie umiem? Oddycham z trudem, jak kłoda rzucam się na kanapę, coś bredzę o szpitalu. Andrzej niewystarczająco się przejmuję, jak zawsze wstrzemięźliwy zarówno w nieszczęściu, jak i zadowoleniu. Czuję znajomy ucisk w okolicach serca. Czego, na litość boską, chcę?

– Jest mi źle, potwornie źle – łkam. Córeczka zerka na mnie z lekkim niepokojem.

– Biedna mama, nie ma nigdy czasu dla siebie. Jesteś najukochańsza – mówi, przyciskając do mnie swoje coraz większe i coraz bardziej obce ciało.

Nie kryjąc złości, która wyraża się w gwałtownych, hałaśliwych ruchach, wstawiam brudne naczynia do zmywarki. Wzdycham ostentacyjnie. Zaraz nie wytrzymam i wypalę z ulubionym tekstem: „Nigdy się nie zainteresujesz koniecznością zmycia talerza. Kiedy ostatnio włączyłaś zmywarkę?”. Chcę płakać. Łzy, wielkie jak ziarna grochu, kapią mi po policzkach na ustawiane w rzędzie naczynia. Andrzej spokojnie leży na kanapie i czyta. Zapewne tłumaczy

sobie mój stan huśtawką hormonów, nie przywiązując do niego większej wagi. Na moje „jest mi tak źle” odpowiada z lekką drwiną w spojrzeniu: „Takie jest życie, tak po prostu jest”. Przecież sama z podobnym poirytowaniem tłumaczę dzieciom oczywiste prawdy, gdy pytają, dlaczego jedno zwierzątko zjada drugie albo czemu liście spadające z drzew umierają.

– Mamo, tak cię kocham, że nie umiem tego nawet powiedzieć. Jak umrzesz, to będę przychodzić na twój grób – mówi zniecka córka, a ja podskakuję jak oparzona, reaguję gwałtownie i dzieciak zaczyna płakać, nie rozumiejąc, co się stało.

Jak zwykle niczym w soczewce Andrzej skupia na sobie wszelkie moje pretensje i rozczarowania. Chce mi się krzyczeć, wylać potok żalu. „On jest naprawdę w porządku, daj mu spokój. Jesteś za bardzo wymagająca” – przypominam sobie słowa koleżanek i zaciskam zęby.

Gdzie są te wszystkie obrazy, które miałam namalować? Po co mi była lektura tych wszystkich książek, skoro tylko pogłębiły moje cierpienia? Co z tego, że przeczytałam kiedyś siedem tomów Prousta, skoro niczego już nie pamiętam i nic we mnie pozostało, nie licząc wspomnienia siebie, gdy czytałam te książki, leżąc na trawniku na działce rodziców, z wielkim brzuchem, w którym dojrzewały kolejne dzieci. Chcę uzalić się nad sobą, na tym jak ciężko jest pracować, zajmować się domem i dziećmi, bez żadnej pomocy. Andrzej wydaje się coraz dalszy, całkowicie skupiony na pracy i związanych z nią zdarzeniach. Nieustannie telefonuje lub odbiera połączenia.

– No to o czym chcesz porozmawiać? – pyta, patrząc na mnie z podłym uśmiechem, ilekroć zarzucam mu, że w ogóle się mną nie interesuje.

Żenująca klasyka kryzysu w związku, rodem z kobiecych kolorowych pism...

– Nie wiem, o czym. – Wzruszam ramionami. Lepiej już zabrać się za pranie. O czym mam mu opowiedzieć? O trasie spaceru, jaki odbyłam, zakupie sukienki, jaką wypatrzyłam na jednej z wystaw i którą planuję kupić, jak uda mi się schudnąć pięć kilo? O marzeniach dotyczących kogoś od dawna niewidzianego, kto jako jedyny wzbudzał we mnie pożądanie i czasem lubię wyobrażać sobie, że przypadkowo spotykam go na ulicy w Warszawie, i jestem oczywiście ładna, pociągająca bardziej niż kiedyś? Ze od razu wybucha między nami potrzeba bliskości, żar, jaki zaspokajamy w pobliskim hotelu? Mam opowiedzieć o tym, co słyshać u moich koleżanek, z którymi koresponduję, utrzymując iluzję kontaktu z ludźmi, a może o książce, którą czytam? Próbuję, ale on zniechęcony rzuca znad gazety:

– To taka babska proza, nie dla mnie. – Nie do pomyślenia wydaje mi się dzisiaj, że siedem lat temu Andrzej był w centrum mojego wszechświata, a przez ostatnie miesiące pierwszej ciąży do momentu narodzin dziecka stałam się niczym uzależniony od łaski pana pies, pozyskujący czułość dzięki pokorze i dobroci. Czekałam na jego powroty z pracy jak na zbawienie, podawałam mu wyszukane posiłki, a kiedy wraz z zachodem słońca mijał upał, pod osłoną chłodnej nocy puszczałam Joni Mitchell i z zapalem zaspokajałam go oralnie, choć mój olbrzymi brzuch blokował jego erekcję.

W myślach selekcjonuję teraz zagadnienia, które – jak mi się zdaje – są kluczowe dla mojej osobowości i powinnam o nich opowiedzieć w trakcie spotkań z psychoterapeutką. Przez to wczoraj podczas bezsennej nocy wspominałam swój pierwotny lęk – prototyp tego stanu, z którym zmagam się przez całe życie, choć ostatnio szczególnie intensywnie. Zawsze bałam się wojny. Może na mój dziecięcy umysł traumatyczny wpływ miały opowieści wojenne. W latach mojego dzieciństwa pełno ich było nie tylko w telewizji i prasie, ale również w szkolnych czytankach i omawianych wierszach – wojenną martyrologię wpajano dzieciom na każdym kroku.

Może obejrzałam jakiś nieodpowiedni na mój młody wiek radziecki film, z rodzaju tych tragicznie zakończonych dramatów o sanitariuszkach, jedna po drugiej topiących się w bagnach? Najpewniej jednak dziecięcą psychikę spaczyły mi prowadzone w mojej obecności rozmowy dorosłych, które ogniskowały się wokół zimnej wojny. Kiedy miałam osiem lat, paraliżował mnie strach przed wybuchem konfliktu jądrowego. Dokładnie pamiętam tamten lęk – nie dotyczył bezpośrednio śmierci (faktu, iż wraz z wybuchem bomby umrę JA), ale był czystym, makabrycznym przerażeniem opcją nagłego końca świata – unicestwienia wszystkiego.

Skrywałam to oczywiście w sobie, ale mój stan ujawniał się w ten sposób, że zastygałam przerażona, ilekroć słyszałam odgłos syreny. Najczęściej był to sygnał przejeżdżającej gdzieś karetki, który zdawał się za każdym razem obwieszczać początek wojny nuklearnej. Pierwsza sekunda, pierwszy dźwięk paraliżował mnie, cokolwiek robiłam. Serce zaczynało wyrwać się z piersi, trzęsłam się i dusiłam ze wszystkich sił potrzebę wrzasku. Kiedyś nie wytrzymałam i pobiegłam przerażona do pokoju matki, krzycząc: „Wojna, wojna!!!”, a ona bez emocji odparła spokojnie: „Nie, to tylko pogotowie”. Dlaczego moja gwałtowna reakcja nie wzbudziła w niej zainteresowania i nie skłoniła do przeprowadzenia ze mną rozmowy? Dlaczego nie umiałam wyjawic jej swojego strachu? Może bałam się prawdy. Byłam już na tyle duża, że rozumiałam

słowa wypowiedziane w telewizji. Nieustannie mówiono o tym, że Stany Zjednoczone mogą Rosję, a tym samym Polskę jako sojusznika Rosji, w każdej chwili zaatakować bronią nuklearną.

A jednak żadne inne dziecko nie reagowało taką paniką. Widocznie byłam na to podatna. Strach zakłócał moje niby-beztroskie życie, nawet każdą zabawę na terenie trwającej piąty już rok budowy marketu spożywczego, gdzie korzystając z porzuconych przez robotników fragmentów betonowych płyt, wraz z bandą dzieciaków robiliśmy sobie domki i zamki. Nie umiałam podzielić się moimi obawami z innymi dziećmi, ale w końcu ten nieznośny ciężar postanowiłam wyjawić Ojcu. Jako oficer wojsk chemicznych miał przecież wiarygodną wiedzę na temat tego typu zagrożeń. W czasie wakacji nad morzem, kiedy to nieustannie dręczył mnie ów lęk, odważyłam się spytać go, czy wybuchnie wojna atomowa. Szliśmy akurat drogą na plażę. Nie powiedział tego „nie”, które tak potrzebowałam usłyszeć. Potraktował mnie zbyt poważnie, jako racjonalnego rozmówcę. Na horyzoncie pomiędzy wydmami ukazał się błękitny pasek wody, gdy odpowiedział – zapewne uczciwie – że nie wiadomo, ale że to możliwe. Wspomniał konflikt kubański, nakreślił sytuację polityczną w ramach zimnej wojny, a ja z bijącym serduszkiem słyszałam tylko to „nie wiem”, brzmiące jak potwierdzenie moich najgorszych obaw.

Czego mogłam spodziewać się po człowieku, któremu w rodzinnym domu kazano zjeść pieczeń z jagnięcia, jego ukochanego przyjaciela? Skoro dorastał wśród ludzi, którzy upokarzali i deptali każdy przejaw uczuć, rozumiany jako okazywanie słabości, z ponurą satysfakcją sam obalał dziecięce mity, demaskując prawdę o tym, że żadnego Boga nie ma, a śmierć jest końcem wszystkiego.

Pamiętam pewien krytyczny moment, który doprowadził mnie na takie dno rozpacz, iż nie było dnia, nie było niemal chwili, gdy jakakolwiek radość nie zostałaby zakłócona obawą przed wizją nuklearnego grzyba oraz nadejściem końca wszystkiego. Otóż w dzień rozpoczęcia kolejnego roku szkolnego nasza wychowawczyni (chyba mimowolnie, aczkolwiek mało rozumnie) wtrąciła w ramach swej przemowy do wystrojonych na galowo dziewięciolatków zdanie brzmiące mniej więcej tak: „I tak niedługo spadnie na nas bomba atomowa, i tyle tego wszystkiego będzie...” Jej niby ironiczny komentarz wtrącił mnie w czarną dziurę strachu. Przez wiele tygodni jej słowa brzmiały mi w uszach niczym autentyczna zapowiedź zagłady. Po co te wszystkie pytania o sens, o istotę, wreszcie o moralne prawo do szczęścia? (Jak powiedział pewien artysta: przyznać się publicznie do szczęścia to większy wstyd niż epatować orgazmem.)

Kiedy tulę ciało dziecka do siebie, a drobna rączka chwyta moją, czuję na policzku słodki oddech, chłonę całą swoją istotą tę błogość, drogocenną tym bardziej, że skazaną na przemijanie. Może właśnie świadomość ulotności tych doznań świadczy o ich wartości. Dzieci szybko rosną, już niedługo będę mówić: „Kiedy dzieci były małe...” i ledwo pamiętać tę słodycz tulenia małego człowieka, który dopiero zaczyna z niepojętym niekiedy entuzjazmem poznawać – element po elemencie – złożoność wszystkiego, co go otacza.

Andżelika całuje policzki pachnące kremem Nivea

„Mnie zawsze musi spotykać to, co najgorsze, zawsze wiatr w oczy!” – z wściekłością i wzbierającym żalem mówiła często Matka, myjąc garnek lub patelnię. Zawsze coś było nie tak, drobne problemy urastały do rangi tragedii i wydawały się nierozwiązywalne. „Ach! Taki ma charakter. Z tą kobietą nie da się żyć!”. Ojciec machał ręką i dopiero malująca się na jego twarzy złość nieco temperowała jej pełne wyrzutów okrzyki. A przecież nic tak tragicznego nigdy się nie działo. Nie licząc może tego najgorszego momentu z finału jej życia, nie zaznała przecież prawdziwych nieszczęść. Nie dotarła chyba nawet do takiego punktu, kiedy jest tak źle, tak bardzo boli czyjeś cierpienie, że dochodzi się do kresu trwogi i perspektywa śmierci jako ostatecznego bólu przybliża się wraz z nieodwracalną wizją końca, utraty kogoś, kogo darzy się największym uczuciem. Z tego, co wiem, ona tam nie dotarła. Nie straciła nikogo bliskiego, może nikt z resztą nie był jej bardzo bliski. Nawet choroby, których tak się obawiała, dzieci jej oszczędziły. Dlaczego więc nie umiała cieszyć się tym, co miała, i dlaczego ja nie potrafię docenić tego, co mam?

Wyobrażam sobie jej marzenia o szczęściu. I tak nigdy by go nie zaznała. Przechadzając się brzegiem morza podczas którychś wakacji spędzanych bez męża w towarzystwie dzieci, zbierała muszle i kamienie i spoglądała z żalem na mężczyzn grających z synami w plażową piłkę albo smarujących olejkiem plecy swoich towarzyszek. Ona ciągle była sama, zawsze bez grosza przy duszy. W tamtych czasach prawie nikt nie miał szans na bogactwo, więc żal za zamożnym życiem nie był tak dotkliwy. Wydawało jej się, że nie chce wiele, tylko mieć męża u boku, dbającego o rodzinę, takiego co zarabia, zapewnia dostatnie życie, wakacje nad wodą, domek z ogrodem, samochód, dobrobyt, który jej się należy, a którego nie dostała, chociaż przecież mogła trafić gorzej, jeszcze gorzej... Spacerując po nadmorskim moło, nieraz zawieszala wzrok na mężczyznach. Nie znosiła tego zwierzęcego aspektu ich natury, że zawsze im się chce wiadomo czego, że są tacy trywialni i prości, a jednocześnie tylko w nich upatrywała siłę sprawczą, mającą zapewnić jej dobre życie. „Pamiętaj – mówiła mi często – nie bierz byle kogo, szukaj takiego, który potrafi zarobić i jest dobry dla dzieci, nie szlaja się nie wiadomo gdzie, tylko wraca wieczorami do domu, daje pieniądze i nie urządza awantur!”.

Dzisiaj taka inteligenta, ładna dziewczyna o świetnej figurze ma zupełnie inne możliwości osiągnięcia statusu i pieniędzy. Nie brakuje dobrze rokujących, bogatych mężczyzn, należy tylko włożyć nieco wysiłku w ich usidlenie. Czy jednak wypełnianie sobie życia zakupami (nowe pokusy pojawiają się niemal każdego dnia, w konsumpcyjnym świecie co chwila pragnie się nowych dóbr, rodzą się nowe wizje siebie inspirowane efektami pracy całych zastępów speców od marketingu) może dać prawdziwy spokój ducha i ukoić lęki? Ja właśnie tak żyję. Nie wiedząc, co zrobić ze swoim życiem, znieczulam się pragnieniami: a to nowa torebka, a to buty, fryzura, która zmieni mój wygląd, chudnięcie, stawanie się piękniejszą wypełniają mi kolejne dni. Być może jestem niczym tabula rasa czekająca na miłość, mogącą wypełnić treścią moje istnienie. Może mimo upływu lat to, co blokuje moją równowagę, to nieporozumienie, jakim jest upatrywanie źródła szczęścia w miłości. Jeśli o to chodzi, Matka nigdy nie była aż tak niedojrzała... Kocham męża, tylko nie widzę najprostszej prawdy o jego oddaniu. Pewnie szczęście jest na wyciągnięcie ręki, ale ja go nie dostrzegam. Nie umiem docenić tego, co mam...

A może wystarczyłaby podróż? Ona potrafi wszystko odmienić... Albo chociaż kontakt z przyrodą, kawałek ogródka, który mogłabym uprawiać? Nigdy tego nie robiłam, ale potrzebę obcowania z naturą muszę mieć w genach – może ignorowanie jej jest największym moim błędem?

Patrzę na męża zaczytanego w gazecie, jednocześnie z zapalem unoszącego do ust widelec z jajecznicą. Foldery z nowymi modelami samochodów zdominowały stolik kawowy – teraz one wprawiały go w ekscytację. Był zadowolony, grała głośna, wybrana przez niego muzyka, dzieci na całodziennym pikniku nie zwracały głowy, w perspektywie miał jazdę próbną nowym modelem hondy, a po południu wyjście do kina. Zapewne na finał dnia zaplanował grę komputerową. Nie konsultując tego ze mną, na seks przeznaczył czas przed wyjściem do kina, jakieś pół godziny, tak aby spokojnie zdążyć (był tak miły, iż wkalkulował czas na mój makijaż i zmianę ubrania). Popijałam drugą kawę (wiedząc, że zaraz będę chciała kolejną), gdy dotarła do mnie smutna świadomość, jak z dużym prawdopodobieństwem może się potoczyć nasz związek. Jeszcze kilka lat i dopadnie nas kryzys wieku średniego... Moja babka nie miała dylematów związanych z tym, co począć ze swoim życiem – walka o przetrwanie wyklucza podobne problemy. Kiedy samo życie jest celem samym w sobie, nie ma przestrzeni na skupianie się na sobie ani rozbudzanie uczuć. Podświadome mechanizmy samoobronne nie pozwalają na zbyt wielki egotyzm.

Patrząc z perspektywy na dłuższy okres życia, można sobie pozwolić na ironię wobec wydarzeń, wokół których koncentruje się istnienie, i wyzbyć się emocji, jakie w czasie terażniejszym wykluczają poczucie humoru albo sarkazm.

Kiedy choroba Ojca wyszła na jaw, mój syn miał kilkanaście dni. Byliśmy na pierwszym spacerze z małym, kiedy odebrałam telefon. „Mam guza jelita, dziesięć centymetrów średnicy” – mówił Ojciec głosem, którego nigdy nie zapomnę, głosem przegranym i wypełnionym wołaniem o pomoc. Zaczęły się wyprawy do lekarzy i poszukiwanie nadziei.

Zima była ponura, a nadchodzące święta nie przynosiły wizji sielskich obrazków przy choince. Żeby nie myśleć nieustannie o szpitalu i operacjach, jeździłam z wózkiem przez kilkanaście ulic do centrum handlowego, gdzie kupowałam masę ubrań w wielkich sieciach handlowych, wybierając rzeczy dla dzieci i dla siebie, kompletnie beznadziejne, ale tanie. Chudłam po porodzie na tyle powoli, że i tak żaden strój nie dodawał mi powabu. Pieniądze w ramach zasiłku macierzyńskiego topniały w zawrotnym tempie, ciężkie, szare godziny w domu z niemowlęciem, zmieniająca się wciąż na gorsze sytuacja Ojca i nieustanne myśli o etapach jego walki z chorobą przyspieszyły decyzję o powrocie do pracy. Skupiłam się na odchudzaniu i zintensyfikowałam zakupy, zaopatrując się w coraz lepszych i droższych sklepach. Długi na kartach rosły w zatrważającym tempie, ale jedynie to pozwalało mi na brnięcie dalej przez życie i znoszenie świadomości, że będzie jeszcze gorzej. Coraz ładniejsza pojawiałam się na odwiedzinach na oddziale onkologicznym. Kiedy Ojciec przechodził kolejną operację, od której powodzenia zależała możliwość uniknięcia śmierci głodowej, stres rozładowałam zakupami w Max Marze. W pracy nie wytrzymywałam napięcia i natłoku myśli, wychodząc kilka razy w ciągu dnia do pobliskich kawiarni po kubek parującego napoju albo na moment do któregoś ze sklepów, których w ścisłym centrum miasta było pod ręką bez liku. Zakup książki albo płyty, zabawek dla dzieci, czegokolwiek, uspokajał. Wracałam do biura, hamując łzy, kamuflując torebkę z kolejnym nabytkiem. Mówiłam, że oczy łzawią mi od mrozu. I tak przetrwałam całe dwa miesiące agonii.

Wezwany do nieprzytomnego już Ojca fizykoterapeuta orzekł któregoś dnia, że śmierć nastąpi najpóźniej w ciągu trzech dni. Akurat na trzecią dobę przypadały moje trzydzieste urodziny. Po porannej wizycie w szpitalu (pogłaskałam Tatę po rękach, pocałowałam w ciepłe policzki pachnące kremem Nivea) uczestniczyłam w burzliwych negocjacjach kampanii społecznej, w której brał udział mój pracodawca. Cały mroźny dzień, do późnego popołudnia

spędziłam, zapominając o tym, co dzieje się z Ojcem. Każdy telefon przyprawiał mnie o dreszcz przerażenia. Wysłam z budynku, gdy było już ciemno, i postanowiłam nazajutrz pojechać do szpitala, bo dzieci czekały na mnie w domu z prezentami i laurkami. Czekając na taksówkę, kupiłam jeszcze w biegu śliwkową szminkę Estee Lauder i krem na noc Clarinsa oraz mały tort dla męża i dzieci we francuskiej cukierni. Przed wizytą w szpitalu obiecałam sobie, że wejdę na chwilę do kościoła – czułam silny przymus znalezienia się w cichej, pustej świątyni. W domu smutek i świadomość agonii Ojca nie pozwoliły na toasty. O świcie obudził mnie Andrzej, mówiąc, że Tata odszedł. Matka nawet jeszcze nie płakała, powiedziała tylko: „Zobacz, doczekał, żeby nie umierać w twoje urodziny”. Kiedy kilka godzin później dotknęłam stężącej twarzy Ojca, poczułam dotkliwie zimno i zrozumiałam, że już tylko w ramach wspomnień poczuję zapach skóry posmarowanej kremem Nivea. Pogrzeb odbył się z wielką pompą, z salwami oddanymi przez szpaler żołnierzy. Nad grobem przemawiali generałowie. Trzęsłam się, ubrana w czarny, wcięty w pasie płaszczyk, o kroju idealnym do mojej sylwetki. Matka jakoś się trzymała – w centrum uwagi, jako główna odbiorczyni kondolencji, poruszona rozmachem wojskowej oprawy. Nie przeszło mi przez myśl, że równo rok później w tym samym płaszczyku (choć już nieco zmechaconym i z rozdartą kieszenią) będę stać w tym samym miejscu, żegnając Matkę. Nie będzie wojska, nie będzie tylu gości, choć chłód ten sam i stypa w podobnym składzie w tej samej restauracji na terenie cmentarza...

Gdy spojrzę wstecz na siebie z pogrzebu Ojca i rok później, w momencie pogrzebu Matki, widzę, jak moje długi osiągnęły poziom krytyczny (debet na koncie, dwie karty kredytowe maksymalnie wykorzystane, w minimalnym zakresie spłacane z pensji, aby w ciągu kilku zaledwie dni znowu dobiły do limitu i bym żyła za grosze wyciągane od męża). Kupowałam jeszcze więcej ładnych ubrań i torebek. Do tego nie mogłam usnąć bez wypicia połowy butelki czerwonego wina. W okresie choroby Matki moją psychikę ratowały tylko dzieci, bo w kontaktach z nimi musiałam wziąć się w garść i odwzajemniać ich uśmiechy. Kiedy szły spać, otwierałam wino. Zawsze piłam samotnie, Andrzej nie lubi alkoholu. Przy trzecim kieliszku rausz rozlewał się leniwie po całym zmęczonym ciele, pozwalając na relaks i spokojne współlistnienie z przerażającymi wspomnieniami niedawnych chwil. Matka śniła mi się co noc, zawsze prawie źle, tragicznie, była zła i niezadowolona. „Lepsze wino niż prochy” – mówiłam, a mąż z zafrasowaniem udawał obojętność wobec mojego nałogu. Wracając z pracy, co drugi dzień wstępowałam do sklepu z alkoholem, i chociaż poczucie winy rosło z każdym tygodniem,

perspektywa wieczoru bez kilku kieliszków była bardziej przerażająca niż wizja braku pożywienia. Wiosną zaczęły się napady lękowe i ataki nerwicy. Wypijane wieczorem wino tylko wzmagало niepokój i powiększało strach przed nagłą śmiercią.

Krystyna i szczęśliwy dzień, z którym nie wiadomo, co począć

Na wyjazd do Warszawy specjalnie uszyła sobie nowy kostium z błękitnej boucle a la Chanel. Dobrała torebkę i buty na niewielkim obcasiku. Przygotowała się starannie, aby godnie reprezentować męża, którego spotkało wyróżnienie – zaproszenie na uroczysty obiad z samym generałem Jaruzelskim w Milanówku. Stefan był niemal pewien, że awans na generała ma w kieszeni.

Kilka dni przed wyjazdem Krystyna zemdląła w pracy. Trafiła do szpitala z krwawiącym nosem, pewna, że to guz mózgu albo coś równie paskudnego. Myślała, że to koniec. Nie mogła dosłownie uwierzyć, kiedy lekarz powiedział jej, że jest w trzecim miesiącu ciąży. Źle zniosła tę wiadomość, wystraszyła się – od lat trwała jej kuracja hormonalna, problemy z okresem i migreny. Nikt nie potrafił jej powiedzieć, czy zażywane leki nie wpłynęły na płód, czy dziecko będzie zdrowe. Nie potrafiła się opanować, paliła papierosa za papierosem i myślała o tym, że nie da rady urodzić. Stefan przyjął tę wiadomość spokojnie, jeśli nie obojętnie. Twierdził, że ucieszył się, choć ta radość wydawała się powierzchowna. W pewien sposób kolejne dziecko nie miało drastycznie zmienić jego życia – będzie więcej wydatków, więcej kłopotów, i tyle. Zajęty pracą nad swoją świetnie rozwijającą się karierą w wojsku, specjalnie nie widział powodu, dla którego Krystyna miałaby nie czuć się zadowolona. Jej płacz i melancholijna mina zaczęły go wręcz irytować. „A co z moją pracą, jak sobie poradzimy bez mojej pensji?” – pytała. Gdy odpowiadał, że zacisną pasa, raczyła go kolejnym potokiem problemów nie do przeskoczenia. „No to najwyżej wrócisz do pracy, wynajmiemy nianię albo dzieciak pójdzie do żłobka” – mówił, z trudem hamując wściekłość. „O nie! Do żłobka nigdy me oddam i nie zostawię półrocznego niemowlaka z obcą babą, żeby mi zmarnowała dziecko!” – krzyczała Krystyna. Żadne rozwiązanie było nie do przyjęcia.

Do Warszawy wiozł ich samochodem szofer jednego z generałów, więc w podróży zachowywali kontrolowaną ciszę. W walizce wiozła swój nowy kostiumik. W spódnicy guzik w pasie przestał się już dopinać. Kiedy dotarli do hotelu Gromada, w którym ich zakwaterowano, Krystyna czuła się już bardzo senna i zmęczona. Bez kolacji położyła się spać, a gdy obudziła się nazajutrz, pierwsze spojrzenie na luksusowy w jej mniemaniu pokój i widok z okna na zalane

słońcem centrum miasta wtłoczyło w nią od dawna niezaznane upojenie. Z werwą ubrała się, uczesała włosy w kok i szukając szczotki do włosów, otworzyła szufladę nocnej szafki. Leżało w niej (nie mogła w to po prostu uwierzyć!) francuskie czasopismo z Catherine Deneuve na okładce, a pod nim pękata kosmetyczka, wypełniona dobrami, o jakich Krystyna mogła tylko marzyć! Czego tam nie było: cienie do powiek, perfumy Opium, puder, sztuczne rzęsy w pudełeczku, kredki, szminki, tusze, nawet słoiczek brokatu. Wszystko markowe, nie do kupienia u nas, niewiarygodnie wspaniałe. Musiał to zostawić gość będący tu przed nimi. Jak to możliwe, że obsługa hotelowa przeoczyła takie skarby?! Podniecona pokazała swe odkrycie Stefanowi, który zajęty czekającą go wizytą w Sztapie Generalnym nie miał czasu zajmować się głupotami. Poganiał ją gdy nagle zapominając o mdłościach, malowała powieki błyszczącym paskudztwem. W hotelowej restauracji zjedli jajecznicę (Krystyna siedziała dumna w swoim komplecie, wyperfumowana zachodnim zapachem, czuła się piękniejsza niż zwykle i przyciągała wzrok przechodzących mężczyzn), po czym Stefan zostawił ją samą na trzy godziny. Samochód miał po nią przyjechać o dwunastej i zawieźć do Milanówka.

Słońce zalewało nowoczesne place i odbudowywane ulice miasta, sprawiając, że zachciało jej się pójść na spacer. Włożyła płaszcz i chustkę na świeżo uczesane i polakierowane włosy, wzięła pod pachę francuskie czasopismo i wyruszyła w kierunku pobliskiej ulicy Nowy Świat. Tutaj, w Warszawie, nastała już wiosna. Czuć było ożywienie i pulsowanie ziemi, mimo że zieleni w centrum nie widziało się zbyt dużo. U nich, na Mazurach, w lasach leżał jeszcze gdzieś śnieg, a większość drzew była naga.

Szła, rozkoszując się światłem i ciepłem. Przyglądała się wystawom i przechodniom – nie wyglądała gorzej niż warszawianki! Kupiła pluszowego misia w śmiesznej piżamce i kilka kolorowanek, szal z jedwabiu w kolorze lila i klipsy. Zjadła deser sultański w słynnej kawiarni Blikle, o której dotychczas tylko czytała w gazetach. Siedząc przy kawiarnianym stoliku i patrząc na przystojnych mężczyzn, takich eleganckich, po raz pierwszy poczuła się spokojna, pogodzona ze swoim stanem. Przeglądała francuskie czasopismo, myśląc o strojach, jakie da do uszycia według wzorów pokazywanych przez modelki na zdjęciach. Jej myśli wciąż wybiegały w przyszłość – Stefan zostanie generałem, przeniosą się do Warszawy, jej dzieci dostaną się tu kiedyś na studia... Kiedy mówiła znajomym, że przeprowadzają się do stolicy, trochę narzekała, choć czuła dumę i podekscytowanie skokiem, jakiego dokona kariera męża. Na elegancki obiad do pięknej willi w Milanówku przybyło kilkunastu wyróżnionych oficerów z małżonkami.

Podawano wykwintne potrawy, wspaniałe słodkości – Krystyna chłonęła wielki świat, z uśmiechem pozując do pamiątkowych fotografii z generałem Jaruzelskim, pełnym estymy i elegancji, który podchodził do każdego z zaproszonych, witał się uściskiem dłoni i zamieniał parę słów. Cieszyła się, że ciąża jeszcze nie naruszyła jej wspaniałej figury. Inni zaproszeni byli również na poziomie, elegancy, jak ona i Stefan. Było przyjemnie i miło, i kiedy szofer wiozł ich na ostatnią noc do hotelu Gromada, myślała, że nie trafił się jej taki najgorszy mąż – właściwie jest całkiem przystojny, wysoki, postawny, nie umie, co prawda, zrobić nic w domu, niczego naprawić, ale zarabia nieźle, idzie w górę. Z dumą snuła plany, jak będzie przedstawiana jako generałowa. Ich kolejne dziecko na pewno urodzi się wspaniałe i zdrowe. Kiedy jednak zmęczona położyła się na hotelowym łóżku, podczas gdy Stefan wyskoczył po papierosy, wizja przyszłości i związane z nią poczucie podekscytowania przyszło niczym bańka mydlana. Kto dał jej prawo oczekiwać tyle dobrego? Przecież w efekcie nic się nie układa po jej myśli. Tyle radości z powodu szminki i perfum, które zostawiła jakaś baba? Tyle zadowolenia, bo pojechali na nic nieznaczący obiad do obcych ludzi? Stefan skoncentrowany tylko na wojsku, na świecie, do którego nie miała wstępu, w końcu doprowadzi do tego, że znowu zostanie sama, z niemowlakiem na głowie, zmuszona prowadzić dom, zajmować się dziećmi, spędzać samotne noce w pustym łóżku... A to wszystko i tak przeminie, zniknie w ułamku sekundy, przestanie istnieć... Może nawet już jutro zabiją się w wypadku, w końcu to trudna i długa trasa...

Nie mogła zasnąć. Ubrana jedynie w halkę, stała w oknie, paląc papierosa za papierosem, w ciemności pokoju, którego ciszę burzyło chrapanie męża. Pomyślała o Matce, o tej chwili, gdy jechali w bydlęcym wagonie z ciałkiem jej zmarłego brata w walizce. Co wtedy czuła? Skąd miała siłę brnąć dalej, skoro na końcu i tak czeka nicość? I co po tym wszystkim, po tych oczekiwaniach, niespełnionych pragnieniach? Po co to wszystko, po co?

Andżelika się odchudza

Jako dziecko byłam gruba. Pulchnej ośmio-, dziewięcioletce tusza tak bardzo nie przeszkadzała, jadłam to, co mi podawano, nie zastanawiając się, jakie będą tego konsekwencje. Uwielbiałam słodczyce, ale w tamtych czasach czekolady było jak na lekarstwo, a na kartki żywnościowe otrzymywało się przydział stu czy dwustu gram czekoladopodobnych cukierków, które zwykle nazywały się górnolotnie „trufle”. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić opisywanych przez rodziców sytuacji, gdy kiedyś, „za Gierka”, wchodziło się do byle jakiego sklepu i czekolady zwyczajnie leżały na półkach. Pozostawało więc jedzenie na deser nieśmiertelnych waniliowych budyniów o konsystencji masła albo obrzydliwego, przesadnie gęstego kisielu. Jako małe dzieci za drobne pieniądze otrzymane od rodziców kupowaliśmy w małym sklepiku zwanym „dolarowcem” po kilka sztuk żelków-miśków Haribo, których dzisiaj całe paczki wyrzucam do śmietnika, bo moje maluchy nie mogą już nawet na nie patrzeć. Wyłożone w sklepiku za ladą wafelki czy orzeszki w kolorowych zagranicznych opakowaniach wydawały się zwiastunem niedostępnego, lepszego świata, w którym wszystkie dzieci muszą być szczęśliwe, bo kto by nie był, posiadając lalkę Barbie, klocki Lego, małpkę ssącą kciuk albo trójpoziomowy piórnik. Później odkryliśmy ciastka w prywatnych cukierenkach i to stało się moim przysłowiowym gwoździem do trumny...

Gruba była też moja starsza o dwa lata koleżanka Ala, mieszkająca dwa piętra nade mną. Zawsze stanowiła dla mnie wzór i imponowała mi swoją ślepą i totalną miłością do wokalisty zespołu Modern Talking, a także ubiorami i zamiłowaniem do jedzenia. Spędzałyśmy czas głównie w jej mieszkaniu, gdzie często nie było rodziców. Smażyłyśmy frytki albo przygotowywałyśmy świństwa typu blok czekoladowy, w którym kakao jako towar deficytowy stanowiło zaledwie piątą część całej masy, w głównej mierze składającej się z mleka w proszku i pokruszonych herbatników. Dopóki Ala była otyła, dla mnie większe znaczenie miały wspólne popołudnia i przyjemności jedzenia. Martwiłam się tylko wówczas, gdy moja waga zaczynała przewyższać jej wagę. Nie rozumiałam, dlaczego moja koleżanka w pewnym momencie zapragnęła chodzić na kurs tańca, kosztem oglądania w moim towarzystwie kolejnego odcinka serialu brazylijskiego, dodatkowo umilonego przez miskę tłustego popcornu. Randki z

chłopakami stały się bardziej podniecające niż kolejne wiadomości o okropnej żonie Thomasa Andersa. Ala nienawdziła jej tak bardzo, że wbijała co wieczór kilka szpilek we własnoręcznie zrobioną laleczkę wudu, której twarz miała oblicze sztywnej Niemki.

Matka wzdychała często, patrząc, jak przymierzam ubrania w sklepie odzieżowym, co stanowiło dla mnie prawdziwą traumę. Byłoby mi zapewne lżej na duchu, gdyby każdej sprzedawczyni nie tłumaczyła, że jestem otyła, bo poszłam w swojego Ojca, który ma „taki” brzuch (przerysowanym gestem pokazywała wystającą część brzucha jak w ósmym miesiącu ciąży), u niej w rodzinie wszyscy byli przecież chudzi... Szybko straciła złudzenia co do mojej osoby. Po tym jak minął okres bycia słodką i piękną dziewczynką, zbrzydłam i roztyłam się. To tylko potwierdziło obawy, iż spośród moich genów dominujący charakter miały te wywodzące się z rodziny Ojca. Wszyscy jej członkowie byli zwaliści, korpulentni, o ciężkich kościach i grubej, tłustej skórze (co akurat procentowało wraz z upływem lat). W rodzinie Matki przeciwnie, chudzi, niespecjalnie przepadający za przyjemnościami jedzenia, o cerze delikatnej, bardzo czulej na upływ czasu, urodzie więdnącej z odejściem wczesnej młodości i skłonnościami do uzależnień.

Podobnie jak brat miałam apetyt, choć podobno nie aż tak wielki jak on – przynajmniej tak twierdziła mama. „Gdzie to ja nie chodziłam, pytałam lekarzy, co robić. Inni chłopcy biegali, uprawiali sport, a ten jak kloc nie nadażał za kolegami. Musi pani – mówili mi – dzielić porcje na pół, po prostu jak nakłada pani ziemniaki, to połowę tego co dawniej, kotlet jeden, nie dwa – często wspominała. – No ale co było robić, jak on zjadł i zaczynał płakać, że jest głodny? Jak mu odmówić? Ja nie jestem w stanie nie nakarmić głodnego, taką mam naturę!”

Pomijając budowę ciała (wiem, że nigdy bez interwencji chirurga nie pozbędę się grubych kostek u nóg, a szerokie biodra, które tak pomogły przy porodzie, zawsze stanowiąc będą moją zmore), główną przyczyną naszej rodzinnej otyłości był sposób odżywiania i przeniesione na warunki kuchni socjalistycznej (ze wszystkimi jej substytutami i brakami) przepisy wołyńskie. Dieta opierała się oczywiście na mięsie i tłuszczach zwierzęcych. Ponieważ miesięczny przydział mięsa na kartki był niewystarczający, pod osłoną nocy rodzice kupowali co jakiś czas od gospodarza naszego bloku o wdzięcznym nazwisku Skwara ćwiartkę świeżo ubitego prosiaka, przemycanego przez rodzinę naszego ciecica ze wsi. Do późna w nocy rodzice uwijali się przy porcjowaniu mięsa, jako ukoronowanie ciężkiej pracy traktując podsmażenie na patelni drobnych resztek, określanych uroczym terminem „świeżynka”.

Margaryną i wszelkimi roślinnymi tłuszczami rodzice pogardzali jak chyba niczym innym na świecie. Nawet naleśniki smażyli na patelni posmarowanej uprzednio słoniną. Zaszokowałam tym moją nauczycielkę, a koleżanki doprowadziłam do śmiechu, gdy pewnego dnia pojawiłam się na lekcji gotowania z kawałkiem słoniny i gęstym ciastem naleśnikowym. Ojciec nie jadał ryb, bo nienawidził zapachu oleju, dlatego dzień w dzień w domu śmierdziało mieszaniną zapachów dymu papierosowego i skwierczącego smalcu. Do dziś mam mdłości, ilekroć poczuję jego zapach.

Przeciętny jadłospis dnia powszedniego wyglądał mniej więcej następująco:

Śniadanie: Podsmażone na smalcu plastry mortadeli lub mielonki, obtoczone w jajku i tartej bułce
Drugie śniadanie: Kanapki z masłem i wędliną.

Obiad: Zawieszista zupa z mięsem doprawiona śmietaną lub zasmażką
Kotlet schabowy lub mięso w gęstym sosie, ziemniaki, smażone buraki lub mizeria.

Podwieczorek: Jabłko tarte z marchewką, budyń lub kisiel.

Kolacja: Smażone plastry kiełbasy lub kanapki z wędliną.

Trudno się dziwić, że wszyscy (oczywiście z wyjątkiem Matki, która pogrążona w depresji akurat jedzeniem nie umiała się wspomagać) byliśmy otyli. Nawet Sara, nasza suka, miała monstrualne rozmiary, co z biegiem lat doprowadziło w końcu do otuszczenia jej serca i w efekcie przyczyniło się do śmierci w trakcie operacji wycięcia macicy. Kiedy raz w roku dochodziło do obcięcia jej bardzo długiego włosia, wyglądała jak tłusta beczka na chudych nóżkach i nie było spaceru, żeby dzieci nie pokazywały sobie psa palcami, pękając ze śmiechu. „Przecież muszę dać, jak pies tak czeka i patrzy na mnie”. Mama wzruszała ramionami, gdy ktoś zwracał jej uwagę na tuszę zwierzęcia. Lubujący się w zwierzęcym tłuszczu i mięsie Tata, dopiero gdy wykryto u niego raka żołądka, przyznał, że kuchnia, jaką preferowali, była jednak niezdrowa. Gdy do tego jadłospisu w latach dojrzewania dołożyłam słodczyce, z roku na rok wyglądałam coraz bardziej tragicznie. Doszło do tego, że mając trzynaście lat, przy wzroście metr sześćdziesiąt trzy, dobiłam do 108 centymetrów w biodrach i ważyłam ponad siedemdziesiąt kilo, aby w momencie zakończenia podstawówki osiągnąć apogeum – osiemdziesiąt dwa kilogramy! Czasami idąc przez podwórka osiedla, słyszałam za sobą upokarzające gwizdy i pokrzykiwania: „Gruba, gruba!”, a niekiedy nawet: „Z takimi biodrami to tylko do rodzenia dzieci się nadajesz!”. Z czasem przyzwyczaiałam się do upokorzeń i niesmaku, jaki wywoływał we mnie widok własnego ciała. Marzyłam o różnych chłopcach, ale nie mogłam

liczyć na jakiegokolwiek zainteresowanie z ich strony. Na dyskotekach zawsze tańczyłam w grupie, a kiedy puszczano wolne piosenki, uciekałam zażenowana podpierać ściany. Którejś nocy w trakcie pobytu na kolonii udawałam, że śpię, podczas gdy na łóżku stojącym obok mojego miętoszyła się koleżanka z jakimś wprowadzonym cichaczem chłopakiem. – Kto tu leży obok? – zapytał.

– Andżelika. – Aaa, ta gruba!

– Nie jest wcale aż taka gruba – broniła mnie koleżanka.

– Jak to nie, widziałem przecież. Ma monstrualny tyłek! Chłopak nie był zbyt delikatny.

– Cicho, jeszcze usłyszysz...

– A niech słucha, może przestanie tyle zreć! Oczywiście leżałam jak trusia, udając, że śpię, choć usłyszane słowa spowodowały, że tej nocy nie zmrużyłam oka. Z każdego wyjazdu wracałam o wiele chudsza, ale wystarczało kilka tygodni w domu, aby wrócić do dawnych gabarytów. Jednego roku spędziłam wakacje na obozie harcerskim, gdzie sami gotowaliśmy posiłki w kuchni polowej, załatwialiśmy się w zbudowanej własnoręcznie latrynie, a główną atrakcją było śpiewanie podniosłych pieśni przy ognisku albo zdobywanie sprawności typu „milczek” czy „niejadek”. Bieganie po lesie tak mnie odmieniło, że kiedy wróciłam, Matka krzyknęła z triumfem: „No, wreszcie! Teraz nikt nie powie, że jesteś gruba!”. Niestety, wystarczył powrót do dawnej diety i pierwszego września znowu miałam sto osiem w biodrach. Mijały kolejne lata, a ja wraz z pojawieniem się trądziku i słabnącym wzrokiem wymagającym noszenia okularów stawałam się coraz okropniejsza, coraz bardziej niepełna i zakompleksiona. Dziewczęta w moim wieku miały „stałych” – jak to się określało – chłopaków, i chociaż w tamtych czasach nikt nawet nie myślał o inicjacji seksualnej w wieku czternastu lat, sam fakt, iż nikt nigdy mnie nie pocałował ani nie prosił o chodzenie, był na tyle frustrujący, iż musiałam różnymi sposobami próbować bagatelizować swój defekt i wynikający z niego brak zainteresowania płci przeciwnej. Koncentrowałam się więc na wzdychaniu do idoli typu John Bongiovi czy George Michael, zamalowywałam ściany pokoju postaciami o naturalnych, męskich rozmiarach i twarzach wyciętych z fotografii z gazet. Rysowałam szalone komiksy, których bohaterkami były najbliższe koleżanki, i w ten sposób walczyłam o ich zainteresowanie oraz przychyłność. Lubiły mnie – kto nie chciałby zobaczyć własnej postaci przedstawionej karykaturalnie, ale zawsze sympatycznie, jako wspaniałej bohaterki opowieści czytanej w całej klasie? Dzięki pani Będkowskiej, nowej nauczycielce od plastyki, pojawiła się też nieoczekiwana

iskierka nadziei na możliwość funkcjonowania w całym tym potwornym otoczeniu przytłaczających blokowisk i wszechobecnej brzydoty ludzi, ich ubrań, wystroju wnętrz, krajobrazu... Już sam wygląd nowej pani był przełomem w społecznej rutynie tamtych czasów. Z włosami obciętymi na języka, okularami w czerwonych oprawkach, w spódnicach do ziemi i z fantazyjnymi broszkami nie mieściła się absolutnie w żadnym kanonie mody lat osiemdziesiątych, w których królowały obcisłe mini, bufiaste rękawy, brokat i tapirowane fryzury. W ponurych i wypełnionych tandetą czasach stanu wojennego była zwiastunem nadziei na możliwość uczynienia życia chociaż odrobinę pięknym. To jej zawdzięczam zainteresowanie malarstwem i niesłabnący zachwyt nad sposobem, w jaki przeistacza ono potworną rzeczywistość w niekwestionowane piękno.

Już na pierwszą lekcję plastyki przyniosła albumy, aby pokazać nam reprodukcje Moneta i Gauguina. Nigdy dotąd nic nie poruszyło mojej ciekawości jak tamten wykład o obrazie *Impresja, wschód słońca* i rewolucji dokonanej przez impresjonistów w postrzeganiu malowanych obiektów. Obrazy z tahitańskiego okresu Gauguina na zawsze utkwily mi w pamięci. Na zawołanie mogę przywołać mocno zarysowane sylwetki Tahitanek i szaloną kolorystykę płócien. Wtedy właśnie odkryłam dla siebie drogę ucieczki od otaczającej mnie brzydoty. Potrafiłam całe wyplacane przez Matkę kieszonkowe wydać na książkę o postimpresjonizmie czy album malarza. O swoich pasjach powiedziałam kiedyś pani Będkowskiej, a ona zachęciła mnie do malowania. Wszystko, co sobą prezentowała, stanowiło dla mnie nowość i fascynowało poprzez wyraźną odmienność od tego, co obserwowałam we własnym domu. Moi rodzice bardziej wegetowali, niż żyli, w otoczeniu tandetnych tapet w wytłaczane esy-floresy, ze swoim filisterskim światopoglądem i kotletami co dzień na obiad. Pani Będkowska była inna, chociaż mieszkała w bloku z wielkiej płyty, takim jak nasz, i wykonywała zawód nauczycielki. Miała też dziecko i męża, więc teoretycznie nie wykraczała poza społecznie usankcjonowane normy, a jednak umiała żyć inaczej. W jej trzypokojowym mieszkanku, do którego zapraszała czasami dzieci na własnej roboty ciasto salon nie wyglądał tak, jak pokoje urządzone przez naszych rodziców. Na ścianie wisiał portret Piłsudskiego, potężne, dębowe regały zajmowała ogromna ilość książek, a na środku stał stary, okrągły stół, przy którym chwaliłam się (pamiętam, bo inne dzieci dziwnie na mnie patrzyły) przeczytaniem książek Scotta Fitzgeralda. Sam fakt interesowania się sztuką, poszukiwania jej w codziennym życiu poprzez chociażby otaczanie się książkami i albumami, stał się dla mnie wyznacznikiem

stylu, do jakiego aspirowałam. Moje zainteresowanie malarstwem jedynie poirytowało rodziców, a Matka nie kryła swoich pragnień, pytając wciąż, czy nie kręci się koło mnie jakiś chłopiec. Tak bardzo chciała móc się czymkolwiek pochwalić, albo chociażby nie musieć się wstydzić, że jej córka odstaje od dzieci innych kobiet...

Pogrążona we własnym poczuciu ułomności i bycia gorszą od reszty koleżanek, bardzo liczyłam na to, że wszystko w moim życiu zmieni liceum. Chciałam odseparować się od wszystkich, których znałam, znaleźć się w nowym środowisku, gdzie nie musiałabym walczyć o bycie w klubie tak żałosnymi sposobami, jak koloryzowanie postaci koleżanek w taśmowej ilości obrazkowych opowieści. Oczywiście bardzo dla mnie typowa nadzieja, że nagle coś się zmieni, przyniosła mi jedynie rozczarowanie. Nie zmieniło się niemal nic, było nawet gorzej, bo nauka wymagała więcej skupienia, a ja nie radziłam sobie z matematyką ani rosyjskim. Nadal czułam się samotna, choć teraz muzyka zastępowała mi towarzystwo rówieśników. Coraz bardziej pogrążałam się w swoim świecie. Wracając ze szkoły, przed zabraniem się do lekcji zjadałam obiad i paczkę ciastek czy wafelków i szukałam pocieszenia w płytach Led Zeppelin czy The Doors. Nie znałam absolutnie nikogo, kto kojarzyłby te stare zespoły, dopóki w ogłoszeniach gazety harcerskiej nie zauważyłam prośby o listy od fanów muzyki Led Zeppelin. Odpisałam rzeczowo, koncentrując się na opisie ulubionych utworów i sposobu, w jaki je zdobywam. W tamtych latach pozyskanie tej muzyki wymagało sporej przedsiębiorczości. Poszczególne płyty nagrywano na kasety magnetofonowe w specjalnych wypożyczalniach, choć nie było ani jednej w całej Warszawie, która dysponowałaby całą dyskografią.

Artur, bo tak miał na imię ów korespondencyjny znajomy, odpisał z wielkim zapałem, dzieląc się wrażeniami ze zdobytych płyt. Nasza wymiana listów z czasem się rozwinęła i oprócz płyt Led Zeppelin tematy, jakie się w niej przewijały, zaczęły się koncentrować wokół podróży, przeczytanych książek, marzeń i planów na przyszłość. On chciał zostać pilotem, ja górnolotnie stawiałam na malarkę, chociaż nigdy nie wierzyłam w swój talent. Nie odważył się poprosić o moje zdjęcie, ja oczywiście nie prosiłam o jego. Z listu na list liczyłam jednak na coś więcej niż naiwne rozważania o złu, które wyrządza światu cywilizacja, i chęci życia jak Indianie Ameryki Północnej. W końcu doczekałam się mało konkretnej, ale jednak, propozycji spotkania. Wystraszona wizją pokazania siebie potencjalnej miłości (naturalnie chciałam, aby on okazał się przystojny, i nie umiałam opanować tych wyobrażeń), ignorowałam te aluzje, choć oczywiście pragnęłam, nawet bardzo, aby znajomość ta potoczyła się w romantycznym kierunku: oboje

spodobamy się sobie, zakochamy i odległość trzystu kilometrów, która nas dzieli, nie będzie miała znaczenia...

Po skończeniu z marnymi wynikami pierwszej klasy liceum wyjechałam na obóz, licząc ponownie na wielką zmianę. Tam jednak napotkałam tylko pogardliwe spojrzenia koleżanek, które szykując się na dyskotekę, nakładały błyszczące cienie na powieki i perłowe szminki na usta, nazywając mnie hipiską. Dla mnie był to komplement, choć w tamtych czasach moda na kolorowe spódnice do kostek (szyte zresztą przez Matkę) i biżuterię z koralików jeszcze nie zdążyła się pojawić. Dzisiaj powiedziałabym, że byłam trendsetterką wybiegającą w przyszłość mody, bowiem dwa lata później świat ogarnęła muzyka grunge i po niemal dwudziestoletniej nieobecności w wielkim stylu powróciły spodnie-dzwony.

Rozczarowana brakiem zmian w moim życiu, wróciłam do swojego smutnego świata i znowu skoncentrowałam się na Arturze, upatrując w nim nadziei na odmianę swego losu. Coś jednak się we mnie zmieniło, musiałam chyba w końcu zrozumieć, że jeśli nie wezmę spraw w swoje ręce, nic i nikt nigdy mi nie pomoże. Z dnia na dzień przestałam jeść. Matka właściwie przez pierwsze dwa tygodnie nie zorientowała się nawet, że nie tykam już smażonej kiełbasy na śniadanie i zawiesistego sosu z mięsem na obiad. Z żelazną konsekwencją rano połykałam dwa chlebki Wasa, o piętnastej porcję rozgotowanego ryżu i dwie parówki. Codziennie pozwalałam sobie na jeden mały cukierek i to wszystko. Ta drastyczna zmiana diety, choć bardzo niedoskonała, z nikim niekonsultowana, przyniosła oczywiście zadziwiające efekty. Po miesiącu koleżanki przestały mnie poznawać na ulicy i nie było dnia, żebym nie usłyszała co najmniej trzy razy zdziwienia, ile schudłam. Matka niby się cieszyła, ale trochę rozczarował ją fakt, że dokonałam tego całkowicie sama, bez jej udziału, a nawet wiedzy.

Krystyna przeprowadza się do stolicy

Andżelika miała cztery lata, kiedy całą rodziną przenieśli się do Warszawy. Stefan stał u progu wielkiej kariery w Sztabie Generalnym, przydzielono mu samochód służbowy z szoferem oraz niewielkie, ale tymczasowe mieszkanie w samym sercu miasta, na Brackiej. Ze względu na ceny nieruchomości lokalizacja ta dzisiaj byłaby wygraną na loterii, lecz wówczas, w połowie lat siedemdziesiątych, dla osób przyzwyczajonych do spokoju kameralnego miasta życie na siódmym piętrze budynku otoczonego największymi arteriami komunikacyjnymi przechodzącymi przez centrum, z nieustannym szumem tramwajów, sprawiło wszystkim wiele trudu. Aklimatyzacja trwała miesiącami. Klęli na niemilknący nawet nocą hałas komunikacyjny, fowistyczne światła neonów bijące po oczach, ilekroć chciało się spojrzeć przez okno, tłok na ulicach, podejrzane i nieprzychylnie spojrzenia sąsiadów na „tych z prowincji”. Nawet przemieszczanie się po wielkim mieście i brak w okolicy parku czy placu zabaw dla dzieci stanowiły problem. Stefan znosił to wszystko dużo lepiej, całkowicie pochłonięty nowymi obowiązkami i swoją rozwijającą się w szybkim tempie karierą. Krystyna natomiast z dnia na dzień traciła dotychczasowy impet i siłę przebiccia, zmagając się z okrutną codziennością, jakiej dotąd nie zaznała, wypełnioną płaczem dzieci i roszczeniami, których nie była w stanie zaspokoić, życiem w biegu, wśród obcych i nieprzychylnych osób. Dzieci z trudem dostosowywały się do nowych warunków. Andżelika panicznie bała się komunikacyjnego ścisku. Płakała przeraźliwie i wyrывała się z rąk, ilekroć trzeba było wsiąść do zatłoczonego tramwaju, w którym popychano ją i deptano jej po nóżkach. Nie było dnia, żeby nie marudziła, nie chcąc iść do przedszkola, bo nie umiała nawiązać kontaktu z nowymi kolegami. Dzieci me miały się z kim bawić, gnuśne i niezadowolone żądały coraz to nowych zabawek i atrakcji, ale matka nie była im ich w stanie zorganizować. „Niedługo się przeprowadzimy i będzie lepiej” – zapewniała. Przeprowadzka była jedynym ich punktem odniesienia. Dzień w dzień męczyła Stefana, aby przyspieszył w jakikolwiek możliwy sposób przydział nowego mieszkania, które budowano gdzieś na nowym osiedlu, poza centrum miasta. Poza narzekaniem na Warszawę i ewentualnymi zagadnieniami związanymi z wychowaniem dzieci niewiele mieli tematów do rozmowy. Stefan nigdy nie opowiadał o pracy, to był jego męski świat, całkowicie zamknięty dla kobiet. Kogo

zresztą interesowałyby te sprawy. Każdego tygodnia wyjeżdżał do Krakowa, gdzie zostawał przez dwa, trzy dni. Teoretycznie mógł tam mieć jakąś kochankę, ale Krystyna nie miała nawet siły na podejrzenia i ewentualne śledztwo, nie zależało jej już na niczym. Coraz bardziej męczyła ją bezsenność. Godzinami wsłuchiwała się w szum autobusów, wypalała dziesiątki papierosów, pogrążona w obcości, wyprana z jakichkolwiek planów czy marzeń. Z czasem deficyt snu tak mocno dawał jej się we znaki, że łykała garściami proszki nasenne, przez co budziła się rano z ogromnym trudem, ledwo powłócząc nogami. Kiedy szła rano z dziećmi, spojrzenia przechodniów mówiły jej o tym, iż musiała sprawiać wrażenie pijanej. Docierała do pracy w Ministerstwie Transportu zawsze spóźniona, gotowa na reprimendę, przez którą zabierano jej premię. Z trudem i bez dotychczasowego entuzjazmu wykonywała obowiązki ograniczające się do nadzoru nad mieniem powierzonym pracownikom. Atmosfera w biurze również wpływała na jej nieszczególny stan psychiczny. Och, jak przeklinała tę Warszawę, jak jej nienawidziła! Popelnili błąd, ale nie mogła nic zrobić, kariera jej męża kwitła, zarabiał coraz więcej, chociaż życie w stolicy było drogie i mieli do dyspozycji mniej gotówki niż na prowincji. „Tutaj dzieci się porządnie wykształcą, będą miały dostęp do wszystkich kierunków studiów” – mówił Stefan. Zalety mieszkania w Warszawie były w pewnym sensie niezaprzeczalne. Cóż, Krystyna nie zajmowała już ważnego stanowiska kierowniczką zarządzającą dziesiątkami pracowników, nie była już nawet polską Zośką Loren – tutaj nikt nie oglądał się za nią na ulicy. Jej uroda natychmiast zwiędła, a pogłębiająca się depresja sprawiła, że strój – i tak z resztą krytykowany przez pracownice biura – przestał być dla niej ważny. Już nie rozmyślała wieczorami, w co ubrać się następnego dnia do pracy, nie wymyślała uczesania ani nie miała planów, jak wyglądać na najbliższym wyjeździe czy pracowniczej imprezie. Tutaj nikt ich nigdzie nie zapraszał, nikt nie znał i nie miał zamiaru poznać. Każdy gdzieś pędził, sąsiedzi odnosili się do nich podejrzliwie i niechętnie, zdawało się, że z założenia każdy, z kim miała styczność, traktował ją złośliwie, jak wroga, wszystko jedno czy była to wredna urzędniczka, czy wyniosła zdzirowata ekspedientka. Wszyscy, ale to wszyscy napawali ją odrazą, nie traktując jej należycie i nie widząc w niej kogoś, kim w istocie była. Stefan jeszcze bardziej nieobecny w domu niż kiedyś, dzieci stłamszone, pozbawione dawnej przebojowości, przytłumione przez to okropne miasto.

Dawki relanium szybko się podwoiły, i tak nie dając oczekiwanego rezultatu. Sytuacja zaczęła się pogarszać, kiedy wykryto u niej kamienie w nerkach, a lekarz zalecił picie dużej ilości piwa ze względu na jego właściwości moczopędne. Zaczęła od dwóch małych butelek

wieczorem, aby w ciągu krótkiego czasu dojść do szczęścia. Po całym wypełnionym bieganiną dniu dwa piwa wystarczały, aby poczuć kompletny bezwład i otępienie, które nie pozwalały jej cokolwiek zrobić w domu, bawić się z dziećmi czy sprawdzać zeszyty. Dawała im pieniądze, aby zjadły coś w barze mlecznym, mieszczącym się na dole ich budynku, a później wysyłała po piwa do pobliskich delikatesów, z czasem pozostając obojętna nawet wobec lęku związanego z koniecznością przejścia przez dziecko ruchliwej ulicy. Znowu piła. Chciała mieć tylko swoje piwo i żeby zostawiono ją w spokoju Coraz bardziej pograżała się w otępieniu, dopóki nie pojechali ze Stefanem na oficjalne przyjęcie dla kluczowych oficerów sztabu i ich żon. Wystrojona w zgodną z ówczesną modą powłóczystą suknię do ziemi, z gigantyczną atrapą róży na ramieniu, czarnymi włosami ułożonymi w loczki i śmiałym makijażem, tańczyła do późna w nocy, śmiejąc się wreszcie i bawiąc. Nie rozumiała nawet, czemu ludzie patrzą na nią tak wymownie. Dopiero Stefan złapał ją za łokieć i poprosił, żeby szybko wyszli. Nazajutrz gigantyczny kac uświadomił jej, jak mocno podziałał na nią alkohol w połączeniu z zażywaniem lekami Mąż był wściekły. „Znowu pijesz! Nigdzie cię więcej nie zabiorę, wstydu mi narobiłaś, jak cholera Wszyscy generałowie byli, wszyscy, od których zależy mój awans, a ty jak jakaś kurwa leciałaś do każdego, zaczepiałaś mężczyzn, sama ich prosiłaś do tańca” – wrzeszczał. Potulnie tłumaczyła się, że to przez lekarstwa, że niewiele wypila. Później zaczęła płakać, żalić się, jak jej ciężko w Warszawie, że jest chora i nie ma z kim słowa zamienić. Nie śmiała jednak wieczorem otworzyć butelki piwa. Zwiększyła dzienną dawkę relanium i postanowiła nie brać alkoholu do ust. Do końca życia nie wypila już choćby łyka żadnego napoju z procentami.

Andżelika i jej szczęśliwy dzień

Moment bolesnego szczęścia, z którym nie wiadomo, co począc, jakiejś tkliwości, od której zapiera mi dech. Tak niewiele trzeba, wystarczy być razem, śmiać się, uczestniczyć w akcji piękna. I równie nagle jak nastaje ta rozpierająca błogość, nadchodzi gwałtowna świadomość przemijania – bolesny błysk zatruwający tamto poczucie szczęścia i nieodwracalnie obracający je w niwecz. Zdarzają się dni, kiedy wszystko układa się w pasmo sukcesów, poczucie zadowolenia narasta z upływem każdej godziny, jakiś *flow* wszystkiego, co się dzieje, bez bólu, z dużą dawką energii, z pozytywnym podejściem (banały z kobiecej gazety). Miałam poczucie, że wszystko mam za sobą i że wynika to faktu, iż nie dawałam sobie pozwolenia na euforię zadurzenia, na ten taniec niedopowiedzeń, przeplatający zdarzenia rodem z codzienności i wyobraźni. Aż nadszedł powszedni z pozoru dzień, który sprawił, że czułam narastającą intensywność doznań, zaspokojenie zmysłów (wspaniałe smaki jedzonych potraw i pitych napojów, zapachy kwitnących drzew, moje odbicie w lustrze satysfakcjonowało z kilku powodów: miałam na sobie niesamowicie piękne buty, sukienkę w abstrakcyjny deseń i kilka sznurów etnicznych koralików, nową fryzurę, przypominającą mi siebie sprzed lat, gdy brzucha nie zniekształciły jeszcze cięższe, byłam szczupłą i ubrana w dzinsy i koszulę w kolorze fuksji, spacerowałam po odwiedzanym po raz pierwszy Rzymie, mieście, które wróciło dzisiaj w moim śnie), niemal pełnię, prawie szczęście, gdy spotkałam przypadkowo kogoś z przeszłości, kto objawił się w niecodziennej dotąd roli. Wydał się w jakiś sposób bliski, choć niewidziany od lat, i nagle ujawnił skrywane dotąd uczucia. Wszystko było w tym dniu, co z życia można wycisnąć: piękna pogoda, obiad jedzony w paryskim stylu, przy stoliku na uroczej ulicy. Napływające wiadomości składały się z samych dobrych informacji, zbierałam jak kwiaty na łące dowody sympatii otoczenia, a także komplementy. Spontanicznie kupiłam skórzaną kurtkę, jakiej szukałam od dawna, i szpilki z zamszu w kolorze szmaragdowym, które bardzo mi się podobały. Wspaniały był spacer w drodze do domu, niosłam prezenty dla dzieci i wiedziałam, że sprawię im wielką radość i będziemy się razem śmiać, i bawić. Moje ciało sygnalizowało potrzebę cielesnego kontaktu, na który przygotowywałam się w myślach, planując wcześniej położyć

dzieci spać. Z werwą robiłam kolację, gdy zabrzmiał śpiew kobiety o wyjątkowym, pięknym głosie uosabiającym kryjący się w nim smutek.

W jednej chwili wkradły się gorycz, trwający ułamek sekundy skurcz obcości i poczucie klęski. Za oknem widowiskowo zachodziło słońce. Malownicze chmury jeszcze nie zasłoniły kolorów ostrych konturów pomarańczowej kuli – nadciągało niebo w barwie indygo. „O czym ona śpiewa?” – zastanawiałam się, gdyż nie znałam niemieckiego i nie rozumiałam słów pieśni. Uświadomiłam sobie, że to, co odczuwałam w ciągu całego dnia, to „prawie szczęście”, a euforia i symfonia zmysłów napawają teraz jedynie goryczą. Akurat w chwili, gdy dociera do mnie świadomość przemijania, ulotności tego wszystkiego, miłości, doświadczania piękna... Widok tańczących i wariujących dzieci nie niesie już radości, lecz niepokój – cóż wart jest nasz śmiech, nasza miłość i czułość wobec siebie, skoro i tak to wszystko przeminie, a być może nawet zniknie.

Później, po nastawieniu prania i wyczyszczeniu umywalki ze śladów po czekoladzie, usiadłam przed komputerem, poszukując wiedzy na temat zasłyszanej pieśni. Zapamiętane pojedyncze słowa doprowadziły mnie do Mahlera. Okazało się, że była to pieśń Ruckerta, zaczynająca się od słów: „Ich bin der Welt abhanden gekommen”.

Może winna jest niekorzystna zmiana pogody i ciśnienia atmosferycznego, może wspomnienia miejsca na cmentarzu pokrytego śniegiem na nagim polu, a może widziany w wiadomościach telewizyjnych korytarz oddziału onkologicznego, na którym leżeli rodzice, tego parapetu, gdzie Matka podpisywała zgodę na chemioterapię kończącą jej życie... Nie mogłam spać i ryzykując obudzenie dzieci, włączyłam pieśń Mahlera. Wielokrotnie przeczytane słowa pieśni sprawiły, że niemieckie wyrazy nabrały dla mnie właściwego znaczenia. Nagle dotarła do mnie trywialność i powierzchowność mojego istnienia, ten zaklęty krąg beznadziejnej pracy, kupowania ubrań i akcesoriów mających poprawić wygląd, czas zmarnowany na oglądanie seriali, wieczny brak pieniędzy, przyzwyczajenie do picia wina w samotności. Czy taka słabość nie powinna bardziej irytować niż jakiegokolwiek defekty urody?

Czy niekomunikowane nikomu, intymne odczucie oddalenia od świata nie byłoby wygraną? Życie prawdziwe, w książkach, w muzyce, we wnętrzach obrazów, we własnym raju...

Rano miałam już wątpliwości co do zrobionych poprzedniego dnia zakupów. Po co mi kolejna kurtka, skoro mam już trzy? Buty zaś tak skrajnie niepraktyczne... Andrzej westchnął, mówiąc: „Zupełnie jak Matka! Nigdy nie jesteś zadowolona”. Przypomina mu się scena sprzed

lat, gdy pojechaliśmy razem z Ojcem kupować jej beret. Wytyczne, jakie dała odnośnie do zakupu, były na tyle skomplikowane, iż znalezienie w sklepach towaru spełniającego wybujałe kryteria okazało się niemożliwe. Debatowaliśmy, oglądając kolejne modele, aż w końcu – po bezowocnym odwiedzeniu kilku miejsc – wróciliśmy do sklepu z początku wyprawy, gdzie postanowiłam kupić beret najbardziej zbliżony do wizji Matki. Gdy daliśmy jej owoc naszej kilkugodzinnej eskapady, zrobiła swoją słynną minę wyrażającą niechęć, rozczarowanie, ale też swego rodzaju triumf, jakby jej oczy mówiły: „Wiedziałam, że nic z tego”. „Przecież mówiłam, że miał być z moheru, z dłuższym włosiem, bez atenki, i kolor nie twarzowy” - powiedziała. Kiwała głową. Ojciec bez słowa, pokornie, już pogodzony z obrotem spraw, napił się herbaty i pojechał zwrócić nietrafiony zakup do sklepu.

Patrzę w lustro i wspominam jedno z najsilniejszych emocjonalnie obietnic składanych sobie w dzieciństwie, ilekroć widziałam następujący obraz rodziców: w salonie o ścianach wyłożonych obrzydliwą połyskującą tapetą w kwiaty Ojciec, ubrany w podkoszulek i majtki, leży na boku na obłożonej musztardową narzutą wersalce i czyta gazetę, paląc papierosa. Matka zaś z kwaśną miną patrzy tępo na włączony telewizor, a papieros zwisa z kącika jej ust. „Nigdy nie będę TAKA jak oni” – grzmiało we mnie silne postanowienie. Moje życie nie mogło być równie jałowe, równie puste i żalosne jak ich. Czy rzeczywiście czuję coś innego poza ciężarem przetrwania do końca dnia, do końca tygodnia, do końca miesiąca, i tak dalej, dalej, do przodu, do mety? Czy oprócz faktu, iż otaczają mnie piękne przedmioty, nie jadam na obiad smażonego mięsa, tylko zielone curry, a na wakacje jeżdżę do Toskanii, jestem mniej jałowa?

Konstancja w bydłym wagonie

Nikt nie szuka sensu życia, jeśli co dzień człowiek musi wyęczać siły, aby po prostu przetrwać. Przeżycie staje się jedynym celem, jedyną drogą, a radość płynąca ze świadomości, iż znowu udało się zrobić krok do przodu, wydaje się wielkim szczęściem. Marzenia, plany, sny o miłości to nic więcej niż bajki bez znaczenia, jakie można w pogodnej chwili kleić w wyobraźni, a potem otwiera się oczy i widzi trwogę, niepojęte okrucieństwo, wciąż nowe i nowe nieszczęścia. Aż nie sposób uwierzyć, że kiedyś ciągle się śmiała, chodziła z innymi dziewczętami na pola oglądać z daleka Ukraińców w trakcie żniw, słuchać ich niezwykłego śpiewu, który brzmiał obco i pięknie. Kto uwierzyłby, że dziesięć lat później ci sami ludzie zgładzą jej ojca, sąsiadów, kuzynów, bratową, małe dzieci, że będą mordować w najokrutniejszy sposób, jak żadne krwi bestie, w których odblokowano jakieś hamulce. Wspominała to złoto rozlewające się wraz z wieczornym światłem po polach i zastanawiała się, czy kiedyś jeszcze uda jej się to zobaczyć. Dzisiaj była dziwnie spokojna. Milczeli, nie wydawali niemal żadnych dźwięków. Dzieci też siedziały cichutko w kąci, okryte pachnącą jeszcze domem kołdrą. Krysia przestała już kwilić za lalkami, których nie udało się odzyskać. Chłopcy tęnym wzrokiem śledzili powolnie spadające z dachu krople. Był to jedenasty dzień ich podróży bydłym wagonem do ziem odzyskanych, do Polski. „Już niedługo” – myślała jeszcze przedwczoraj, jeszcze w podekscytowaniu czekała na przyszłość. Dzisiaj jedynie trwała, z głową otępiałą, całkowicie uległa wobec tego, co przyniesie los. Ciało jakby znikło, nie przytłaczał go ciężar, nie doskwierał ból pleców wywołany przez zbyt długie przebywanie w pozycji siedzącej. Nic jej już nie przeszkadzało, chciała tylko ciszy. Nie widziała swojej twarzy od ponad dwóch tygodni, jedyne małe lustro stuknęło jej dzieci na początku podróży, kiedy starała się podpowiedzieć im gry i zabawy, żeby wypełnić jakoś te tępe godziny jazdy w pociągu bez światła, gdzie nocą trzeba było tulić się do siebie, aby pomimo zimna jakoś zasnąć. „Ciesz się, że to już marzec, jeszcze miesiąc temu byśmy nie przetrzymali” – komentował jęczenie dzieci mąż.

Władysław palił resztki machorki, rozmyślając. Pewnie wspominał, jak w pełni chwały, z walizką z trudem odłożonych pieniędzy wracał statkiem do kraju. Wszystko co najlepsze było przed nim: dom, rodzina, dobre życie. A teraz musi zaczynać wszystko od nowa. Jednak mimo

skończonych pięćdziesięciu pięciu lat jest w nim wiele siły. „Udało się nam uciec, to cud, prawdziwy cud” – to były jedyne jego słowa od wczoraj, jakby to, co się wydarzyło w nocy, stanowiło po prostu element składowym ceny, jaką przyszło im wszystkim zapłacić za szansę na przeżycie.

Nie myślała o dzieciach, o rzeczywistości. W pustce głowy, w otępieniu stanął jej przed oczami Leon. Jego twarz była już tylko wytworem wyobraźni, zmieniała się, przybierała wygląd przystojnego aktora albo innego mężczyzny, który wydał się interesujący. Spodobał jej się od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła go spoconego, pracującego nad nowym dachem ich stodoły. Zniosła stolarzom picie, onieśmiewiona widokiem mężczyzn w rozchylnych na piersiach koszulach, spoconych, zadziornie eksponujących swoje sprawne ciała przed „panienką”. Miał bystre spojrzenie i prawie niewidoczny uśmiech. Niewiele mówił. Ale gdy kilka miesięcy później tańczyła z nim na zakończenie żniw i cała wieś odrabiała czas poświęcony pracy, patrzył tak wymownie i był przy tym taki delikatny! Drżała, ilekroć później spotkała go, wychodząc z kościoła, czy kiedy przychodził do jej ojca piastującego funkcję leśniczego pomagać przy urządzaniu nowego domu. Cóż, był tylko stolarzem, małżeństwo z nim nie rokowało zbyt dobrze. Nie mogąc spać, jak inne panny rozmyślała o swoim przyszłym mężu, o małżeństwie, od którego zależy cała jej przyszłość. Aż nagle pojawił się w ich domu starszy pan, elegancko ubrany, światowy. Opowiadał ciekawe rzeczy, szastał pieniędzmi na prawo i lewo, kupował maszyny i projektował wielki dom, nowoczesny – nie kryty sianem, ale prawdziwą dachówką, do tego ogromny sad, duży inwentarz. Leon był dziwny, mało zdecydowany. Gdyby wykazał inicjatywę, gdyby ją trochę tylko zmusił, pozwoliłaby na więcej niż pocałunek, po którym pogłaskał ją po twarzy, powiedział miłe słowa i odszedł w ciemność. Zachowywał się tak, jakby czekał, żeby to ona okazała zainteresowanie. Nie zrobił nic, nawet gdy po wsi rozniosła się wieść o planowanym ożenku Konstancji z Władysławem, synem leśniczego z innego powiatu, który przez siedem lat pracował w Ameryce, wrócił z wielkim majątkiem i kupił duże gospodarstwo. Leon spoglądał na nią tylko wzrokiem pełnym smutku i jednocześnie pogardy, nie starając się nawet walczyć o ich szczęście.

„Będziesz gospodynią, zobacz, jaką wielką ziemię kupił, jakie maszyny! Będziesz miała wszystko” – powtarzała jej matka, szczęśliwa w jej imieniu, że rodziny się dogadały i to jej córkę wybrał wielki pan z Ameryki. Kiedy odbył się ślub, nie żałowała niczego.

Z satysfakcją odnotowała fakt, że Leon zniknął, wyjechał ze wsi, nie wiadomo dokąd, co oznaczało, że jej małżeństwo musiało być dla niego ciosem. „Mogłeś mnie chociaż prosić, żebym wyszła za ciebie” – powtarzała w duchu, szcztokując wieczorami włosy. Cieszył ją przepiękny dom, podziwiany przez wszystkich w okolicy. Razem z mężem zamówili porządne meble w Łucku, kupili dywany i kwiaty w donicach. Żyd szył jej nowe futro na zimę, a rosnący brzuch zwiastował pojawienie się dziecka. Mieli nawet radio, którego przychodzili do nich słuchać sąsiedzi. Mąż wydawał jej się stary, ale jego obycie i bogactwo rekompensowało jego wiek i sposób bycia.

„Prześpij się” – wyrwał ją z kołowrotu myśli Władysław. Potem wstał i podszedł do ułożonej w odległym kącie wagonu walizki. Wczoraj w pośpiechu opróżniali ją, aby ułożyć w niej wątle ciało ich najmłodszego synka. Konstancja w rączki włożyła mu obrazek z Matką Boską i przykryła białym obrusem. Nie uroniła ani jednej łzy. Takie życie, pech, choroba nie wybiera. Skąd mieli wiedzieć, że druga rodzina z ich wagonu ma chore dziecko. Chłopcy iskali sobie nawzajem wszy we włosach, mały sąsiadów kaszłał, gorączkował. Dopiero gdy ich dzieciak niespodziewanie przestał oddychać, przyznali, że miał szkarlatynę. Sąd wziąć leki w bydlęcym wagonie, skąd lekarza pośród wielkich pustych pól?

Śliczny był, najładniejszy z całej czwórki. Tyle zachodu, bólu, na nic...

Andżelika nienawidzi gości

Moja rodzina zawsze mnie rozczarowywała swą pospolitością, materialnym nastawieniem do życia, a przede wszystkim tym, że w ich życiorysach i rodzinnych historiach nie pojawiała się miłość. Coś tak trywialnego i oderwanego od prawdziwego życia jak uczucie nie zasługiwało nawet na rozmowę. W myślach przeglądałam ten korowód zapelniających diasporę, rozsianych po całej Polsce i świecie licznych przedstawicieli rodu, którzy potrafili się zjawić pod naszymi drzwiami bez żadnej zapowiedzi, oczekując noclegu i pożywienia (klnąc pod nosem i przesadnie manifestując swoją gościnność, Matka szybko wystawiała coś na stół), bo akurat przyjechali do Warszawy załatwiać sprawy. Nikt, absolutnie nikt nie zasługiwał na uwagę. Byli mi obcy, i chociaż słyszałam standardowe: „Ale ty wyrosłaś, do której chodzisz klasy?“, wściekałam się w myślach, że zakłócili moją domową rutynę i nie mogę swobodnie spacerować po mieszkaniu w podkoszulku albo oglądać telewizji. „Czemu traktujesz ich wszystkich z dystansem, przecież to twoja rodzina” – mówił Ojciec, niezadowolony z mojego milczenia. Cóż, czasy kiedy byłam jego małą gwiazdą, minęły. Teraz nie mieli się już czym pochwalić – nie byłam ani ładna, ani nawet zdolna.

Matka przyjmując postawę wyrażającą pośpiech, aby jak najszybciej obsłużyć gości, oraz zaangażowanie, czyli zgięta w pół, starająca się niemal biec po niewielkiej przestrzeni mieszkania, wносиła co chwila nowe talerze z gigantycznymi porcjami mięsa i ziemniaków, niezliczoną ilość razy wymieniała sztuce, przynosiła kawę i herbatę, ciasta i kolejne butelki wódki, nieustannie nakłaniając do jedzenia i nie zważając na odmowy dokładki „jeszcze kaweczka rzymskiej pieczeni”.

Ojciec perorował, jak zawsze skupiając na sobie uwagę i wygłaszając nieznoszące sprzeciwu sądy, podczas gdy goście czuli się nieco niezręcznie, widząc Matkę pogrążoną w amoku obsługi. „Krysia, posiedź z nami chwilę, nie biegaj tak” – mówili, ale ona bez przerwy krążyła pomiędzy kuchnią a pokojem, robiąc w przelocie niesamowite miny i żaląc mi się, jak to jej zawsze się zwałą na głowę, nie patrząc, czy ma co dać jeść, umęczą, wyczyszczą lodówkę, wyśpią jak w hotelu, a potem i tak obrobiją tyłek.

Lustrowałam niemal z pogardą tych wszystkich wujków i ciotki, w myślach wytykając im ich żaloszny los. Nikt z nich nie potrafił niczym mi zaimponować, no może oprócz jednego kuzyna, starszego ode mnie o dwadzieścia lat, który w czasach, gdy trudnością było otrzymanie paszportu, na dobre połknął bakcyła podróży i zniknął w Nepalu (pocztówka, jaką przesłał rodzicom z widokiem na Annapurnę, wisiała na pokrytej gęsto plakatami i wycinkami z gazet ścianie mojego pokoju), aby przez Indie zawędrować aż do Tajlandii. Przywodził mi na myśl odważnego podróżnika, Indianę Jonesa, do czasu aż, podobnie jak inni członkowie rodziny, nie zjawił się u nas w domu bez zapowiedzi (bo akurat był przejazdem) i okazał się łysiejącym, grubawym facetem w starszym wieku, który, owszem, był kilkanaście miesięcy w Katmandu, ale po to, aby rozkręcić handel tkaninami. Później kursował pomiędzy wyspami na Morzu Indyjskim, pośrednicząc w handlu perłami. Byłam zła kniona opowieści o jego przygodach, nakarmienia wyobraźni choćby cieniem tych niezwykłości, jakie widział. Wstydziłam się jednak o cokolwiek zapytać. Kiedy patrzyłam, jak pije z Ojcem wódkę, gdyby nie pocztówki, jakie do nas wysyłał, nie uwierzyłabym, że jest podróżnikiem. Uciekłam do swojego pokoju i tam zjadłam całą ogromną czekoladę, jaką mi przywiózł. Potem czytałam do późna w nocy *Anię na uniwersytecie*, marząc o spotkaniu kogoś, kto dostrzegłby moją niezwykłość i pokochał mnie do szaleństwa. W pewnym momencie egzotyczne kartki z lazurowym morzem i palmami przestały przychodzić, a wujek na dobre wrócił do kraju z kobietą, którą poznał w podróży. Razem otworzyli hurtownię akcesoriów ogrodowych i z czasem wybudowali sobie wielki dom. Dopiero takie osiągnięcie zrehabilitowało go w oczach rodziny.

Gdy goście w końcu wyjeżdżali, zaczynało się wielkie sprzątanie, pranie i maglowanie pościeli (u nas pościel była zawsze wykrochmalona i wymaglowana, nie jak u sąsiadki Grubej Dany, która nie zadawała sobie trudu, aby prasować bieliznę), firanek, odkurzanie kryształów (wszystkich wystawionych na pokaz wazonów, pater, talerzy i karafek bezużytecznie tkwiących na półkach regału-meblościanki). Czynnościom tym zwykle towarzyszyło obgadywanie gości, ich ubrań, sposobu zachowania czy postaw życiowych. Po krótkotrwałym, wymuszonym przez okoliczności kontakcie towarzyskim znowu powracały ciche, samotne dni. Nie licząc oficjalnych i pozbawionych serdeczności zdawkowych relacji z sąsiadką z naprzeciwka i nielicznych rozmów telefonicznych, Matka z nikim prawie nie rozmawiała, nigdzie nie chodziła. Ojciec wracał do domu wyciszony, wsadzał nos w gazetę i unikał, jak tylko mógł, interakcji z żoną. Pozostawałam jej tylko ja, byłam jedynym jej łącznikiem z rzeczywistym światem. Otaczająca

rzeczywistość musiała jej się wydawać mniej realna niż telenowela brazylijska, oglądana w czarno-białym telewizorze, albo przygody na Antarktydzie lub w Amazonii, o których czytała w książkach podróżniczych. Może dlatego każdy mój ruch nabierał dodatkowego znaczenia. Wszystko podlegało inwigilacji: godziny powrotów (główny problem), strój (zawsze nieodpowiedni), fryzura (w przylizanych włosach wyglądałam brzydko), stan zdrowia (każde kasznięcie oznaczało konieczność zażywania leków), znajomi (Dlaczego nie masz jakiegoś chłopaka? Dlaczego nie masz serdecznej przyjaciółki?), oceny, wyjazdu (ciągła walka, aby wyrwać się z domu), wszystko, tylko nie to, co dla mnie było ważne. Ta maniera ingerowania w moje sprawy pozostała jej nawet wówczas, gdy wyprowadziłam się z domu i zaczęłam prowadzić własny. Dali mi wówczas posag – pieniądze na pralkę i lodówkę, pościel, sztućce, obrus i kilka garnków. Kiedy robiłam zakupy w towarzystwie Matki, strofowała mnie, że źle dobieram produkty, biorę za drogie i nie te, co trzeba. Kiedyś zaś jej wizyta w naszym domu zakończyła się awanturą, gdy zaczęła mi doradzać, abym przestała utrzymywać kontakt z jedną z samotnych przyjaciółek, bo ta – ani się obejrzę – zakręci się koło mojego męża i szybko go zabierze. Sami unikaliśmy gościny poza domem, nie licząc dwóch, góra trzech wizyt w roku w miejscowości oddalonej około dwustu kilometrów od Warszawy, gdzie mieszkał mój brat z rodziną. Do wielkich odwiedzin Matka szykowała się tygodniami, kupując podarunki dla wnuków i składniki wałówki spożywczo-odzieżowej.

– Oni i tak chcą tylko lego, a skąd ja mam mieć na to pieniądze, i tak będzie źle – narzekała Matka. –

A TA chciałyby i tak tylko pieniądze, ciągle im mało, ciągle chcą.

Ojciec podchodził do zagadnienia ze spokojem.

– Krystyna, daj mi spokój – ostro uciął próby nawiązania rozmowy – denerwuję się podróżą!

– Pamiętaj tylko, nic nie mów, że Ojciec dostał nagrodę, bo zaraz będą płakać, że nie ma na korepetycje, że rower by chcieli – szkoliła mnie, szykując sobie garderobę na wyjazd. – Tej nowej bluzki nie biorę, bo zaraz zauważą, że to coś niedawno kupionego i zacnie się – kontynuowała.

W końcu ruszaliśmy w nerwowej atmosferze. Do dwunastego roku życia podróżowałam samochodem marki Syrena w kolorze żółtym. Siedziałam na tylnym siedzeniu razem z naszym psem, trzymając w pogotowiu naszykowaną zawczasu torebkę czekoladowych cukierków,

naszprycowanych połówkami relanium. Podawałam je przerażonemu podróżą zwierzęciu. Jeszcze zanim opuściliśmy miasto, psina zaczynała przeraźliwie wyc, niespokojnie się kręcąc i wskazując łapami na oparcie siedzenia qca. „Sara, USPOKÓJ SIĘ!!!” – wrzeszczało co chwila któreś z nas, ale nie przynosiło to żadnego rezultatu. Pies w absolutnej panice miotał się i skomlał.

– Daj jej szybko cukierka – instruowała mnie Matka.

– Już dałam.

– To jeszcze jednego, przecież tego nikt nie wytrzyma!

Rodzice w tej podminowanej atmosferze zaczęli się kłócić, jaką ilość gotówki dać bratu, ustalali, o czym rozmawiać, a jakich tematów nie poruszać (nie mówić o tym, że latem jadę na obóz do Czechosłowacji, nie wspominać o planowanym remoncie, poruszyć za to temat budowy altany na działce, przy której przydałaby się pomoc).

– Krystyna, przypał mi papierosa – wydawał rozkaz Ojciec, maksymalnie skoncentrowany na szosie. Matka zapalała klubowego i odpalała od niego papierosa dla Ojca, aby nie wybrudzić mu ustnika marchewkową szminką. Chociaż na co dzień swobodnie wdychałam dym, w małej przestrzeni samochodu było dosyć ciężko go znieść. Niestety, tylne szyby auta nie dawały się otworzyć, a nie było mowy, żeby uchylić te z przodu.

– Chcesz, żebym dostała zapalenia płuc? Zaraz i ciebie by przewiało! – mówiła Matka.

Pomimo zaporowej dawki relanium pies nadal wył, co po kilkudziesięciu minutach podróży wyprowadzało Ojca z równowagi.

– Zróbcie coś natychmiast! Nie wytrzymam! Do cholery, zaraz spowoduję wypadek! Jak się nie uspokoi, to zatrzymam się i zastawię ją w lesie! SA-A A ARRR A A A A A A! – wrzeszczał. Głaskałam trzęsącego się zwierzaka, a Matka odwijiała z papierka kolejny cukierek.

– Już więcej jej nie dawaj, przecież zdechnie! – dogadywał Ojciec. – To co mam zrobić? Mamy się wszyscy zabić? – Matka podtykała psu trzecie już w sumie relanium. W końcu dysząc ciężko, Sara usypiała w moich nogach, co pozwalało kontynuować rozmowę na temat błędów wychowawczych, jakie synowa popełnia w relacjach z wnukami.

– Nie mogę powiedzieć, ubrane są, czyste, widać, że niegłodne, nie można narzekać. Ale żeby tak raz pojechała z nimi na jakąś wycieczkę, coś im pokazała, przecież nawet w Polsce jest tyle rzeczy do zobaczenia. Gdy Ojciec miesiącami przebywał na poligonach, rok w rok sama z

dziećmi jechałam, to na wczasy, to do sanatorium. Ni to żona, ni wdowa, taka jakaś byłam samotna... – zaczynała swe wspominki Matka.

– Daj spokój, nie widzisz, jaki tłok na szosie, muszę mieć ciszę i warunki do jazdy! – ucinał jej monolog Ojciec. Machając ręką, Krystyna przypalała kolejnego papierosa.

Andżelika w biurze i *offline*

Wkroczyłam dziś do pracy, pamiętając o wciągnięciu brzucha i wyprostowanej sylwetce, ubrana w nową sukienkę w stylu sztywnie depresyjnym i tak modne w tym sezonie buty za kostkę z odkrytą piętą. Kiedyś bardziej przejmowałam się przyjacielskimi relacjami ze swoimi pracownikami. Chodziłam z nimi na obiady i obgadywałam dyrektora, nadszedł jednak w końcu moment, gdy w ramach koleżeńskich stosunków ewidentnie zaczęli lekceważyć pracę, spóźniając się, siedząc godzinami na czatach lub serwisach społecznościowych, podczas gdy robota leżała niewykonana. Teraz większą satysfakcję przynosił mi serdeczny dystans, pełne podziwu i zazdrości spojrzenia podwładnych (sposób, w jaki zestawiałam ubrania i dodatki, nie pozostawiał obojętnym) i poczucie władzy. Korporacja to współczesne piekło jałowości Pogawędki o niczym z pozoru nieciekawymi ludźmi nieustanne debaty o odchudzaniu, plotki, bezwocne godziny w sieci, sprawy zawodowe angażujące umysł Wszystko to daje się znieść, gdy myślami wybiega się w przyszłość, marzy o wakacjach lub czeka, aż wreszcie *zdarzy się „coś”*. Szklana klatka w kącie open space u w ciepłych, bezpiecznych brązach i z kwiatkami poutykanymi pomiędzy przegródkami poszczególnych stanowisk pracy. Kawa w papierowym kubku kupowana na dole biurowca, industrialny widok przez przeszkloną ścianę na wielki plac budowy kolejnych stalowych budynków, fragment estakady i w dali zarys centrum miasta. Niekiedy paraliżuje mnie myśl, że będę tu za pięć lat i nic się nie zmieni. Może znajdę inną pracę? Najpierw będę zadowolona, a po jakimś czasie wszystko stanie się nieustannym powtarzaniem tych samych czynności, codzienną męką i kieratem od dziewiątej do siedemnastej, czekaniem na zapłatę, za którą kupię niezliczone dobra, aby na moment poczuć intensywność istnienia. „To nie do zniesienia, nie do wytrzymania” – myślę, zdając sobie sprawę, że moja praca jest najnudniejszym zajęciem na świecie. Umieralnia, brak jakiegokolwiek motywacji, czynności powtarzane w kółko od nowa, plotki: ten się ożenił, tamta urodziła, wciąż to samo. Nieustannie dręczy mnie myśl, iż wykorzystuję może jedną trzecią mojego potencjału, nie więcej, że tracę życie, a ono przecieka mi między palcami, omija mnie, podczas gdy siedząc w domu, mogłabym słuchać muzyki, czytać, robić coś rozwijającego. Wiem, że większość ludzi czuje to samo, ale regularny wpływ na konto jest naszą życiową koniecznością, bo mamy kredyty, które trzeba spłacać, i dziesiątki

niezaspokojonych potrzeb. Chciałabym robić coś innego, ale co? Dokąd iść, do jakich drzwi zapukać? W końcu przechodzę z jednej organizacji do drugiej, która różni się detalami, podczas gdy mechanizmy funkcjonujące w korporacjach są takie same. Te same szczeble kariery, ta sama jałowość bycia małym trybikiem w wielkiej maszynie sprzedającej na całym świecie wszystko jedno co: usługi, dobra materialne, lekarstwa czy żywność. Tylko nieliczni mają odwagę się wyrwać – rzucają wszystko, jadą zwiedzać świat albo parzą kawę w kupionej na kredyt kawiarni. Kobiety zachodzą w kolejne ciąży, po czym znudzone opieką nad dziećmi wracają po swój comiesięczny przypiływ gotówki, za który biegną kupić modny w nowym sezonie płaszcz albo zapłacić za wyjazd, aby na moment odetchnąć od atmosfery życiowej pułapki.

Skrzynka mailowa pękała w szwach. Sprawy do załatwienia, spotkania, wszystko to wciągnęło mnie w wir pracy. Bilans dnia: kiepskie sushi zjedzone w barze w biurowcu, dwie kawy latte na chudym mleku, jabłko i czekoladka, jaką częstowała obchodząca urodziny koleżanka. Kilka razy oglądałam torebkę na stronie internetowej firmy Furia i w końcu zadzwoniłam do banku, aby poprosić o duplikat karty kredytowej, którą kilka miesięcy temu pocięłam, nosząc się z postanowieniem wyjścia z długów. Jednak znowu znalazłam się w kropce, niezapłacone rachunki nie mogły być dłużej ignorowane. Gdyby Andrzej wiedział, że znowu jestem pod kreską...

Wyszłam z biura jak zawsze w pośpiechu, zaaferowana toczącymi się w pracy problemami i myśląc o tym, co mnie czeka: zakupy, aby mieć co przygotować na kolację, czas poświęcony dzieciom (z poczucia obowiązku staram się z nimi pobawić, chociaż gry w chowanego albo ustawianie klocków okropnie mnie męczą), posiłek, zmywanie, kąpanie dzieciaków, usypianie, a na sam koniec dnia kieliszek wina. Z trudem przyznaję się przed sobą, że najchętniej włączyłabym dzieciom bajkę, zaparzyła kawy i posiedziała przy komputerze, oglądając nowe odcinki seriali.

Jak zawsze Andrzej wróci ostentacyjnie zmęczony, rzuci się na kanapę i będzie czekał na kolację, co podsyci tylko moją złość. Będę gderać: „Ja też pracuję, też jestem zmęczona, mnie nikt nie poda kolacji, nikt się nie zatroszczy”.

Kasztanowce zakwitły w mgnieniu oka, nie wiadomo kiedy. Powietrze jest przesycone oddechami roślin i pełną obietnic wilgocią. Soczysta zieleń w kolorze limonki sprawia, że na moment chowam łękę w głęboką kieszeń. To jest ta chwila, kiedy mózg pracuje na najwyższych obrotach, atakują odważne pragnienia, pomysły odbycia podróży, przeczytania wiersza, pójścia

gdzieś, gdzie nigdy wcześniej me doszłam. Kolory rzucają wyzwanie, podejmuję je na moment, dopóki ten krótki akt życiowej odwagi i otwarcia na bodźce nie minie wraz z powrotem niepokojącego ucisku w okolicach serca. Obfitość liści w parku, który mijam, nadrabiając drogi do biura, przywodzi na myśl surrealistyczny obraz Paula Delvauxa *Wiosna*, drzemiący gdzieś w pamięci od lat. Tutaj, w tym niemal pustym ogrodzie, jeśli me liczyć spacerujących z psami i jakiegoś starucha grzebiącego w śmietnikach, mogłyby stanąć łóżka z leżącymi na nich nagimi kobietami o mlecznych ciałach. Piękno, jak zawsze bolesne, rodzi smutek. Głęboki smutek, z którym nie wiadomo, co począć...

‘ Rozpiera mnie chciwość wrażeń. Ale dzisiaj me czeka na mnie niebo w kolorze róż, wieczór w operze ani szampan. Szczęście czuję wówczas, gdy mam w perspektywie przyjemności, a najważniejsza jest gwarancja zaznania ich wieczorem, przed zaśnięciem, tak aby nie trzeba było brać tabletek na sen, nie bać się zasnąć, rozstać ze swoim „ja” bez lęku, że można się już nigdy nie obudzić. Marzenia... Niekiedy ich nadmiar męczy bardziej niż świadomość, iż nigdy się nie spełnią. Kładę się na moment w zaciszu sypialni, wrzaski dzieci wydają się tak odległe. Zapadam w drzemkę. Nie jestem pewna, czy Matka śniła mi się, czy przemówiła do mnie naprawdę? Z tym swoim czujnym, mało przyjaznym spojrzeniem i wyrażającym wieczne niezadowolenie grymasem zwiotczonych warg przypalała papierosa, aby zaraz po jego zgaszeniu łyknąć jeden ze swoich niezliczonych proszków, w którego poszukiwaniu długo przetrząsała zawartość bazarowej torebki ze sztucznej skóry (oczywiście porządna torebka z naturalnej skóry, którą jej sprezentowałam, nadal spoczywała w szafie, bo – co było do przewidzenia – nie utrafiłam w rozmiar ani długość rączek). „Ty się jeszcze zastanów nad tą ciążą, jak ty sobie poradzisz z trójką dzieci? Nas już nie ma, żeby ci pomóc, zupełnie sama jesteś, jego rodzina nawet się nad tobą nie ulituje, zawsze będą mieć do ciebie pretensje. Co ty zrobisz? Masz już i dziewczynkę, i chłopca, po co ci kolejne? Kto na nie zarobi? Jak wrócisz do pracy? A w domu nie wolno ci siedzieć, mówiłam ci tyle razy, że kobieta jest zawsze poniżana, jeśli nie przynosi własnych pieniędzy do domu” – przemawiała. Na żółto-brązowym filtrze gaszonego papierosa pozostawał ślad jej marchewkowej szminki, koloru używanego wiernie od lat. Nie licząc skamieniałego tuszu do rzęs, jaki czasami znajdowałam w jej torebce, szminka była jedynym uznawanym przez nią kolorowym kosmetykiem. Nikomu nie dała się przekonać, że bynajmniej jaskrawa czerwień nie dodawała jej urody i ilekroć wybierała się gdzieś na zewnątrz, malując barwy wojenne kiepskiej jakości mazią, naznaczała nierówną linię wąskich warg, które dawno

temu utraciły naturalny kontur. Wstydziłam się tej czerwieni. Moje koleżanki z podstawówki wyśmiewały się z niej, nie mogąc uwierzyć, że osoba, która przychodzi pod szkołę, jest moją mamą, a nie babcią. Skąd to ciągle poczucie, że jest źle i niezasłużenie ciężko? Matka zapewne też nieustannie to czuła. Po co te mrzonki o innym mężczyźnie, przy którym czułabym się inaczej, o pieniądzach, które odciągnęłyby moje myśli od śmierci na rzecz nabywania niepotrzebnych, kolejnych przedmiotów? Na gwałt potrzebuję czegoś, co przeciągnie mnie dalej, coś, na co można czekać. Rok temu pełna wiary w cuda czekałam na przeprowadzkę do nowego mieszkania, w którym teraz usycham, snując wizje następnej zmiany lokum.

Nie znoszę udręki codzienności i czasu odmierzanego cyklicznymi czynnościami oraz obowiązkami – odprowadzaniem i przyprowadzaniem z przedszkola, przygotowywaniem posiłków, nieustannego nastawiania i opróżniania pralki i zmywarki. Tak bardzo rozpiera mnie miłość i czułość do dzieci, a jednak czekam tylko, aż zajmą się sobą, aż dadzą mi spokój i będę mogła z kawą wlepić się w telewizor (by potem czuć do siebie pogardę), pisać maile (i po co mi ta namiastka kontaktu?) albo w najlepszym razie czytać Pamuka, z jego obsesją śniegu i atmosferą rozkładu. A potem wraca Andrzej i nie potrafię pohamować złości, chociaż go doskonale rozumiem, że jest zmęczony i ma ochotę tylko na zaspokojenie własnych potrzeb. Mimo to wściekam się na niego, obwiniam za to, że nie potrafi mnie uszczęśliwić. A przecież doskonale wiem, że nikt i nic nie jest w stanie mi tego zapewnić...

Parszywa pogoda z ciągłym deszczem, bez odrobiny słońca i finansowe dno, na jakim się znalazłam. Na co tu czekać, co dalej? Mogę zapuszczać włosy i planować ich wygląd za ileś tam miesięcy, mogę też planować odchudzanie, ale o czym marzyć po tylu latach uciekania od rzeczywistości? Bojąc się przyznać przed mężem do wysokości długów na kartach, doprowadziłam do sytuacji, kiedy uważam już, co wkładam do koszyka z codziennymi zakupami, i powoli rezygnuję z kolejnych produktów. Niedługo zacznę zabierać dzieci na bezsensowne wycieczki po sklepach, w których niczego nie kupię. Zupełnie jak Matka...

Wieczorem córeczka z niezrozumiałych przyczyn mówi Andrzejowi na dobranoc: „Tato, nawet jak umrzesz, ja cię nigdy nie zapomnę”, i to wystarcza do uruchomienia lawiny niepokoju. Szlocham oświecona faktem, że Andrzej mógłby rzeczywiście nagle zniknąć z mojego życia, zostawić mnie samą z dziećmi, z całym trudem codzienności. Jak bardzo wtedy bym go chciała z powrotem, jak moja miłość byłaby silna... Strach przypomina mi, co mogłabym stracić, i już tak bardzo nie narzekam na brak szczęścia. Zawsze mogłoby być gorzej...

Coraz częściej wybucham. Nie planuję tych ataków wściekłości, one po prostu przychodzą i nie umiem ich okiełznać. Wiele mówię, krzyczę, jawnie i bez hamulców obwieszczę światu swą złość. Andrzej już wie, jak ze mną postępować, wie, że najlepiej przeczeć mój potok skarg i jadowitych oskarżeń o to, że ignoruje moje potrzeby, myśli o sobie, niedostatecznie zajmuje się dziećmi, ciągle na nie krzyczy i nie wynosi śmieci, nie chce nawet pomyśleć o kupnie większego domu... Dlaczego tylko ja mam starać się dwa razy bardziej i pozwalać mu leżeć godzinami na kanapie z gazetą, podczas gdy ja padam ze zmęczenia i o dwudziestej trzeciej, po uśpieniu dzieci i sprzątnięciu mieszkania, mam już tylko siłę na obejrzenie telewizji, za co spotyka mnie pogardliwa krytyka: „Jak ty możesz coś takiego oglądać?”.

Kiedy zapędzam się w swoich pretensjach (nawet na moment nie przestając sprzątać albo wkładać garnków do szuflad) i w końcu nie umiem pohamować przekleństw pod adresem męża, pojawia się jednak niepokój zaszczipiony przez Matkę i czuję, że przeholowałam. Oczami wyobraźni widzę ją, jak surowo przestrzega mnie przed konsekwencjami mojego zachowania. „Uważaj, żeby cię nie zostawił! Jak będzie miał w domu awantury, to poszuka spokoju gdzie indziej i co wtedy zrobisz sama, z nędznymi alimentami?”. Dla moich rodziców związek był święty i ostateczny, o ile tylko mężczyzna spełniał podstawowe wymagania, czyli nie uciekał do kochanki (przynajmniej jawnie), przynosił do domu pieniądze, nie pił i nie bił. Jeśli sprawdzał się jako dobry ojciec, żaden argument nie mógł zaważyć na przyszłości małżeństwa. Czułości i własne potrzeby to były według nich głupoty, nie powinny zniszczyć życia dzieciom, bo przecież one są najważniejsze i zasługują na normalny dom, do którego codziennie wraca ojciec, a matka stawia przed nim talerz parującej zupy i pozwala mu leżeć godzinami przed telewizorem, bo przecież wrócił zmęczony i zarabia pieniądze. Ile razy słyszałam opowieści o ciotce Wiesi, pyskatej i leniwej. Kobieta sama się prosiła o to, aby mąż znalazł sobie drugi dom, u innej, która go nie wyzywała, ale była czysta, dbała o świeżą pościel i ciepły obiad.

– Ten twój włoski temperament – ironizuje Andrzej kilka godzin później po naszej awanturze, wyciągając jako pierwszy rękę na zgodę. – Przeprós, że nazwałaś mnie świnia przy dziecku! – mówi. Opieram się, okazuję niechęć, ale w końcu uspokajam się i powoli wszystko wraca do normy. Kłótnia coś jednak daje, przez resztę wieczoru albo nawet następnego dnia Andrzej zwalcza swoje lenistwo i uświadamia sobie konieczność włączenia zmywarki albo organizuje dzieciom zabawę. Co prawda już kolejnego dnia wraca z pracy z bólem głowy albo

włącza komputer, oświadczając, iż musi pracować po godzinach, i w ten prosty sposób gwarantuje sobie nietykalność.

– Nie uprałaś mi skarpet – wyrzuca mi, nie podnosząc wzroku znad monitora. Mogę już tylko podzielić się swoim rozgoryczeniem z koleżankami, których sytuacja jest podobna lub znacznie gorsza. Mają partnerów mówiących o własnym dziecku „bachor” i unikają z nim jakiegokolwiek kontaktu albo nie potrafią zrezygnować z paralotni czy wypraw na nurkowanie, które pozostaną najważniejsze.

Więc jak miałyby to wyglądać, aby było dobrze? Być może mając nieograniczone środki finansowe, tym wszystkim banalnym kwestiom można by łatwo zaradzić, zatrudniając sprzątaczkę, służącą, kucharkę i niańkę w zakresie na tyle dużym, aby nie musieć się dopominać o przytachanie zakupów ze sklepu albo negocjować wypadów na kawę z dawną znajomą. Nie tylko nie powinno się domagać równorzędnego zaangażowania w domowe życie. Trzeba nieustannie starać się, aby, mężczyzna czuł się wyjątkowo. Bo jeśli przestanie być podziwiany, poszuka innej, która go doceni. Przecież mąż potrzebuje czułości nie mniej niż dziecko. Do tego pragnie jeszcze fantastycznego seksu, pełnego niespodzianek i ekscytacji. Ledwo parę dni temu jedna ze znajomych opowiedziała mi, jak nieoczekiwanie spędziła noc ze swoim byłym, który co prawda ma żonę i wspaniałe dziecko (bardzo ich kocha, żona wspaniale zajmuje się domem i serwuje smaczne posiłki, świetnie wychowuje małego, do tego pracując i wspierając domowy budżet), ale jeśli chodzi o seks, dopadła go nuda i szampa. A jemu przecież należy się wszystko... Jak wielu jest takich nieusatisfakcjonowanych facetów, którym brakuje miłości, bo czują się odrzuceni, jak tylko pojawia się na świecie ich dziecko, albo zbyt wiele się od nich wymaga? Nic dziwnego, że lgną do innych wolnych namiętnych kobiet. Spotkania z nimi nie wiążą się przecież ze sprzątaniami ani wyrzutami o przygotowanie dzieciom kolacji.

Jak opanować strach przed porzuceniem, który u wielu kobiet blokuje prośbę o pomoc? Wystarczają negatywne uwagi pod adresem tłustego tyłka i braku efektów po siłowni, a zwłaszcza małe intelektualne poniżenia (naprawdę nie wiesz, kim był...?), aby związać kobiecie ręce. Niektóre zaś mówią, że są zbyt dumne, aby dopominać się o swoje, nie zniżą się do prośby o dodatkowe pieniądze, chociaż nie mają za co kupić niezbędnych rzeczy, tymczasem partner wydaje fortunę na swoje chore pasje. Dojrzałam już jednak na tyle, aby wiedzieć, że marzenia o kimś innym pozostaną marzeniami. Po co się miotać i żądać zbyt wiele? Czy rodzice nie mieli

racji? Jak uchronić się przed ciągłymi pragnieniami zmiany, jak zahamować aspiracje do lepszego życia?

Zdaję sobie sprawę z tego, że nie spotkam nigdy nikogo lepszego. Byliby na pewno inni, którzy piliby ze mną rano kawę, lubili wino tak jak ja i pracę w ogródku. Może przyjemność sprawiałoby im majsterkowanie i słuchanie jazzu, a nie tylko rocka progresywnego z lat sześćdziesiątych, który powoduje, że ilekroć słyszę te wibrujące organy i wzniosłe zaśpiewy, odechciewa mi się żyć. Ale mieliby wady, jak wszyscy ludzie. Piliby zbyt wiele albo mieli bzika na punkcie czegoś, w czym ja nie chciałabym uczestniczyć. Poza tym nikt bardziej niż Andrzej nie pokochałby moich dzieci, nikt dla nich nie byłby lepszy. Myślę o tym wszystkim, tuląc do siebie synka, który mimo skończonych czterech lat łączy do mnie, jakbym była pępkiem wszechświata.

– Bądź ze mną, kocham cię – mówi ze słodkim uśmiechem, a ja całuję jego pachnący brzusek i tłumię wyrzuty sumienia. Nie chcę być toksyczną matką, wymagającą od dzieci miłości, jakiej nie daje mi mężczyzna. Prawda jest jednak taka, że dużo bardziej lubię tulić się do małego ciała niż wielkiego ramienia męża... W zimny jesienny wieczór czekałam na późniejszy niż zwykle powrót Andrzeja z pracy. Poczytałam dzieciom książkę i zmęczona pytaniami o koniec wszechświata i gdzie dokładnie ulokowane jest piekło, włączyłam im bajkę. W końcu wrócił, jak zawsze zmęczony. Dzieciom nie poświęcił więcej niż pięć minut – jedna partyjka warcabów i kilka pochwał przyniesionych z przedszkola rysunków. Chciał mieć czas dla siebie: najęść się, wypić coca-colę, przeczytać gazety w trakcie posiedzenia w toalecie (reagując wściekłością, ilekroć dziecko starało się go stamtąd wywabić), obejrzeć mecz, sprawdzić pocztę, puścić płytę (oczywiście tę, której nie znoszę). Kilka zdawkowych słów na temat wydarzeń dnia wyczerpało zakres naszej interakcji. Nie miałam co ze sobą zrobić. Przeprowadziłam rozmowę z synkiem na temat jego przedszkolnego przyjaciela, nie pozwoliłam wymalować kaloryfera zielonym tuszem, co wywołało podkreślony wyciem protest i kilkunastominutową walkę o władzę.

– Jesteś śliczna – rzekł do mnie mąż. Muszę przyznać, że często słyszałam te słowa, choć nigdy nie zauważyłam, żeby na mnie patrzył. Rzadko czułam na sobie jego spojrzenie, może pilnował się, żeby w miarę regularnie powiedzieć mi coś miłego, tym bardziej że moja samoocena spadała w miarę wzrostu obwodu brzucha. Czego mogłabym chcieć? Przyszedł w końcu do sypialni, gdzie położyłam się, aby obejrzeć w telewizji jakiś idiotyczny program o

tańcu (jakby miał on dla mnie jakiegokolwiek znaczenie). Przytulił się. Wtuliłam głowę w lekko przepoconą koszulę, myśląc, że koniecznością jest posiadanie własnej przestrzeni z własnymi, indywidualnymi obszarami zainteresowań, gdzie bycie razem polega na w miarę jak najbardziej harmonijnej kohabitacji dwóch indywidualności. Prawie przysypiał, kiedy patrzyłam na jego zacięty wyraz ust. Ciekawe, czy marzy o seksie z jakąś konkretną czy też wyimaginowaną kobietą? Nie mogłabym mieć o to pretensji, skoro sama często folguję wyobraźni, aby dostatecznie silnie się podniecić i mieć przyzwoity orgazm. Niemal zawsze w moich fantazjach pojawiają się kobiety o wymyślonych ciałach (może podświadomie uważam, że koncentrowanie się na kobietach wyklucza mentalną zdradę?), choć w rzeczywistości nigdy nie poczułam pociągu do konkretnej osoby tej samej płci. Potem włączam komputer i sprawdzam wiadomości od koleżanek.

Czy życie którejkolwiek z nich jest lepsze od mojego? Niczyje nie jest idealne. Jeśli nie mają partnera, który je deprecjonuje, to związane są z kiepsko zarabiającym pantoflarzem, ale potulnym i niezbyt przystojnym. A są też takie, które mimo wielkiej presji nie mogą znaleźć mężczyzny pragnącego zostać ojcem ich dziecka. Patrząc wstecz na dziewczynki, jakimi kiedyś byłyśmy, widać, jak los dziwnie się układa. Te, w mojej opinii tak silne i mające wielkie pasje jak wspinaczka czy żeglarstwo, po latach nie ziszcili swoich marzeń o zdobywaniu świata. Nie mają nawet pieniędzy, o których marzyły, mówiąc, że tylko one zapewniają prawdziwą wolność. Są kiepsko zarabiającymi pracowniczkami biura, całkowicie pogrążonymi w przeciętności, co kiedyś było dla nich nie do pomyślenia. Myślę o tych, które tak jak ja czekają na kolejne dziecko, bojąc się samotnych dni i oczekiwania na mężczyznę...

Spoglądam w końcu na zegar. Dochodzi trzecia, ta najgorsza z godzin, kiedy mniej więcej odszedł i Ojciec, i Matka. Godzina trwogi. Bojąc się zaśnięcia, znów uruchamiam komputer i odszukuję na Goldenbooku dawnych znajomych, postacie sprzed lat. Odnajduję chłopaka, z którym byłam pierwszy raz w łóżku (nie napiszę mu nic, to była jedna z najgorszych decyzji w moim życiu), korespondencyjnego przyjaciela sprzed lat, z którym wymieniałam listy (teraz przesyłamy sobie zdjęcia naszych dzieci), dawnych amantów, w których się podkochiwałam, ale pozostali niedostępni, dawne wakacyjne przyjaciółki, koleżanki z poprzednich miejsc pracy. Jest ich tutaj tak wielu... Dawny kompan górskich wycieczek, ekolog walczący z cywilizacją, a obecnie lokalny działacz. Zapewne wartościowa osoba, ale po co wracać do przeszłości, wymieniać się fotkami? Aby poczuć się lepiej, przedstawić się w pigułce, która nie

uwzględniając szarzyzny dnia ani rutyny wciąż tych samych działań, nadaje mojej obecnej sytuacji wartość, jakiej nie widzę, bo walczę z napadami paniki albo osamotnieniem, objadając się czekoladą?

Bawi mnie kreowanie istnienia w przestrzeni wirtualnej. Mogę dowolnie ją kształtować. Zamieszczam odpowiednie zdjęcia, na jednym z forów występuję jako Penelopa, na innym jako Blancanieves. Nawet w Goldenbooku, gdzie musiałam podać prawdziwe dane, jestem wreszcie kimś, kim nie byłam nigdy wcześniej. Ktoś, ktoś czyta informacje zamieszczone na moim profilu, może więcej się o mnie dowiedzieć niż koleżanka znana mi od lat. Poznając kogoś w sposób „rzeczywisty”, nie opowiadamy na dzień dobry o zainteresowaniach i marzeniach, nawet o złych przeżyciach wspomina się w określonym kontekście. Poza tym widać mnie naprawdę, a przecież dużo bardziej komfortowo jest ukryć się za zbiorem wyselekcjonowanych fotek, kształtujących wyobrażenie o wyglądzie. Wciąż czekam, aby Dolores mnie odnalazła.

Opisuję na forum moją chwilę szczęścia: „Lekki rausz po wypiciu półtora kieliszka wina. Słucham płyty Roberta Planta i Alison Krauss. Czuję, naprawdę czuję zapach morza, nastrój dżdżystej nocy gdzieś 198 na angielskim wybrzeżu. Czytam i teleportuję się w wyobraźni sto pięćdziesiąt lat wstecz w scenografię rodem z *Dziwnych losów Jane Eyre* Charlotte Bronte, uciekam od tu i teraz. Ta muzyka jest tak niedzisiejsza, choć nagrana w najbardziej nowoczesny sposób. Basy oszołamiają mnie, jestem kimś innym”.

Wpisuję swój post jako czterdziestą piątą pozycję na „liście najwspanialszych chwil szczęścia z sobą samym”. Opisy onanizmu z założenia odpadają. Ktoś posługujący się nickiem Bufflo napisał przede mną: „Odczuwanie wielkiej senności, chwila tuż przed zaśnięciem, kiedy sen już zabiera mnie z tego świata. Pewność, że wreszcie od siebie odpocznę”. Wygrywa „czytanie książek”.

Z rozrzewnieniem wspominam poczucie bezpiecznej izolacji w ramach granic narzuconych przez literaturę. Znam to z lat dziecińczych, kiedy największym szczęściem było zatopienie się w lekturze czytanych w kółko powieści w stylu *Błękitny zamek*, *Trzej muszkieterowie* albo kolejnych tomów Ani z Zielonego Wzgórza. Nawet gdy wspominam minione święta Bożego Narodzenia, jako szczęśliwe określiłabym jedynie te, kiedy niepokój wywołany zwykle w Wigilię zachowaniem Matki (brat znowu nie przyjechał, powiadamiając wszystkich ledwo kilka godzin przed planowanym przybyciem, kiedy stygły szykowane od wielu, wielu godzin potrawy, Matka padała z nóg i była tak wściekła i rozczarowana, że rzucała

ścierą, paliła papierosa za papierosem i krzyczała, że następnych świąt na pewno już nie dożyje, co wprawiało mnie – dziesięcioletnie dziecko – w prawdziwy lęk i trwogę) zaleczałam jedzeniem pierogów w trakcie lektury powieści, które wyrządziły w mojej psychice wiele szkód, wpajając mi nierealne przekonania o miłości. Życie w *offline* też frustruje. Gdy wraca się do rzeczywistości, pozostaje tylko poczucie zmarnowanego czasu, pustka pozornych relacji, godzin, po których poza mailami bez znaczącej treści nie pozostanie nic ani w umyśle, ani na papierze.

Krystyna znajduje przyjaciółkę

Zimą 1980 roku wreszcie dostali przydział nowego mieszkania i opuścili uciążliwe centrum miasta. Krystyna oficjalnie otrzymała rentę drugiego stopnia i zakończyła pracę zawodową. Jej rola sprowadzała się teraz do zajmowania się domem i córką, która we wrześniu zaczęła chodzić do szkoły, syn wyjechał studiować w innym mieście i nigdy już miał z nimi nie mieszkać. Zaledwie miesiąc po przeprowadzce do nowego miejsca ogłoszono stan wojenny. W ich nowym bloku, tuż przy wejściu, stał stolik, przy którym dzień i noc stacjonowali oficerowie, spisując każdą osobę wchodzącą do bloku. Stefan znikał na całe godziny, był nieustannie w pogotowiu. Wojna domowa mogła wybuchnąć w każdej chwili. „W razie czego polejemy ich wrzątkiem z balkonów” – mówiła sąsiadka z naprzeciwka, zaniepokojona stwierdzeniami ludzi Solidarności, że rzekomo będą wojskowych wieszać na latarniach.

Biorąc pod uwagę zapaść ekonomiczną kraju, pustki w sklepach i brak wszystkiego co przydatne do życia, dokonywała cudów, aby jakoś urządzić i udekorować nowe lokum – sześćdziesięciopięciometrowe mieszkanie w piętnastopiętrowym bloku z wielkiej płyty na nowym osiedlu, na razie pozbawionym jakiegokolwiek infrastruktury, nawet chodników i ulic, którymi mógłby pod dom dojechać autobus. Wykorzystując fakt, iż mieli teraz trzy pokoje, zagarnęła dla siebie najmniejszy z nich, gdzie wreszcie mogła spać sama we własnym łóżku, bez akompaniamentu chrapania Stefana. Mężczyzna ważący już ponad sto dwadzieścia kilo spychał ją do ściany i utrudniał spanie. Na pytanie dziecka: „Dlaczego nie śpicie już razem w jednym łóżku?” odpowiedziała, że mamusia jest chora i musi dużo leżeć, więc potrzebuje własnego pokoju, aby odpocząć. Zapas kafelków do łazienki, przywieziony jeszcze z Mazur, niestety starczył tylko na połowę jednej ściany. Podobnie materiał na zasłony, które własnoręcznie uszyła. Krzywe ściany pokryły kiepskiej jakości tapety, podłogę wyłożoną płytkami PCV zakryły dywany i chodniki. Powoli, mozolnie organizowało się tu życie, chociaż do najbliższej szkoły trzeba było prowadzić dziecko ponad czterdzieści minut, a sklep spożywczy znajdował się w odległości dwóch kilometrów. Patrząc na księżycowy krajobraz betonowej dżungli, uświadamiała sobie, że najwcześniej za dziesięć, piętnaście lat wyrosną tu jakieś drzewa. Przyzwyczajona do lasu, jezior, ciężko znosiła otoczenie, które na razie było wielkim placem budowy.

Godzinami leżała w łóżku. Tyle lat czekała, aż będą razem, jak normalna rodzina, a teraz, kiedy Stefan wracał codziennie po pracy do domu i znajdował się na wyciągnięcie ręki, czuła się bardziej osamotniona niż w czasach, kiedy wyła i wyplakiwała za nim oczy, bo ciągle był gdzieś daleko. Brała relanium, żeby nie myśleć o niczym, o pustce i osamotnieniu. Odmierzany rutynowymi czynnościami czas po prostu płynął: rano przygotowywała śniadanie, szykowała kanapki, odprowadzała dziecko do szkoły, w drodze powrotnej robiła zakupy, w domu szykowała obiad, na przykład zawiesistą zupę i mięso w sosie czy kotlety. Idąc po Andżelikę, miała już obrane, gotowe do wstawienia ziemniaki. Podawała obiad, później przychodził Stefan, głodny i oczekujący kopiastego talerza zupy, a następnie drugiego dania. W soboty dodatkowo sprzątała i prała, wieczorem oglądała film, jaki akurat pokazywano w telewizji, podczas gdy mąż nie odrywając wzroku od gazety, pozwalał sobie na złośliwe komentarze na temat fabuły albo aktorów. Gardził absolutnie każdym rodzajem fikcji, wszystko jedno, czy ubrana była w formę pisemną, czy wizualną.

Nikt ich nie odwiedzał ani oni nie chodzili do nikogo. Niekiedy wyrzucała mężowi, że powinien bardziej zająć się dzieckiem, że inni ojcowie uczą dzieci jeździć na rowerze, na łyżwach, zabierają do kina albo na sanki. Kupił więc najpierw łyżwy, później rower. Raz czy dwa wyszedł z Andżeliką na dwór, aby uczyć ją jeździć, ale nie wiadomo czemu ani jej, ani jemu za bardzo nie zależało na tym, aby dojść do punktu, w którym dziecko samo utrzymałoby się na rowerze lub przejechało fragment ślizgawki. Nauki pływania nawet nie rozpoczęli. „Za stary na to jestem” – mówił Stefan, rozkładając gazetę albo patrząc na mecz. Nigdy nie okazywał emocji sportowych, nie krzyczał ani nie podskakiwał. Bez różnicy, czy mecz wygrała, czy przegrała drużyna, na którą stawiał, po jego zakończeniu spokojnie otwierał znowu gazetę i powracał do lektury, jakby nic się nie stało.

Już kilka tygodni po przeprowadzce Krystyna zorientowała się, że popełniła straszny błąd, rezygnując z pracy. Ciągle odgrażała się, że jeszcze wróci, chociażby na pół etatu. „W pracy to jest się chociaż między ludźmi, człowiek stara się jakoś wyglądać, wie, co się dzieje, co jest modne, ma własny grosz” – powtarzała do znudzenia, wciąż zwiększając dawki relanium. Chciała tylko, żeby zostawiono ją w spokoju, żeby mogła spać. „Mama źle się czuje, musi odpocząć. Idź się pobaw.” – Kobieta dotąd powtarzała to córce, aż ta dała jej spokój i zamykała się w swoim pokoju, by spędzać czas samodzielnie.

Latem samotność Krystyny przez moment rozproszyło nieoczekiwane sąsiedztwo pani Skoczkowej, którą znali jeszcze z Giżycka. Jej mąż, podpułkownik tak jak Stefan, został przeniesiony do Warszawy. W trakcie którejś z podróży przewodził rzeczy do nowego mieszkania i niestety wpadł w poślizg. Jego samochód wylądował w rowie. Mężczyzna zginął na miejscu, pozostawiając dwójkę dzieci, w tym córkę w wieku Andżeliki, która chodziła z nią do tej samej klasy. Stefan czuł się w obowiązku pomóc – zaczął podwozić dzieci do szkoły, jeździł z nimi i panią Skoczek do zakładu fotograficznego, aby zrobić dziewczynkom zdjęcia do legitymacji, podwoził pod urzędy, do lekarza i gdzie tylko było trzeba. Krystyna, początkowo całkiem zadowolona z towarzystwa osoby, z którą miała wspólny język, zaczęła się jednak szybko niepokoić rozwojem wypadków. Stefan z niezwykłą werwą i ochotą angażował się w pomoc wdowie, a w końcu doszło do tego, że – jak doniosła Krystynie życzliwa sąsiadka – przesiadywał z nią w kawiarniach i restauracjach.

Krystyna wystraszyła się, że Skoczkowa mogłaby zająć jej miejsce. Była w końcu młodsza, kokietowała blond fryzurą i swoją rzekomą bezradnością. Stefan świetnie odnajdywał się w roli pocieszyciela. Kiedy żona robiła mu wyrzuty, że więcej czasu poświęca tamtej niż własnej rodzinie, wściekł się i zbeształ ją w gniewie, że przecież chce tylko pomóc.

– Ty jesteś szczęśliwa, ja żyję i zapewniam wam byt, a co ona ma powiedzieć?! – grzmiał. Krystyna zorientowała się, że jeszcze trochę i zostawi ją samą z dzieckiem, będzie żyła z renty i alimentów. Przerazona taką perspektywą, połknęła któregoś dnia zbyt dużo lekarstw. Ledwo doszła z Andżeliką do domu, bardzo zakręciło się jej w głowie. Kiedy dotarły do mieszkania, zaczęła wymiotować i wychodząc z łazienki, straciła przytomność na oczach dziecka. Leżała na środku przedpokoju w kusej halce, która przy upadku podwinęła się, ukazując porośnięte czarnymi włosami łono oraz prawą pierś. Andżelika przez moment patrzyła na Matkę spanikowana, aż wreszcie pobiegła po pomoc do sąsiadów, którzy mieli telefon i wezwali karetkę. Kiedy Stefan dotarł do szpitala, Krystyna – już ocucona – szepnęła mu tylko, że jeśli śmie ją zostawić, połknie dużo więcej tabletek i dziecko będzie wychowywać się bez matki. Przyrzekł jej wówczas, że zerwie wszelkie kontakty ze Skoczkową, i słowa dotrzymał. Zresztą tydzień po incydencie z utratą świadomości w związku ze stanem wojennym Stefan został bardziej zaangażowany w sprawy wagi państwowej.

Andżelika jedzie z Matką na zakupy (w stronę Latawca lub bazaru Szembeka)

Niekiedy wzbiera we mnie złość, że pośród masy cech rodziców nie odziedziczyłam akurat tych najbardziej przydatnych. Na przykład pracowitości albo asertywności, jaką Matka zawsze umiała w niebywałym stopniu wykorzystać, starając się dostać do lekarza poza kolejnością (wykrzykując w tłumie ludzi, że musi wejść do gabinetu, bo dzieciak jej mdleje od gorączki), załatwiając coś w urzędzie (zależnie od sytuacji wyklócała się do upadłego, straszyla wyrzuceniem z pracy albo z nadmiernie wyrażaną służalczością wręczała łapówkę lub błagała o pomoc), a przede wszystkim robiąc zakupy.

Osiągnięcie przez Matkę poziomu zadowolenia z nabytego dobra było bardziej skomplikowane i rzadsze niż nakłonienie skąpego z natury Ojca do rozrzutności. W zasadzie nie było w stanie jej zadowolić, a jeśli już dokonała jakiegoś zakupu, najczęściej przeżywała go wiele godzin później, wykazując przed sobą motywy wyboru i kończąc konkluzją, iż gdyby mogła więcej wydać, miałyby coś znacznie lepszego.

Bywały dni, kiedy przewyciężała bezwład depresji i czekała na mój powrót ze szkoły, aby zabrać mnie w przypominający koszmar rajd po sklepach w jednym z dwóch kierunków: w stronę bazaru Szembeka lub w stronę domu towarowego Latawiec. Każda z tych wypraw była dla mnie niezmiernie nudna i uciążliwa. Matka rytualnie nakładała jaskrawo czerwoną szminkę na zwiędłe usta, co tylko podkreślało marność pomarszczonej, bladej skóry twarzy i przygasłych szarych oczu, po czym wychodziłyśmy z domu. Zażenowanie dosięgało mnie już w autobusie, którym trzeba było przejechać zaledwie dwa czy trzy przystanki, co nie przeszkadzało Matce ostentacyjnie zwracać się do siedzących pasażerów z prośbą o ustąpienie jej miejsca, bo – jak podkreślała – jest rencistką i może pokazać świadcząca o tym legitymację. Początek trasy (nieważne, w którą stronę się udawałyśmy) stanowiła zawsze apteka, gdzie realizowałyśmy recepty na relanium wystawiane w zatrważającej ilości przez dobrze opłacaną lekarkę. Z uwagi na ilość i charakter leku nie można było zbyt często zostawiać recept w tej samej aptece. Wymagało to nieustannego kursowania po wszelkich tego typu miejscach w promieniu piętnastu kilometrów od naszego domu. Nie lubiłam tego, bo często po odstaniu w długiej kolejce

farmaceuta pytał, dla kogo ten lek, i podejrzliwie na mnie spoglądał. Niekiedy odmawiano mi jego wydania i wracałam do domu z niczym. Matka była wściekła i posyłała na łowy Ojca, jak tylko wrócił z pracy i pochłoniął kopiastrą porcję obiadu.

Sklepy świeciły pustkami, a asortyment, jaki leżał na półkach, byłby ponurym koszmarem w porównaniu do możliwości, jakie dają odwiedziny w dzisiejszych centrach handlowych. Strona bazaru Szembeka wywoływała jednak we mnie najgorsze odczucia, potęgując codzienną dawkę otaczającej mnie brzydoty i miałości życia w bloku z wielkiej płyty, w pstrokato urządzonym mieszkaniu, gdzie kwiatowe desenie tapet gryzły się ze wzorami tanich dywanów, jakie zakrywały podłogi standardowo wyłożone obleśnym linoleum. Widok uliczek bazaru, wytyczonych przez rzędy blaszanych bud, w których znudzone kobiety siedziały przy stołach zasłanych belami materiałów o paskudnych deseniach, gwałcił mój estetyczny gust. Mężczyźni z zepsutymi zębami i czarnymi paznokciami prosto z wozów sprzedawali ziemniaki lub kapustę, a wysuszone babacie wzruszały, wyciągając w stronę przechodniów trzęsącą dłoń z warkoczami czosnku.

Matka poszukiwała zawsze czegoś konkretnego, jakiejś bluzki albo materiału („Muszę tylko znaleźć fachowca, który mi uruchomi tę nową maszynę w walizce, i zobaczysz, jakie wspaniałe rzeczy uszyję, tak jak kiedyś...” – mawiała nawet w czasach, kiedy wspomnianej maszynie w zakurzonej walizce stuknęło osiem lat), rzadziej płaszcza czy butów. Po takie poważne zakupy jechaliśmy we trójkę z Ojcem samochodem, a kupno danej rzeczy trwało sześć razy dłużej, choć przynajmniej odbywało się w atrakcyjniejszej scenerii centrum miasta. Matka wkraczała do sklepu niczym królowa, oczekując natychmiastowego zainteresowania sprzedawczyń, które w czasach socjalistycznej równości nie miały ani ochoty, ani nawet interesu w tym, aby być miłe dla klientów. Zwykle siedziały, czytając gazetę, z nieodłączną szklanką kawy po turecku na ladzie.

– Dzień dobry. Szukam eleganckiej bluzki do szarej spódnicy – wyparowywała Matka, oczekując reakcji ze strony ekspedientki. Każdą rzecz, jaką jej proponowano, zwykle kwitowała skwaszoną miną, domagając się czegoś innego, ale w innym rozmiarze, kolorze lub fasonie. Była koszmarem każdej sprzedawczyni. Przeglądała wiszące na wieszakach żalosne kreacje i po kilkunastu minutach macania każdej szmaty zaczynała mierzyć. Z nudów liczyłam szczeble kaloryferów. – No już, przecież muszę zobaczyć, czy pasuje – syczała w odpowiedzi na moje jęki. – Zaraz idziemy – brzmiało bardzo nieprzyjemnie. Wracałam do głupich gier w stylu

„chodzenie po kaflach podłogi tak, aby nie nastąpić na żadną krawędź”. Wyjście Matki z przymierzalni wywoływało głupią nadzieję.

– A więc to wszystko? Nic nie ma, bardzo słaby asortyment – wypowiedziała swoją opinię z grymasem niezadowolenia na twarzy, wciąż rozglądając się dookoła, jakby licząc na to, że nagle wypatrzy coś niesamowicie atrakcyjnego, co wredna sprzedawczyni (dziwnie wzdychająca i niemiała) przed nią ukryła. Stała tam i stała, czasami nie żałując cierpkich słów pod adresem ekspedientki. Zwykle więc wychodziła z niczym i po zaliczeniu kilku takich sklepów oraz przymiarce wielu okropnych ubrań wracałyśmy do domu, żeby zdążyć na powrót Ojca z pracy, bo przecież trzeba było postawić mu obiad pod nosem.

Andżelika i kolejna wizyta w poradni

Kiedy odeszła, najbardziej brakowało mi rozmów przez telefon. Przez wiele dni zupełnie odruchowo do niej dzwoniłam, czasami nawet nagrywałam wiadomości. To była najczęstsza forma naszych kontaktów – wybieranie jej numeru było niczym czynność fizjologiczna wykonywana kilkakrotnie w ciągu dnia. Jej nagła śmierć miała miejsce rok po odejściu Ojca. Nie rozpaczałam głośno, nie płakałam ostentacyjnie, nie zwariowałam. Ratowały mnie dzieci i ich wizja cudowności świata, którą za wszelką cenę starałam się uchronić – rutyna codzienności, pancierz najprostszych czynności, takich jak mycie, przygotowywanie kolacji i karmienie ich, czego nie porzuciłam, nawet gdy szłam położyć kwiaty na grobie (zawsze wybierałam je, myśląc o minie Matki, starając się ją zadowolić). Trzeba było jednak inaczej postępować, nie podtrzymywać trwogi i wspomnień, ale pomóc umęczonej duszy. Zamiast uciekać od bagażu doświadczeń w remont domu, postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku, likwidację mieszkania po rodzicach, powinnam była zrozumieć, co oznaczają z tygodnia na tydzień gorsze sny, a w nich Matka ciągle domagająca się czegoś innego. Śniła mi się zawsze chora bądź umierająca, zawsze straszliwie cierpiąca. Lepiej byłoby ten okres żałoby przeżyć, modląc się za jej duszę, dając na wypominki, wstawiając się za jej zbawieniem. Może wówczas nie pogłębiłaby się nerwica lękowa, nie doszłoby do ataków paniki, bezsennych nocy, dramatycznych chwil niemożności zachowania nadziei?

Jak przebliski pamięci o różnych porach dnia stają mi przed oczami wzory i desenie ubrań, których zatrważająca ilość zalegała przez lata w szafach i na półkach regałów w domu rodziców. Każdy z tych długi czas gromadzonych elementów odzieży z niezrozumiałych przyczyn utkwiał mi w pamięci. Kiedy teraz obserwuję, co dzieje się w modzie – ten triumfalny powrót wzorów, feerii kolorów i gamy szalonych deseni, orgia barw i motywów sprawiają, że powracają noszone w latach sześćdziesiątych. Naśmiewałam się z nich jako dziewczynka, nie mogąc pojąć, jak ludzie mogli nosić na ulicy te straszliwe dzwony albo lakierki na koturnie w czarno-brązowe cętki! Co teraz bym dała za te ciuchy vintage!

Minął już rok, a ja teraz dopiero nie mogę odżałować, że wraz z bratem, który pomógł mi opróżnić mieszkanie, pozbyliśmy się wszystkich rzeczy po rodzicach. Ani on, ani ja nie

mieliśmy miejsca w swoich ciasnych wówczas domach na przechowanie worków bezużytecznych tkanin czy przedmiotów. Z trudem wyselekcjonowaliśmy trochę książek, medali i odznaczeń Ojca, jego mundury i albumy z fotografiami. Nie licząc talerzyków deserowych z motywem jarzębiny, których nigdy nie używaliśmy, bo przeznaczone były tylko dla gości (choć nigdy nikt z odwiedzających nie zasłużył, aby jeść sernik z tej zacnej porcelany), i karafki na wino, nie zabrałam z ich domu żadnych przedmiotów o wartości użytkowej. Pamiątki po Ojcu, kilka medali i szablę, jaką dostał, odchodząc z wojska na emeryturę, ukradziono nam wraz z samochodem zaparkowanym przed oknami naszego bloku.

Mieszkanie, w którym się wychowałam, zostało w miarę szybko sprzedane, świat samotnej dziewczynki znikł z powierzchni ziemi. Już nigdy nie uchylę firanki i nie spojrzę z wysokości szóstego piętra przez okno na strzeliste sylwetki pokracznych bloków po drugiej strony ulicy – pięknie wyglądały tylko w słoneczne popołudnia, gdy budynki oblane pomarańczowym światłem rzucały ostre cienie.

Chciałam opowiedzieć na kolejnej wizycie u pani psycholog o tych przedmiotach, które niczym fotografie stają mi nieustannie przed oczami. Zaczęłam jednak od wspomnienia telefonów. Psycholożka z wyćwiczonym zapewne grymasem zainteresowania na twarzy wysłuchiwała moich żali wobec rodziców. Na przykład, że Ojciec ciągle mnie strofował („jaki okropny charakter pisma, włosy zapuszczone, ubrałaś się w jakąś ładną sukienkę, a nie w obdartych dżinsach chodzisz i wstyd nam przynosisz przed sąsiadami; co ty za muzyki słuchasz, bzdury masz w głowie, jakieś obrazy, głupoty, z tego nikt nie wyżyje, lepiej już byś się za jakimś miłym chłopcem obejrzała”), może kochał, ale nie za to jaka byłam, bo to go w ogóle nie obchodziło, ani moje zainteresowania, ani pragnienia. W dusznej atmosferze cierpienia, w ponurych czasach stanu wojennego kształtowało się moje pełne lęku i frustracji, żalosne „ja”.

Cóż, często czułam, że nie spełniam oczekiwań, nie można się już mną pochwalić, nie tak jak kiedyś, gdy byłam słodką, rozpieszczoną lalczką. Wszystko, co teraz lubiałam, zasługiwało na pogardę. Czytane książki nie były nic warte (oboje z Matką czytali bardzo niewiele i gardzili beletrystyką, bo to były bajki nieprzystające do rzeczywistości), muzyka negowana z założenia (głośne wycie obdartusów), moje prace nigdy nie doczekały się choćby jednej opinii, drobnej zachęty czy pochwały na wyrost. Ach, jak oni mnie męczyli swą nadopiekuńczością, natarczywym karmieniem (które w wieku dojrzewania zaowocowało dużą nadwagą, co pozbawiło mnie szkolnych związków z chłopcami), tymi zakazami, niemożnością wychodzenia

gdzieś wieczorem czy jeżdżenia na harcerskie biwaki. „Włóż czapkę, nie zapomnij o ciepłych majtkach, przestań przylizywać włosy, ładniej ci w nastroszonych!”. Słyszałam te teksty nawet wtedy, kiedy w końcu udało mi się wynieść z domu i jeszcze na studiach zamieszkać u chłopaka, czego nigdy do końca mi nie wybaczyli. „Życie na kocią łapę”, jak to nazywali, stanowiło wierzchołek góry lodowej wszelkich zastrzeżeń, jakie do mnie mieli. A przecież aby przeżyć, musiałam z nimi walczyć. Ciągle się o wszystko kłóciłam, pyskowałam, okropnie wrzeszczałam, trzaskałam drzwiami. Nie miałam jednak szans. Ilekroć bowiem walczyłam o swoje racje, Ojciec korzystając ze swojej roli, autorytarnie przestawał się do mnie odzywać, tak iż po kilku dniach pełnego napięcia milczenia musiałam się kajać i przeproszać, bo groził Matce, że w końcu nas zostawi, odejdzie i zostaniemy zdane same na siebie. Matka stosowała gorszą jeszcze metodę szantażu emocjonalnego: przy każdej ostrej wymianie zdań lub kłótni robiła przedstawienie, ciężko dysząc, ostentacyjnie łykając tabletki na serce, czasami nawet żądając wezwania karetki, „bo to może być zawał.” Koniec końców, w głębi duszy zawsze zależało mi na ich akceptacji. Dlatego ponosiłam kolejne klęski – nawet nie spróbowałam wbrew ich woli zdawać na studia do Akademii Sztuk Pięknych, po dwóch latach walki odpuściłam wegetarianizm i przestałam się spotykać z chłopakiem, którego określali jako „włóczęgę”. W pewnym sensie dorastając, dostosowałam się do nakreślonego przez nich docelowego modelu – znalazłam dobrą pracę, podróżowałam do miejsc, w których im nigdy nie śniło się nawet przebywać, zaczęło mi się powodzić finansowo na tyle dobrze, że szybko kupiliśmy mieszkanie na kredyt, urodziłam dzieci, w końcu nawet wzięłam ślub, a mój mąż zajmował wysokie stanowisko i miał wyższe wykształcenie. Wreszcie mieli o czym opowiadać rodzinie i sąsiadkom. Psycholożka wysłuchała tego wszystkiego i stwierdziła, że mój lęk przed lataniem samolotami to sztandarowy przykład mającego swe podstawy w doświadczeniach z dzieciństwa braku poczucia, że można absolutnie polegać na drugiej osobie. Będąc w samolocie, nic nie zależy od nas, nie mamy żadnego wpływu na to, co może się wydarzyć, więc musimy zaufać unikalnym umiejętnościom pilota, komuś, komu powierzamy nasz los. – Pani nie mogła zaufać rodzicom, czyż nie? Czy były sytuacje, gdy bez wewnętrznego sprzeciwu przyjęła pani ich punkt widzenia, podjęła decyzję ufając ich radom? Nie? No właśnie... – Rzeczywiście, kiedy sięgam pamięcią wstecz, przypominam sobie, że czasami byłam już zmęczona tą walką z nimi, chciałam się pogodzić, poddać ich wytycznym, ale nigdy, nigdy nie byłam w stanie poczuć się bezpieczna. Podobnie zresztą czuję się w małżeństwie – nie umiem poczuć się bezpiecznie. Wiem, że mogę polegać tylko na sobie.

– Pani po prostu nie chce pozwolić, aby ktoś kontrolował choćby wycinek pani życia –
mówi terapeutka.

Andżelika, Gizmo i Dolores

Liceum, do którego poszłam, nie miało opinii placówki o wysokim poziomie. Otaczała je aura cichej udręki, jaka była z wierszy i obrazów jej patrona, czołowego przedstawiciela polskiego *fin de siecle*. Przez okna wdzierały się do sal wpasowane w szarość dnia i szafir zimowego zmierzchu gałęzie drzew – najpierw ugniatające się pod obfitością liści, później nagie, lekko zarysowane ostrą czarną kreską, niczym japońskie kaligrafie. Wewnątrz przesiąkniętego wilgocią budynku, wśród ścian wyłożonych niegustowną boazerią snuły się grupy uczniów, których uwagę zaprzętał głównie strach przed niezrozumiałym dzisiaj okrucieństwem większości nauczycieli i ich wygórowanymi standardami. Bez wyraźnej przyczyny, na skutek takiej, a nie innej polityki grona nauczycielskiego, otrzymanie w tej szkole oceny dostatecznej równało się piątce postawionej gdzie indziej, co paradoksalnie nie przekładało się na poziom wiedzy uczniów, lecz traumatycznie wpływało na ich poczucie udręki i niską samoocenę.

Nasza klasa składała się w osiemdziesięciu procentach z dziewcząt bardzo przeciętnej urody, ubierających się skromnie i bez polotu, zainteresowanych święcącymi niepojęte triumfy musicalami i piosenkami aktorskimi, wymieniającymi się kasetami z nagraniami Stinga i powieściami pisarza, którego nazywano królem prozy dla inteligentnych sklepowych. Wśród przedstawicieli płci męskiej był borykający się z potwornym trądzikiem Piotrek, wielbiciel thrash metalu. Chłopak koncentrował swe wysiłki dotyczące wyglądu wyłącznie na zapuszczaniu włosów, nosząc wciąż te same flanelowe koszule w kratę i tanie, kupione na bazarze džinsy. Oprócz mego do klasy chodził też przystojny Tomasz – wielbiciel prochów i używek, kiblujący drugi rok w tej samej klasie (mimo miłej aparycji unikał kontaktów z resztą uczniów, ostentacyjnie okazując swe lekceważenie dla szkoły jako instytucji), któremu w trakcie ogniska na zakończenie roku Dolores wyznała publicznie miłość. Męskie grono uzupełniali jeszcze nie wyróżniający się absolutnie niczym, może poza wielkością stopy, Rafał, jak również niski i nieśmiały Andrzej o kpiącym uśmiechu, zainteresowany jak najszybszym wyjściem z budynku i oddaniu się grom komputerowym przez resztę wieczoru. Był też ktoś z pozoru zwyczajny, uczący się gry na organach – Mariusz Kruk, grubawy blondyn o przepraszającym uśmiechu. Niespodziewanie dla wszystkich miał w roku maturalnym ostentacyjnie ujawnić swoje

homoseksualne skłonności, z którymi w parze szło dziwne zachowanie wariata śpiewającego religijne pieśni na ulicach i w trakcie lekcji fizyki.

Na przełomie tandetnych lat osiemdziesiątych i minimalizmu lat dziewięćdziesiątych, jeszcze przed nadejściem grunge'u i powrotem błyszczącego makijażu, mody na barokowy *glamour* i eklektyzm w muzyce działo się tak niewiele, że wypełniałam życie uwielbieniem dla przeszłości. Z pasją kolekcjonera zbierałam na wszelkich możliwych nośnikach nagrania wykonawców z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Ich nazwiska i nazwy nie mówiły absolutnie nic żadnemu z moich rówieśników i o szkole głównie leżałam godzinami na podłodze w pokoju ze słuchawkami na uszach i papierosem w ustach, marząc o byciu hipiską i życiu w komunie. Muzyka, którą poznawałam, prowadziła z kolei do odkryć literackich. Nimi również nie miałam się z kim dzielić. Jeszcze bardziej izolowałam mój świat od rzeczywistości, z którą utrzymywałam kontakt, chodząc czasem do kawiarni lub do kina. Filmy ambitniejsze niż modny wówczas *Terminator* musiałam oglądać w samotności, na przykład w kinie Iluzja, gdzie organizowano przeglądy twórczości Felliniego, Almodóvara, Antonioniego, Cassavetesa albo Kurosawy. Siedząc w zakurzonym fotelu obitym przed wielu laty zielonym pluszem, marzyłam o niezwykłym nieznanym, który podzieli moje zainteresowania, zakocha się we mnie i odmieni mój nudny los. Wybierając się na *Przygodę* i deptając po jesiennych liściach, myślałam: „Może to dziś?”. Kilka tygodni później były *Sny* i wiele innych filmów, podczas gdy w moim życiu nie wydarzyło się nic.

Już w wieku szesnastu lat nie radziłam sobie z poczuciem osamotnienia. Najgorsze były pogodne wieczory, rozświetlone beztrąsco zachodzącym słońcem, w którym kąpały się twarze ludzi przemierzających ulice, spotykających się w kawiarniach, robiących coś poza domem. Siedząc na parapecie, z zazdrością wpatrywałam się w ich twarze. Wydawali się nieosiągalni, szczęśliwsi z powodu przebywania z innymi ludźmi. Chwilę później czułam już wobec nich pogardę i obcość. Ilekroć sama wychodziłam z domu i szłam do kina lub na spotkanie z koleżankami, zawsze miałam wrażenie jałowości tych kontaktów i walczyłam z poczuciem straty czasu. Żałując, że nie przeznaczyłam tych godzin na konstruowanie nowego wiersza, zwracałam się ku wymyślanym miłościom, chłopcom ze szkoły lub podwórka, osobom, których charakter wymyślałam sobie jedynie na bazie ich wyglądu i zachowania, jakie mogłam zaobserwować, mijając ich na ulicy. Być może wynikało to z kompleksów lub obawy przed odrzuceniem, ale nigdy przed wyjazdem do Błękitnej Góry nie padło z moich ust wyznanie, iż

ktos realny mi sie podoba. Nieraz tolerancyjna Dolores besztala mnie za krytyczne oceny formulowane wobec chlopakow ocenianych przez nia pozytywnie. Nigdy nie przyznala sie, ze podobaja sie jej czyjes owlosione plecy, zezowate spojrzenie lub odstajace uszy – zwykle pociagali ja mezczyzni o, delikatnie mowiac, kontrowersyjnej urodzie.

Tematami moich nikomu nieujawnionych wierszy, jakie pieknie kaligrafowalam olowkiem w ozdobnym zeszytie o pozolkllych stronach, byly struktura owocu granatu, odczucie bolesnego piekna, gdy spojrzalam na krople rosy polyskujace na zziębniętej galazce, delikatna miłosc do kogos, kogo nie znam. Zapewne wlasnie to poczucie wyizolowania i udręka szkolnych dni zbliżyły mnie do Dolores (uzywajacej jeszcze wöwczas prawidłowej formy swojego imienia Dorota) i Gizmo, ktore jak ja czuly sie poniekad outsiderkami i trzymaly sie razem, nie umiejac nawiązac kontaktu z reszta uczniow reprezentujaca przecietnosc. Jako pierwsza moja uwage zwröcila Dolores, pod koniec pierwszej klasy wyglaszajac smialy esej pod tytulem *Kultura niska czy wysoka: kino czy telewizja*. Bez zenady wychwalala w nim zalety zycia wypełnionego telewizja, dzieki ktorej nigdy nie czuje sie samotna, bo szara rzeczywistosc wypełniaja jej postaci z ulubionych seriali, takich jak *Crime Story* albo popularne w tamtych czasach *Miasteczko Twin Peaks* Davida Lyncha, a takze zapomina o wlasnych problemach i czerpie wzorce postępowania i inspiracje. Odwage, z jaka przyznala sie do fascynacji telewizja (podczas gdy oczywiscie wszyscy pozostali uczniowie opowiedzieli sie za kinem), pochwalila nauczycielka od polskiego, mimo ze celem eseju bylo uzmyslowienie uczniom, jak niska kulture stanowi obcowanie z telewizorem i jak bardzo wzbogaca rezygnacja z tej formy marnowania czasu na rzecz wznioslej wizyty w kinie.

Zyskujac bardzo szybko opinie klasowej wariatki, wyrozniala sie na tle innych dziewczat niezwykla uroda (oprócz niej uwage zwracala tylko sliczna brunetka Ania podobna do Cindy Crawford, ktora mimo swoich aktorskich ambicji miala pózniej zrobic karriere jako makijazystka gwiazd w jednej z komercyjnych stacji telewizyjnych. Podkreslala ja mocnym make-upem wykonanym rozpaczliwie kiepskimi kosmetykami, stylizujac swój wyglad na Madonne z czasow plyty *Erotica*. Dziwactwami tuszowala swoje okaleczenie, ktorego nikt nie umial sie domyslec. Smiano sie, slyszac, jak mowi o ojcu „ten skurwysyn”, nie rozumiejac, iz w opowiastkach o tym, jak zamykala sie w lazience przed jego obleśnymi łapami, kryje sie bolesna rodzinna tragedia. Wszem i wobec ogłaszała swoja miłosc do Elvisa Presleya. Piosenkarz rzekomo pojawil sie najpierw w jej śnie, a pózniej przyszedł do niej nocą i glaskal po policzku. Od tamtej chwili

czuła, że im więcej słucha jego płyt i im częściej obcuje z jego wizerunkiem (szczelnie wypełniając ściany swojego pokoiku plakatami z irytująco uśmiechniętą twarzą), tym lepiej się jej wiedzie, bo chroni ją jej anioł stróż, dobry Elvis. Ubierała się, inspirując się modą lat pięćdziesiątych (obcisłe kardigany w pastelowych kolorach i rozkloszowane spódnice w kratę, materiałowe opaski na włosach), dzięki czemu co najmniej o piętnaście lat wyprzedziła modę na ubrania w stylu pensjonarki, co w połączeniu z jej drapieżnym wyrazem oczu i wyzywającą miękkością wielkich ust robiło piorunujący efekt. Swoimi barwnymi opowieściami, uzupełnianymi żywą gestykulacją, wzbudzała powszechne rozbawienie. Wystarczyło do niej podejść i zapytać, jak leci, a ona nie tracąc rozgniewanego grymasu twarzy, opowiadała o tym, że dzień kiepsko się zaczął: nie mogła nakręcić włosów na lokówkę, bo skurwysyn złośliwie zajął rano łazienkę na pół godziny, zapewne waląc w niej konia albo smarując włosy żelem, jakby w fabryce, gdzie pracował, jego fryzura mogła mu zjednać jakąkolwiek kobietę poza sprzątaczkami, które pewnie i tak już zdążył przelecieć. „Co on ci takiego zrobił, że aż tak go nienawidzisz?” – pytano ją czasami, na co wzruszała ramionami, mówiąc, iż jest po prostu skurwysynem, który niszczy jej życie i złośliwie podgląda, jak bierze prysznic. Mówiła, że kiedyś nie wytrzyma i użyje wobec niego noża ukrytego pod wanną lub w końcu go zabije, wrzucając suszarkę, kiedy będzie się kąpał (kiedyś podobno prawie to już zrobiła, ale ojciec zdążył rzucić w nią żelazkiem, oznajmiając, iż nie ma już pierwородnej córki, i przestał się odzywać). „Z tą dziewczyną nie da się poważnie porozmawiać” – twierdziły koleżanki z klasy, dziwiąc się Gizmo i mnie, jak możemy przyjaźnić się z Dolores. My zaś, teoretycznie bardziej normalne i przystające do standardów klasy, byłyśmy równie nieprzystosowane do świata, żyjąc złudzeniami i marzeniami.

Miałam w tamtych latach długie, falujące włosy, czesane z przedziałkiem pośrodku, i kłopoty z nadwagą. Ciągle byłam na jakiejś diecie, wciąż balansując na krawędzi euforii po zjedzonej czekoladzie i rozpaczony wywołanej poczuciem winy. Nie byłam, obiektywnie rzecz biorąc, brzydka, choć ubierałam się nieco dziwnie jak na tamte czasy: spódnice do kostek, naszyjniki własnej produkcji, uszczęśliwiona, ilekroć ktoś (często z niesmakiem lub wyrzutem, których nie zauważałam) powiedział mi, że wyglądam jak hipiska. Gizmo miała przeciętną, trochę skandynawską urodę, jasną piegowatą cerę i cienkie blond włosy. Ubrana przeważnie w sweter i czarne spodnie, cierpiała z powodu braku pieniędzy, które planowała kiedyś w życiu zdobyć. Wychowana w arcykatolickiej atmosferze, gdzieś na zabitej dechami prowincji, do

stolicy sprowadziła się, nie tracąc młodzieńczej obsesji polegającej na podkochiwaniu się w księżach z rodzimej parafii. Jej ulubionym filmem w tym czasie (widzianym z resztą na wagarach, na które poszliśmy razem) był *Wielki błękit* Bessona. Oprócz naszego obopólnego podziwu dla urody głównego aktora obejrzenie filmu zaowocowało ukierunkowaniem marzeń o wyrwaniu się na zawsze z rodzimej szarości do śródziemnomorskiej krainy.

Obie kupiliśmy sprzedawane przez Indian z Peru jaskrawe śmieszne czapki z nausznikami, zakochane w wizji oddanego oceanowi kochanka (dla Gizmo często występował odziany w sutannę) i zainspirowane pejzażami Sycylii, zapisałyśmy się na kurs włoskiego.

– Co to za film! Ona mu mówi, że go kocha, a ten, kurwa, wybrał delfina! – skomentowała film oburzona Dolores, gdy na kolejnych wagarach dała się namówić na pójście do kina, zamiast zwyczajowego włóczenia się po domu towarowym albo parku. Byłyśmy z Gizmo do siebie podobne. Obie uciekałyśmy od rzeczywistości. Ona umiała jednak na tyle skonkretyzować swe pragnienia, iż znajdowała środki do ich realizacji, ja tylko bujałam w obłokach, zwrócona ku przeszłości i czasom przed moim urodzeniem, żyjąc poezją, której nie rozumiałam, chcąc być po prostu gdzie indziej, inaczej, nie wiedząc ani jak, ani gdzie tego dokonać. I chociaż obie marzyłyśmy o życiu w śródziemnomorskim raju, różu weneckim i turkusie wybrzeży Taorminy, to właśnie Gizmo na stałe opuściła Polskę i zrealizowała swoje zamierzenia: wyszła za mąż za Włocha i pracuje nad jednym z międzynarodowych projektów ratowania Wenecji, podczas gdy ja brnę tam, gdzie los mnie poniesie.

Często z nostalgią wspominam nasze wagary... Niekiedy myśl o dniu w szkole była nie do zniesienia i wówczas po prostu włóczyłyśmy się bez celu po sklepach, nie mając pieniędzy nawet na kino. Czasami pokonywałyśmy niemal całe miasto i przesiadałyśmy się do kolejnych autobusów po to tylko, aby poobserwować samoloty startujące z lotniska. Starczało nam pieniędzy tylko na wspólny zakup torby ciastek, które zjadałyśmy, spacerując alejkami skostniałego od mrozu parku, pełnego wygłodniałych ptaków i starszych ludzi sypiących im okruszki. Niekiedy odpoczywałyśmy od szkolnego reżimu, płacząc się po Starym Mieście, gdzie Dolores taksowała wzrokiem każdego przechodzącego obok mężczyznę, szukając w mijanych twarzach i sylwetkach namiastki Elvisa.

Dziewictwo ciążyło jej niczym wstydliva kurzajka, którą trzeba jak najszybciej i jak najdyskretniej zlikwidować. Rozbudzona seksualnie po tym, jak odkryła w szufladzie skurwysyna książkę o technikach masturbacyjnych, pozbyła się wreszcie wstydliwego ciężaru w

sylwestrową noc, tuż po swoich szesnastych urodzinach, kiedy to dosłownie rzuciła się na jednego z bawiących się na domowej prywatce chłopców. Zaciągnęła go na szybki numer do łazienki, nie zważając wcale na fakt, iż kiedy odbywali stosunek, jego dziewczyna z zacięciem waliła w zablokowane drzwi i wrzeszczała: „Wychodź, ty kurwo!”. Jej opowieści o kolejnych przygodnych kontaktach (nie licząc jednego stałego znajomego, którego regularnie odwiedzała, aby uprawiać seks, co tłumaczyła widokiem z okna jego pokoju na rozległy cmentarz), bawiły nas, ale też wprowadzały w lekkie zażenowanie i przerażenie. Gizmo i ja oczywiście pozostawaliśmy dziewicami.

Dolores zawsze bez zahamowań i poczucia wstydu umiała wyjawiać swoje sympatie i antypatie, zarówno wobec osób z krwi i kości, które ją otaczały, jak i wobec gwiazd show-biznesu lub sportu. Jej system wartości nie był skomplikowany – albo kogoś kochała, albo go jawnie nienawidziła, prosto z mostu formułując swe odczucie w stylu: „nienawidzę tej suki” albo „uwielbiam go, zrobiłabym mu laskę”. Zakochana w świętej pamięci Patricku Swayze, widziała swój ulubiony film z jego udziałem *Dirty Dancing* osiem razy w kinie i dwanaście razy w domu. Pielęgnowała swój wizerunek szalonej idiotki, podniecającej i zupełnie nieprzewidywalnej. Lubiała szokować, ostentacyjnie klęła, opowiadała sprośne historie. Jednocześnie uwielbiała matematykę, podobnie jak angielski, którego nauczyciel stanowił obiekt jej uczuć – taki był piękny, z dziobami na twarzy, wzrost metr sześćdziesiąt dwa, stylizowany na Alice’a Coopera. Kilka lat później miał zresztą spełnić jej dziecięce marzenia, stając się na kilka miesięcy jej kochankiem. Jak miał potem wyznać, swój dyplom magistra anglistyki kupił na bazarze, a języka nauczył się sam, słuchając muzyki trashmetalowej.

Wspólnie spędzałyśmy wakacje. Pierwszy raz pojechałyśmy nad morze w roku, w którym wybuchła moda na muzykę grunge. Wybrałyśmy wielki kurort, gdzie jeżdżą, jak mówił mój Ojciec, tylko kurwa i złodziej. Lokalizację wybrała Dolores, pamiętając mityczne wakacje z rodzicami, kiedy jeszcze na świecie nie było jej siostry, a swojego ojca nie nazywała skurwysynem. W zapuszczonym pokoju, którego wynajęcie tak pogrzyżyło nasz budżet, że stać nas było jedynie na gotowane na butli gazowej zupy w proszku w ukryciu przed właścicielką i obiad co dwa dni (dla mnie składający się z samych frytek i surówki, nie jadłam bowiem nawet rybiego mięsa), słuchałyśmy Elvisa na przemian z objawieniem tamtego lata, nowym zespołem o nazwie Pearl Jam. Za wszelką cenę chciałam podkreślić swoją odrębność, szukałam odmiany i nowego kierunku, podczas gdy Dolores i Gizmo godzinami leżały, smażąc się na zatłoczonej

plaży. Co zresztą innego mogliśmy robić, nie mając pieniędzy? Od puszczonej w kółko taśmy z Soundgarden i Tempie of the Dog dziewczynom robiło się niedobrze. Uciekałam do cienia i zaczytywałam się w *Stu latach samotności*, śledząc wzrokiem długowłosego portrecistę z molo, który ubrany w nieśmiertelną koszulę w kratę przypominał mi Eddiego Veddera. Dolores nie kryła swojej nienawiści, patrząc na moje hipisowskie stroje, skręty z taniej trawki, kanapki z sojowym pasztetem (kupowanym w potwornie drogim w tamtych czasach sklepie ze zdrową żywnością), T-shirt z odręcznie wymalowanymi nazwami grunge'owych zespołów. Wyobrażam sobie czasami nasz portret: trzy opalone, szesnastoletnie dziewczynki, mało przystępne, snujące się po molo, nienawiązujące z nikim kontaktem. Rok później było już inaczej: z długowłosej blondynki w stylu Joni Mitchell stałam się kimś innym, nie do końca zidentyfikowanym. Dolores powiedziała mi, że polubiła mnie, dopiero kiedy kupiłam kostium kąpielowy w jaskrawe egzotyczne kwiaty. Najwyraźniej uznała, że akt zakupu czegoś takiego świadczył o porzuceniu intelektualnych dylematów i pragnieniu życia na wzór losów bohaterki amerykańskich seriali. Następnego lata trafiliśmy do – znowu wybranego przez Dolores – cudownego miasteczka o nazwie Błękitna Góra, z zaledwie kilkoma zorientowanymi na turystów ulicami, gdzie droga na wąską plażę wiodła stromym zejściem z klifowego nabrzeża. Lato wyróżniało się wyjątkowo kapryśną pogodą – chociaż co dzień rano witało nas słońce, dzień w dzień przed południem padał lekki deszcz (szliśmy wtedy schronić się w jednej z trzech kawiarni, aby zjeść ciastko orzechowe). Po takim ochłodzeniu miło było odbyć ponadkilometrową drogę brzegiem wysokiego wybrzeża, aby wrócić do pokoju w pensjonacie Karolina, zaparzyć kawę i szykować się na wieczorne wyjście do jedyne go klubu w mieście o nazwie Ara Club.

Dolores bez skrępowania szukała doznań erotycznych. Była tak zdesperowana, iż poszła nocą w krzaki na wydmy z dosłownie byle kim, pierwszym lepszym kolesiem, który poprosił ją do tańca w wielkim namiocie rozstawionym na środku plaży. Nazywano go Apteką z powodu dostępności wszelkich dopalaczy i prochów, jakie z łatwością można było tam nabyć. Zdażyłam z Gizmo wypić zaledwie po jednym drinku (z dwóch, jakie miałyśmy zaplanowane w ramach skromnego budżetu na cały wieczór), gdy zobaczyłyśmy wyłaniającą się z ciemności po stronie lasu przyjaciółkę, zalaną łzami i nerwowo powtarzającą, że uciekła chłopakowi, kiedy zaczął zrywać z niej majtki. Potem położyła się na piasku i szlochając, opowiadała, że przyszedł do niej Elvis, był przed chwilą obok niej i trzymał ją za rękę, i to na pewno był ON we własnej osobie.

Godzinę później, wzmocniona drinkiem, tańczyła z dumnym wyrazem twarzy (bynajmniej nie była z rodzaju przystępnych – jeśli chciała, by się coś działo, sama to inicjowała), pozwalając sobie wcisnąć między nogi udo jakiegoś pseudorapera. „Podoba mi się ten w berecie” – powiedziałam wtedy do dziewczyn, ruchem głowy wskazując szczupłego, wysokiego chłopaka o rysach twarzy młodego Franza Kafki, który podrygiwał z nieobecny wrokiem w towarzystwie niższego od siebie kolegi w czapce z pomponem. Dlaczego nie zatrzymałam dla siebie tej niby nieistotnej informacji? Kiedy nad ranem wracałyśmy do pensjonatu, Dolores oświadczyła, że ten w berecie (słodki jak lukrecja), jej również się podoba, i że to z nim zamierza stracić cnotę. Gizmo, zwykle bardzo zdystansowana wobec zauroczeń koleżanek, także przyznała, że jest coś niesamowitego w tym chłopaku. Nazwałyśmy go zgodnie Lukrecją.

Pojawił się po prostu, taki nikt, żadna z nas nigdy nie zamieniła z nim słowa (nawet później, kiedy okazało się, że studiujemy razem na tym samym uniwersytecie). Co wieczór szłyśmy do Apteki, tańczyłyśmy z byle kim, wodząc wrokiem za Lukrecją, niekiedy nawet idąc za nim i jego kumplem do miasteczka, żeby sprawdzić, gdzie mieszkają, i potem postać pod jednym z domów i po jakimś czasie wrócić do siebie. Pewnego wieczora, który powielał scenariusz poprzednich dni, Dolores tańcząc, zbliżyła się do podrygującego Lukrecji i w momencie, kiedy szybki kawałek płynnie przeszedł w jakąś balladę, stojąc blisko niego, zarzuciła mu po prostu ręce na ramiona i nadając rytm, wessała się w jego usta. Kiedy piosenka się skończyła, on odwrócił się na pięcie i zniknął. Nie zamienili ze sobą nawet słowa, i choć nazajutrz nieoczekiwanie chłopak nie odpowiedział na „cześć” ani nie odwzajemnił jej żarłocznego uśmiechu (nawet nie przyszło nam do głowy, że całując się, był tak otumaniony amfetaminą, że nawet nie zarejestrował tego zdarzenia), Dolores uznała ten spontaniczny pocałunek za znak i zapowiedź rychłej konsumpcji. Wracałyśmy wtedy do pensjonatu w podłych nastrojach, ja – z poczuciem odrzucenia, Gizmo znowu pogrążona w marzeniach, w których powróciła do przystojnych księży ze swojej parafii, a Dolores z triumfującym uśmiechem, uduchowiona przez najbardziej niezwykły pocałunek, jakiego doznała. Cud, przeznaczenie, magia w jednym. Napawała się bezwstydnie swoim sukcesem, nie przejmując się naszym żalem. Nie wiedziałyśmy wówczas, że chłopak ma na imię Dominik, pochodzi z naszego miasta i przez najbliższy rok będziemy na bazie wyobrażenia o nim dokonywać absurdalnych wyczynów.

Czy mogło być coś głupszego, niż uganianie się po całym mieście za nieznanym chłopakiem bez żadnej próby nawiązania z nim kontaktu? To jednak odpowiadało naszym osobowościom, wyraźnie odcinającym się od tego, co normalne i konwencjonalne. Zgodne z naszym „ja” było obywanie się bez chłopaka (choć wóczas nie panowała ani moda, ani nawet społeczna akceptacja dla samotności z wyboru) albo dopuszczenie kogoś do siebie, by zaraz z nim zerwać i zrobić to na tyle szybko, aby uniknąć emocjonalnego więzienia. Czyż nie zachowywałyśmy się niedojrzale, uciekając przed traumą przeszłości, unikając określenia samych siebie i planów na przyszłość? Z perspektywy lat widzę, że ta skrajna bierność nie opłacała się. Mogłam być, kim chciałam, mogłam zdobyć zainteresowanie chłopców, ale mimo iż tego pragnęłam, nie zrobiłam nic, aby przestać nosić flanelowe koszule w kratę i niemodny już hipisowski entourage. Czekałam w osamotnieniu, z coraz większym bagażem kompleksów, aż zjawi się ktoś, kto zobaczy mnie naprawdę, mnie i moje ukryte piękno, o którego istnieniu byłam przekonana.

Plącząc się po mieście śladami Lukrecji, nabrałyśmy nawyku przesiadywania na parkowych ławkach (bez celu, czekając, aż może chłopak się pojawi). Zapalałam papierosa i czekałyśmy – ilekroć wypadał mi z niego żar, obiekt naszej niepojętej adoracji naprawdę pojawiał się znikąd. Szedł przygarbiony, szybkim krokiem, rzucając nam spojrzenie świadczące o tym, że nas rozpoznał, po czym nie zwalniając tempa, z kąpiącym uśmiechem oddalał się, a my pozostawałyśmy jeszcze długo na miejscu, oniemiałe i szczęśliwe, jakbyśmy w niezrozumiały sposób właśnie przybliżyły się do wyznaczonego celu. Gdy nadeszła zima, zaczęłyśmy spędzać długie godziny przy dzielonym na pół piwie i kawie (na więcej nie było nas stać), we wnętrzach znajdujących obok siebie lokali w pobliżu uniwersytetu. Najwspanialszym z miejsc był Amsterdam, urządony w ciemnych piwnicach Akademii Sztuk Pięknych, w otoczeniu czerwonych i zielonych ścian (rozświetlonych żółcią lamp, jak na obrazie van Gogha). Siedziało się tam w klaustrofobicznych, połączonych ze sobą wąskim korytarzem salkach, trwając tak bez celu, czekając na koniec nocy, niekiedy przy porannej już kawie. W tle brzmiały cicho jakieś melancholijne, niepokojące wokalistki, dziwnie smakowała kawa przyprawiona kardamonem, pita ze świadomością mroźnego słońca na zewnątrz, gdzie po opuszczeniu piwnicy wkracza się do świata jak w obraz. Były też inne, bardziej lub mniej zatłoczone lokale, oddalone od siebie nie więcej niż trzysta metrów. Przebiegałyśmy je, trzymając się za ręce, w czarnych beretach (w nawiązaniu do wyglądu Lukrecji) na głowach. Znalazłyśmy towarzystwo

pseudoartystów, którzy grali w rockowych zespołach i „robili” muzykę. Brali nas za siostry, bo ubierałyśmy się bardzo podobnie, w długie płaszcze i berety. Miałyśmy nawet podobne fryzury, krótkie i czarne, dodające nam tajemniczości i wyrafinowania.

Schemat był zawsze podobny: ludzie zakochiwali się w Dolores (z agresywną dziewczyną o imieniu Maryśka włącznie, która niemal zabrała mi przyjaciółkę, płacąc za nią w pubach i kupując drogie prezenty, o których ja mogłam jedynie śnić), aby po tym jak nasycili się jej ciałem, lgnąć ku mnie, dzielić wspólne zainteresowania i odetchnąć od jej dziwaczności. Ona zaś po kolei łamała im serca, pozwalając się do siebie zbliżyć, by potem, z dnia na dzień stwierdzić kategorycznie, że to już koniec, bo jest znudzona i chce kogoś innego. Przerażliwie bała się zaangażowania, a kochankowie nużyli ją szybciej niż najnudniejsi bohaterowie oglądanych telenowel. „Do rozmowy przecież nie są mi potrzebni, jak mam ochotę, to sobie porozmawiam z tobą. Oni służą tylko do przyjemności” – wyjaśniała swoją obojętność wobec czekających w kolejce facetów. Jedynie niejaki Sokół zatrzymał ją przy sobie dłużej, ale tylko dlatego że podobała jej się świadomość, iż jest dziewczyną wokalisty nieźle zapowiadającego się zespołu. Jeździłyśmy na próby, dopingowałyśmy na konkursach młodych talentów, wspierając jego mocno problematyczne ego. Znajomość zakończyła się w trakcie imprezy. Na jednej z nich, nie zważając na obecność Dolores, Sokół przeleciał w toalecie jakąś dziewczynę. Jego piosenka, z którą wiązał wielkie nadzieje, zatytułowana *Ptak leci*, niestety nigdy nie stała się przebojem. Dlaczego zerwałyśmy kontakt z Dolores? Zwlekałam z telefonem, chciałam wykazać wobec niej obojętność, czekałam tak długo (urazona brakiem życzeń w dniu imienin, które od lat spędzałyśmy wspólnie), że kiedy zdecydowałam się przełamać milczenie i poszłam do budki telefonicznej (wówczas był to zresztą dzień jej imienin), okazało się, iż nie jestem w stanie wystukać z pamięci jej numeru. Zapomniałam go i już łatwo go nie odnajdę, bo od lat po prostu tkwił w mojej pamięci, nie wymagając notowania. Miało to miejsce jeszcze przed epoką telefonów komórkowych i e-maili.

Po tylu latach ciągle jej szukam, śni mi się albo w myślach wyobrażam sobie jej opinie na przeróżne tematy, brakuje mi jej wulgarności, lojalności („po co mam rozmawiać z mężczyzną, do rozmów mam ciebie”) i bezwarunkowego zrozumienia dla ludzkich słabości. Gdyby została piosenkarką, byłaby koszmarnym miszmaszem tandety z wdziękiem na miarę Dody, połączeniem Christiny Aguilery z Tori Amos albo dzieckiem Almodóvara o czerwonych ustach i burzy czarnych włosów spiętych w kok. Często myślę o jej zmarnowanych szansach, bo przecież nie

ma jej w mediach, nie widziałam jej w żadnym *reality show*, które zapewne uczyniłoby z niej gwiazdę. Och, Dolores, teraz byłabyś ze mnie dumna, z tego, jak załatwiam swoje sprawy, z mojej bezczelności wobec mężczyzn, mojego braku wstydu, kiedy pierwsza proponuję seks albo namawiam do dawania mi klapsów. Byłabyś pełna aprobaty, widząc, jak sięgam bez pardonu po to, o czym kiedyś tylko śniłam. Wychodzę co wieczór, spędzam czas w pięknych wnętrzach, gdzie ciepłe światło lamp, kwiaty i egzotyczne drewno mebli oddalają strach przed jutrem, przed umieraniem, przed nieistnieniem. Walczę w pracy o podwyżkę jak lwica, podkreślam swoje walory, wyceniam się po to tylko, aby mieć więcej możliwości, więcej kupować: nowe cienie do oczu *Chocolat intense*, nowa bielizna (chęć jej pokazania bardzo pobudza odwagę), ubrania, torebki, wiele, wiele torebek, dużo zamszu, dużo cudowności, aby tylko nie zaznać lodowatej samotności wieczoru. Wolę uniknąć lęku, choć wciąż mówię sobie, że trzeba się z nim zmierzyć. Kiedy jednak nadarza się okazja, szykuję się godzinami, opracowuję wizerunek (zawsze coś przychodzi do głowy, nowe pragnienie mnie w czerwonym płaszczu, inspiracja filmem bądź fotografią) i jestem kimś absolutnie nowym. Mocno podkreślone oczy, blade usta, efekt: wyzywająca niewinność i depresyjny szyk.

Andżelika rozmawia z bratem

Zobaczyłam brata po raz pierwszy od sześciu lat, gdy przyleciał na pogrzeb Matki z drugiego końca świata, gdzie obecnie służył w siłach pokojowych ONZ. Chciał być wspaniałomyślny, kupił moim dzieciom drogie zabawki i wciąż powtarzał, że musiało mi być bardzo ciężko, kiedy życie zmusiło mnie do samodzielnego stawienia czoła „temu wszystkiemu”, jak powiedział. Nigdy nie byliśmy zbyt blisko. Nie znosiłam jego uległosa wobec rodziców, tego konformizmu i poddania się bez słowa protestu planom qca. To mnie zawsze uznawano za czarną owcę, która nie chce słuchać rad, jakie mogłyby pomóc mi w życiu. On do znudzenia stawiany mi był za przykład, skończył z najlepszą lokatą szkołę oficerską i mozolnie piął się po szczeblach wojskowej kariery.

Rozmawialiśmy w konwencjonalny sposób o sprawach mieszkania po rodzicach, o tym żeby jak najszybciej je sprzedać. W wypowiedziane przez nas słowa doskonale wpisywał się przez nas oboje rozumiany kontekst wzajemnych wyrzutów, jakie od lat jako rodzeństwo w sobie pielęgnowaliśmy. On uważał, że rodzice nie pomagali mu wystarczająco, me opiekowali się jego dziećmi, rzadko go odwiedza i nie przywozili odpowiednich prezentów, a wszystko to przeze mnie, bo to ja zawsze stanowiłam dla nich wymówkę. „Wiesz, Andżelika jest tak mała – to był ich koronny argument. Ja z kolei miałam żal, że brat był faworyzowany, ciągle dawany mi za przykład, zawsze lepszy, bardziej posłuszny, mądrzejszy.

Czy wiedział, że nie dostałam wymarzonego magnetofonu, ponieważ rodzice musieli wysłać mu ostatnie pieniądze na ratę za samochód?

Teraz jednak zostaliśmy sami, bez tego oczywistego punktu odniesienia, który zawsze dominował w naszych relacjach – nie było już Ojca, nie było Matki, nie było na kogo narzekać ani do kogo mieć żal. Naszymi kontaktami już nikt nie sterował. Teoretycznie mieliśmy szansę ułożyć sobie wzajemne relacje od nowa.

Nie chcąc nawet nocować w mieszkaniu po rodzicach, Piotr wolał zatrzymać się w hotelu. Ze szczerością, jakiej do tej pory nie miałam okazji doświadczyć, wyznał mi nagle, że rozwodzi się z drugą żoną i że wreszcie zwiąże się ze swoją bratową ze strony pierwszej żony, którą kocha od lat.

– Miałem zawsze straszne problemy w relacjach damsko-męskich. Nigdy o tym nie wspominałem, ale myślę, że wszystkiemu winna była Matka. Może nie powinienem tego mówić w tych okolicznościach, ale ona wyrządziła mi ogromną krzywdę, i to właśnie wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebowałem. Ciebie jeszcze na świecie nie było... Nigdy o tym nie opowiadałem, ale teraz...

– Co się takiego stało? – dopytywałam się. Nie miałam pojęcia, kim była Matka, zanim stała się pogrążoną w depresji kurą domową, której los tak bardzo bałam się podzielić.

– Ojciec był w szkole oficerskiej, ja z kluczem na szyi, zawsze sam w domu, słoik gołąbków na parapecie do odgrzania, tylko czekałem na nią, patrzyłem przez okno, czy idzie, od razu po krokach poznając, jak bardzo jest pijana. Boże, jak ja się wstydziłem! – Piła w domu?

– W domu nie, ale ciągle w pracy mieli jakieś „balety”, imieniny, urodziny, delegacje. Non stop coś tam się działo. Ale ona zawsze lubiła wypić, cała ta rodzina z Kresów miała skłonności do nałogów... Jak me alkohol, to leki, nie mówiąc już o papierosach, które paliła od osiemnastego roku życia aż do końca... – Nigdy nie widziałam, żeby cokolwiek piła...

– No bo w końcu Ojciec szantażem wymógł to na niej. Przecież jeszcze jak ty byłaś malutka, jeszcze w wózku, przyjechałem kiedyś do domu na przepustkę, wchodzę do mieszkania, a ona śpi pijana, ty wrzeszczysz z mokrą pieluchą... – Nie miałam o tym pojęcia... Czy Tata o tym wiedział?

– Chyba musiał, sąsiadki widziały, co się dzieje, ciągle wieczorami przychodzili do nas nieznanymi mężczyznami. Nie potrafię zrozumieć do dziś, że się z nią nie rozwiódł.

– Wiesz, trzeba też pomyśleć o tym, w jakiej ona znalazła się sytuacji, była ciągle sama, gorzej nawet niż wdowa. Myślisz, że było jej łatwo?

– Żony marynarzy jakoś dają radę, a ona nie mogła?! Wiesz, jak na mnie to wszystko wpłynęło? Myślisz, że dlaczego zaraz po maturze wyjechałem tak daleko od domu? Uciekałem od tego wszystkiego. Wyobraź sobie młodego chłopca, piętnastoletniego, który akurat wkracza w okres dojrzewania, myśli o kobietach w ten specjalny sposób, a rzeczywistość serwuje mu obraz pijanej, upiornie roześmianej Matki w objęciach obcych facetów. Pamiętam, że kiedyś obudziłem się w nocy, bolał mnie brzuch czy głowa, popchnąłem drzwi do dużego pokoju i zobaczyłam ją, jak się obściskuje z jakimś mężczyzną. Ten jej upiorny śmiech... Czy wiesz, co ja poczułem? Przez coś takiego miłość była dla mnie zawsze kpina, obrzydliwością. A przez to, że seks stał się w moich oczach czymś odrażającym, nie akceptowałem siebie... – Wiesz, może nie pamiętasz

dokładnie, co zobaczyłeś? – Kiwam głową z niedowierzaniem. Wyobrażam sobie oburzenie i minę Matki, gdy jej powtarzam, co mówi o niej Piotr. Płakałaby, zaciągając się papierosem, łykała jedną tabletkę nasercową za drugą i usprawiedliwiała się: „Co on wymyśla, jakie gołąbki?! Może raz czy dwa były gołąbki, ale przecież nie ciągle! Owszem, w pracy odbywały się różne imprezy okolicznościowe, imieniny, zabawa była przednia. Jak miałam okazję, to sobie wypiałam, jak wszyscy. Przecież ciągle byłam sama, non stop sama, ni wdowa, ni żona. Ale żeby sprowadzać mężczyzn do domu?! Jemu naprawdę odbija, coś sobie takiego ubzdurał i jeszcze tobie powtarza!”.

Krystyna i Stefan na działce

Kiedy skończyłam studia, szybko zaczęłam szukać pracy, marząc o samodzielnym życiu i wyrwaniu się z domu. Rodzice powoli zaczęli rozumieć, że nie będę wiecznie wypełniać im życia sobą. Monologi Matki w trakcie smażenia kotletów przestawały mnie już nawet irytować. „Widzę, jak wraca z pracy, wiesz w szafie mundur, wyciąga z teczki plik gazet i całe wieczory, niby czytając, zamartwia się, tak bardzo boi się przejścia na emeryturę. Dzień w dzień zamyka mi drzwi przed nosem, żebym tam przypadkiem na weszła, i sięga po wódkę. Nalewa ponad setkę do szklanki i wypija sam, przed snem. Myśli, że nie widzę? Nie jestem głupia, słyszę tylko, jak co kilka dni przemyca do śmietnika puste butelki. Tak się boi tej beczynności, a najbardziej śmierci. W zeszłym tygodniu już czwarty oficer zmarł, młody mężczyzna, w wieku Ojca, zawał czy wylew, nie wiem. Ledwo dwa miesiące wcześniej odszedł z wojska. Coś takiego się z tymi oficerami dzieje, że jak już wojsko nie wypełnia im życia, dopada ich to najgorsze. Ojciec tego się boi. Więc myślałam i myślałam, i wymyśliłam – kupimy działkę! Będziemy mieć zajęcie. Tam zawsze trzeba coś zrobić, w dodatku więcej będziemy na świeżym powietrzu, między ludźmi. Prawda, że dobry pomysł? Już wypatrzyłam pracowniczą działeczkę pod lasem, trzydzieści kilometrów za miastem. Jedziemy w piątek obejrzeć, jak się dogadamy co do ceny, to kupimy. Altanę tylko trzeba będzie postawić...” – mówiła. Po pożegnaniu z wojskiem ich życie kręciło się wokół ziemi za miastem. Pod komendą Matki obsadzali grządki niezliczoną ilością warzyw i kwiatów, całkowicie wykorzystując niewielką powierzchnię, tak że nie pozostał nawet skrawek trawy, a opalać się można było najwyżej w cieniu jabłonki, przez której przycinanie nieustannie się kłócili. Matka pielila, kopała, sadziła i podlewała. Chwilami prostowała plecy, stawała w rozkroku z papierosem w kąciu ust i krytycznym wzrokiem wodziła po namiastce swoich włości. Jej ambicją było mieć najlepsze pomidory, najdorodniejsze marchewki i kwiaty bardziej okazałe od roślin reszty działkowców. Ojciec zwykle siedział na starej wersalce ustawionej w domku, gdzie pałac, słuchał radia, lub rozmawiał przez siatkę z sąsiadką, ochrzczonej przez Matkę jako Gruba Blondyna, albo jej mało rozgarniętym – jak go określał – mężem. „Ciągłe tylko idzie do tej Blondyny zagadywać, a wdzięczy się, jaki słodki! Do mnie to się odzywa jak do psa, a do niej miód! Nic nie robi, nic dosłownie. Wszystkie grządki sama

pieliałam, sama podlewałam, taka jestem zmęczona, że płakać mi się chce, dosyć mam tego wszystkiego!” – skarżyła się. „W takim razie po co ci ta działka, to powinien być wypoczynek, a nie harówka!” – prowokowałam ją. „Co by ludzie pomyśleli, gdyby działka była zaniedbana! Wczoraj mi pan Kazio z naprzeciwka powiedział, że najpiękniejsze mam kwiaty, a nikomu jak u mnie tak rzodkiewka nie rośnie!” – tłumaczyła zgodnie ze swoją pokrętną logiką.

Ona harowała, żeby mieć się czymś pochwalić, on jeździł tam spragniony kontaktu z ludźmi. Kiedy w końcu obarczeni siatami pełnymi warzyw i kwiatów ładowali się do samochodu, nie obchodziło się bez kłótni o za krótko przycięte gałęzie albo niedostatecznie podlane grządki. Później te torby pomidorów, włoszczyzny i bobu oddawali, komu popadnie, aby tylko nic się nie zmarnowało, bo to przecież tyle pracy i pieniędzy włożone w tę działkę! Zwozili do mnie bez opamiętania tony warzyw, chociaż pracując po dwanaście godzin na dobę, po powrocie do domu nie miałam ani czasu, ani ochoty na gotowanie kolacyjek, i z wyrzutami sumienia permanentnie wyrzucałam do śmieci kolejne siatki gnijących pomidorków albo ogóreczków.

Nawet nie wiedzieli, że doświadczyli pełni możliwości do osiągnięcia szczęścia...

Patrzyłam na nich, słuchałam obopólnych narzekania. Dręczyli się nawzajem, nierozzerwalnie złączeni niepojętym nakazem wspólnej męki. Nie mogłam zrozumieć, co w sobie widzieli, biorąc ślub przed ukończeniem dwudziestego roku życia. W latach, kiedy się poznali, bieda była wszechobecna, terror stalinowski osiągał apogeum, a ludzie na tyle ubodzy, iż nie wymagali od życia tak dużo, jak chciałoby się wycisnąć z niego w dzisiejszych czasach. Myślało się o samodzielności, pracy, uniknięciu biedy, talonie na radio, własnym mieszkaniu, które stanowiło szczyt marzeń. Czy Ojciec nie prezentował się w tamtej rzeczywistości jako wspaniały kandydat na męża? Wysoki, przystojny, wcielony do czynnej służby w stopniu podporucznika, uczący się w technikum chemicznym, czyli przyszłościowy. Wyrwany z rodzinnych stron, osamotniony i pozbawiony wsparcia, ograniczył swój los do świata wojska i kariery, jaka się przed nim rysowała.

Jako typowa trzpiotka, Matka zapewne myślała o tym, aby w ramach skromnych środków (mieszkanie z rodzicami, początek pracy jako pracownik biurowy, wyjazdy do liceum zawodowego co weekend) wystroić się na tańce i w towarzystwie równie wesołych koleżanek kolekcjonować jak najwięcej adoratorów, trochę się z nich ponaśmiewać, potańczyć, potem wrócić do domu i nie móc spać z podekscytowania od rozmyślań, kto na nią zwrócił uwagę, co powiedział, jak patrzył. Lubiała umawiać kilku absztyfikantów na różnych przystankach

trolejbusowych, aby potem jadąc, oglądać ich, porównać i wysiąść tam, gdzie stoi ten najatrakcyjniejszy.

Którejś z sobót poprosił ją do tańca młody porucznik. Jego kolega wydał się jej przystojniejszy, ale niewiele mówił i nie zwracał na nią uwagi. Po kilku potańcówkach, które spędzili razem, zaczęła poważnie rozważać zalety i potencjał nowo poznanego chłopca. Uznała, że nie ma na co czekać, nadarza się świetna okazja, aby wreszcie wyzwolić się z rodzinnego domu, gdzie ojciec czasami przebąkiwał, że jest już dostatecznie dorosła, aby nie musiał jej utrzymywać. Myśl o zamążpójściu i samodzielności wywoływała podekscytowanie. Wreszcie uciekłyby od ponurej i napiętej atmosfery. A ta potwornie popsła się dwa miesiące wcześniej, gdy doszło do straszliwej awantury między ojcem a bratem. Chłopak oświadczył, że trener z lokalnego klubu bokserskiego widzi w nim talent i będzie go trenował. Ojciec grzmiał: nie pozwoli, aby ktoś jego syna tłukł po mordzie, w jego rodzinie nie przystoi taki prymitywny sport, trzeba się zająć czymś pożytecznym. Kiedy brat zamknął się w pokoju i nie wychodził z niego przez dwadzieścia godzin, ojciec jednym ciosem rozwalil drzwi. Wziął syna za chabety i ściągnął do kuchni, posadził przy stole, wymierzył siarczyste policzki i kazał jeść. Nic nie pomogły interwencje ze strony trenera, wyjaśnienie, że chłopak ma talent, perspektywy. Nic nie dało zacięcie brata, jego błagania, szantaż i groźby, że się zabije. Ojciec pozostał niewzruszony. Złamał syna, a ten nigdy w życiu niczego już nie osiągnął.

Ojciec wydawał się łagodny, dość onieśmielony kobiecością, chociaż kiedy trochę wypił, lubił wieść prym w dyskusji przy stole. W tańcu z większą pewnością siebie podtrzymywał talię Matki, bez skrępowania tępo spoglądając w całkiem spory dekolt perkalowej sukni, którą sama uszyła. Tańczył w miarę dobrze, ładnie się prezentował, zwłaszcza w mundurze. Któregoś dnia, kiedy odprowadzał ją do domu z potańcówki, niby od niechcenia zapytała:

– A może byśmy się pobrali? Dostałbyś przydział mieszkania, nie musiałbyś mieszkać w zatłoczonym schronisku. – Bez wahania odparł, że dobrze, tylko że ślub musi być cywilny, i że nie ma teraz pieniędzy na obrączki, może ojciec mu pożyczy. Krystyna pocałowała jego niepewne usta na dobranoc i podekscytowana wbiegła do domu, gdzie od progu, znów niby od niechcenia powiedziała, że chcą się ze Stefanem pobrać. – No dobrze, trzeba pomyśleć o sukni, może Andrzejkowa uszyje, tylko materiał trzeba dostać – odparła matka.

– Jak jego familia, tego Stefana? Mikołajek? Dziwna familia, ze szlachtą to oni wiele nie mają wspólnego... – Dziadek wzruszył ramionami, dodając zaraz, że czeka, aż narzeczony przyjdzie do niego z wódką prosić o rękę, jak należy. Tak to sobie wyobrażam...

Na fotografii z ich ślubu wyglądali pięknie. Kilkumetrowy welon oplatał łagodną wówczas jeszcze twarz Matki, długi tren sukni okalał jej postać, a Ojciec był młody i szczupły. Podobno rzeczywiście nie mieli pieniędzy na obrączki i dziadek musiał sprzedać krowę, aby je kupić. Wesela w ogóle nie było, jedynie poczęstunek w domu panińskim Matki. Mieli za to przyszłość – przydział kawalerki!

Andżelika ogląda wystawę o mordach na Wołyniu

W przesiąkniętej stęchlizną sali ustawiono stelaże z fotografiami o dużych formatach. Kręciło się sporo zwiedzających. Przeważającą część stanowili ludzie starzy, którzy najpewniej sami byli świadkami tamtych wydarzeń. Dokładnie przeczytałam umieszczoną tuż przy wejściu informację o historii sprzed lat, o tysiącach wymordowanych i spalonych wsiach. Ze zdjęć spoglądały kobiety o twarzach wyrażających zakłopotanie, jakby niecodziennność pozowania i konieczność przyodziania odświętnej, choć nadal bardzo skromnej sukienki peszyła je i przeczyła ich prawdziwemu, wypełnionemu ciężką pracą życiu. Chałupy o bielonych ścianach i dachach krytych strzechą, sylwetki stawianych przez Polaków kościołów, dzieci w wiejskiej szkole – ile z nich przeżyło masakrę?

I wreszcie słynna fotografia przedstawiająca trzy ciała malutkich dzieci, z których jedno ma rozpruty widłami brzusek i wnętrzności wydobyte na zewnątrz ciała. Pomijając trwogę, jaką poczułam, pomyślałam o Matce. Była za mała, żeby widzieć to na własne oczy, to bestialstwo, tę apokalipsę z ogniem w tle, stosy ciał i całe to piekło. Ale musiała słyszeć o zbrodniach, a nieustannie przytaczane przez lata makabryczne opowieści wryły się w jej pamięć. Czasami zobaczyć jest bezpieczniej – wyobraźnia podsuwa niezliczone warianty okropieństw na skalę wykraczającą nawet poza rzeczywistość. Te ciągle obecne w ich domu historie i wspomnienia zaszczyły w niej lęk i przekonanie o tym, że świat i ludzie są źli, wszystko co najgorsze jest możliwe, a kochać to wystawiać się na jeszcze większe, skrajne cierpienie. Zapewne ilekroć patrzyła na swoje dzieci i czuła wielką tkliwość, chciała je kochać całą sobą, pławić się w szczęściu bycia z nimi. Przypominała sobie te pomordowane siekierami, zakopywane żywcem niemowlęta, z główkami oderwanymi od ciała jak szypułka od owocu truskawki, dzieci spalone, wrzucane do studni, przebite widłami, ofiary bestialskich mordów. I sama myśl o potencjalnym bólu, jaki mogłaby odczuć, gdyby jej potomstwo zostało zabrane, była nie do zniesienia.

Spoglądałam na ten świat prostych ludzi, wypełniony ciężką pracą, wiejskimi czynnościami i zadaniami, jakie stawiały codzienność i cykl pór roku, czując, że zerka na mnie mężczyzna w mundurze oficera.

– Widzę, że jest pani wzruszona. Czy pani rodzina pochodzi z Wołynia? – zagadnął w pewnej chwili, gdy staliśmy naprzeciw fotografii przedstawiającej wiejską szkołę. Był wysoki, dobiegał czterdziestki. Uśmiechał się szczerze i bezpiecznie, patrzył w skupieniu na moją twarz. Jego spojrzenie nie miało ładunku erotycznego. Wydał mi się przystojny, ciekawy, godny zaufania, zapewne przez tak znajomy mundur (niemal taki sam wisiał w mojej szafie jako spadek po Ojcu). Jakież to niedorzecznie przewrotne. Kiedy Ojciec żył, gardziłam wojskiem, a mundur irytował mnie, odpychał, uosabiając enklawę mężczyzn, ich sekretny świat koszar i poligonów, do którego Matka nie miała żadnych praw. Teraz poczułam nie tyle wzruszenie, ale pewną tkliwość, połączoną z pragnieniem wtulenia twarzy w zielone płótno.

Wychodząc z sali wystawowej, poczułam nagły impuls i przyływ energii. „Kupię tę torebkę, którą od tygodni oglądam na wystawie” – postanowiłam. Musiałam czym prędzej sprawić sobie wielką przyjemność. Zatrzymałam się na chodniku, aby założyć słoneczne okulary, gdy zauważyłam oficera, który w tym samym czasie opuścił budynek. Uśmiechnął się do mnie, po czym ruszył w moim kierunku i zapytał, czy nie miałabym ochoty wypić czegoś orzeźwiającego. Zgodziłam się spontanicznie. Takie to było proste. Powiedziałam mu o swoim głupim postanowieniu kupna torebki i chęci wypicia szampana. – To jest w pewien sposób zrozumiała reakcja na świadectwo niepojętego cierpienia, jakie przed chwilą zobaczyliśmy. Zofia Nałkowska w swoim dzienniku pisała o pragnieniu nowych butów, które zaprzętało jej umysł po wizytacjach w obozach koncentracyjnych – powiedział.

Nic o nim wiedziałam poza tym, że jest podpułkownikiem wojsk lądowych (co podpowiedziały mi oznaczenia na pagonach), co tutaj robi, gdzie mieszka i odbywa służbę. W sumie nie było to istotne.

– Nazywam się Jakub Gardener – przedstawił się, ja odwzajemniłam się, podając swoje imię i nazwisko. Poszliśmy do pobliskiej restauracji, usiedliśmy pod parasolami przy wystawionych na trotuar stolikach. On bez konsultacji zamówił szampana, a kiedy przyniesiono kubelek wypełniony lodem i butelkę moët chandon, zapytał, kiedy ostatnio byłam szczęśliwa. Banalność tego pytania nie miała znaczenia, gdyż jego treść wpisywała się w odrealniony obraz wizyty na wystawie i spotkania z obcym mężczyzną w uniformie. Chciałam poczuć jego zapach, mieszaninę woni munduru, skóry, z jakiej zrobiony był pas, i wody kolońskiej o drzewnym, nieco orientalnym aromacie.

– Siedziałam w weekend na balkonie, wśród donic z lawendą, kwitającymi kwiatami, ziołami, przed oczami miałam ścianę lekko poruszanych wiatrem drzew. Dzieci biegały po podwórku, mąż spał. Różowe wino wprowadziło mnie w lekki rausz. Czytałam opowiadanie *Kochankowie* z *Marony* Iwaszkiewicza i całkowicie pochłonął mnie świat narracji. Czytałam z zapamiętaniem, bez przerwy, wystawiając nogi do słońca, podobając się sobie (wiedziałam, że sąsiad stojący na balkonie po prawej stronie patrzy na moje ciało odziane w kusą, zieloną sukienkę). Podniosłam się dopiero po doczytaniu do końca. I czułam się dziwnie, bo opowiadanie było przygnębiające. Najważniejsze jednak, że nie zmarnowałam czasu na telewizję, ale dzięki lekturze odkryłam coś ważnego. Piękne było to wyzbycie się złudzeń co do samotności – opisałam mu swoje ostatnio odczuwane szczęście.

Podpułkownik Gardener patrzył na mnie z łagodnością i niepojętym przyzwoleniem na wszystko. Dolewał mi szampana, samemu nie pijąc, bo nie wypadało w mundurze – jak stwierdził. Opowiadał o zagranicznych misjach w Afganistanie i Iraku, w których brał udział. Rozmawialiśmy przez chwilę o moim Ojcu. Jego nazwisko kojarzył z czasów służby w sztabie generalnym. Przemyślałam oczy, opętana potrzebą wtulenia się w mundur i przypomnienia sobie zapachu zielonego materiału, tej mieszanki męskiej wody toaletowej, skóry i metalu. Być może przeczuwałam tę cudowność kontaktu fizycznego, słodycz miękkich, idealnych pocałunków, przyjemność i czułość każdego aspektu dotykających się ciał. Nigdy wcześniej nie było tak spontanicznego „tu i teraz”, gdy potrzeba wyprzedzała myśl i niekontrolowane czyny zaczynały po prostu mieć miejsce. Przysunęłam się i powiedziałam półprzytomna: „Pocałuj mnie”, gdy jego usta w mgnieniu oka już obejmowały moje wargi. Ten pierwszy dotyk okazał się wzruszający i wspaniały. Wiedziałam, że nie odmówię sobie tego, co mogłabym dostać. Pocałunek był jak liźnięcie wierzchu ciastka o niesamowitym smaku, które stało przede mną podane na talerzu, czekając tylko na wbicie w nie widelczyka. Mundur działał niczym afrodyzjak, jednocześnie fałszywie zapewniając bezpieczeństwo kontaktu z nieznanym. Nie bałam się jego inicjatywy, sama chciałam dotknąć mocnych ud w spodniach od uniformu. Było inaczej, niż wtedy gdy zabiegał o moje zainteresowanie architekt, który przygotowywał projekt przebudowy mieszkania. Patrzył wyzywająco, jednoznacznie taksował mnie wzrokiem, robił aluzje do urody i chociaż był bardzo przystojny, nie pozwoliłabym na jakąkolwiek intymność między nami. Bałam się.

Teraz czułam narastające podniecenie i przyjemne mrowienie w mięśniach pochwy. Pierwszy raz byłam gotowa na kontakt z nieznanym w czasie rzeczywistym, bez bagażu

pragnień i obciążenia dążeniem do realizacji wymyślonych pragnień. Dotąd jeśli nawet jakiś mężczyzna stanowił podmiot mojej fantazji, kiedy przebywałam z nim na jawie, wyobrażenie o nim wygrywało z rzeczywistością; sprawiało, że człowiek z krwi i kości, będący obok, wzbudzał we mnie nieufność i wydawał się obcy.

Spontaniczność całego zdarzenia sprawiła, że nie chciałam się wycofać. Chwiejnym krokiem ruszyłam z podpułkownikiem Gardenerem ulicą Mazowiecką do hotelu, w którym – jak się okazało – stacjonował. Popołudnie było parne i nieruchome. Miałam jeszcze trzy godziny, aby odebrać dziecko z przedszkola. Wiedziałam, po co tam idę, i miałam świadomość, że tego nie powtórzę. Wspomnienie zdarzenia uzyska w pamięci status jednej z licznych fantazji na pograniczu jawy i snu, a jednak będę wiedziała, zaraz będę wiedziała, jak to jest...

Już po konsumpcji, wracając do domu taksówką, mówiłam sobie, że wreszcie zaznałam prawdziwej namiętności, pierwszy i zapewne jedyny raz. Jeśli jednak życie koncentruje się wokół tego, to jest to bardzo smutne. I co w tym tak wielkiego, po prostu przyjemny skurcz, czasem dłuższy, czasem krótszy, szybko popada w zapomnienie, jak każde doznanie sensualne, smak pysznej potrawy czy przyjemność masażu. W trakcie seksu przestałam istnieć, to było jak oderwanie od własnej udreki, od ciężaru „ja”. Wszystko przebiegło tak, jak tego pragnęłam – zamiast wyobrażeń pomagających się podniecić oraz myśli o tym, aby orgazm wreszcie nadszedł – natłok emocji i odczuć tak intensywny, że obcowanie ciał odbierało świadomość. Przeklętą więź z upiornym „ja” zrywała gwałtowność doznań zmysłowych, które rozmywały na moment myśli.

Wiatr dostający się do wnętrza taksówki przez uchylone okno owiewał mi twarz. Chciałam spotkać się jak najszybciej z dziećmi, przygotować im uwielbiane przez nie naleśniki, porozmawiać o tym, jak minął im dzień, i przytulić. Nie miałam poczucia winy ani świadomości, że wyrządziłam komuś krzywdę. To, co się stało, nie miało znaczenia. Seks nigdy nie dawał mi poczucia szczęścia, podobnie jak jedzenie – przy obu tych czynnościach przyjemność, choć intensywna, tak szybko przemija. Wszystko, co dzieje się wcześniej, przed konsumpcją, jest ciekawsze i bardziej absorbujące, bo szczęście można odczuć, tylko o ile wiąże się z nadzieją na coś dobrego w przyszłości, co jest jeszcze przed nami. W momencie gdy przyjemność ciała ustaje, zaspokojenie potrzeb niewiele znaczy, bo nie ma już nic w zanadrzu. Podobnie jak chwila przed nadejściem określonej pory nocy, kiedy trzeba kłaść się spać – odwlekam ją możliwie jak najdłużej, nie lubię snu, bo nie wiąże się z żadnym odczuciem przyjemności.

Spoglądając na zatłoczone ulice, czułam pewnego rodzaju satysfakcję, zaskoczona sobą. Znaczenie miał jedynie fakt spontanicznego działania – jednak coś się wydarzyło. Nieważne, czy się temu poddałam, czy sama zainicjowałam ten przelotny kontakt. Rzecz w tym, że nie byłabym do tego zdolna, gdyby mój umysł miał choć chwilę na zastanowienie. Jedynie gdy działam spontanicznie, pokonuję lęk.

Andżelika rezygnuje z terapii

Podobałam się sobie, gdy idąc na spotkanie z terapeutką na ulicę Lipską, stukałam kokieteryjnie szpilkami o bruk uroczych uliczek na Saskiej Kępie. Sesje terapeutyczne pozytywnie wpływały na moją samoocenę do czasu, gdy w trakcie którejś z wizyt dowiedziałam się, że im bardziej cofałam się czasie w swych opowieściach, tym jaśniejsze dla mojego lekarza staje się to, iż brak poczucia szczęścia w dzieciństwie (emocjonalna pustka i potrzeba bycia kochaną) powoduje, że nie umiem załatać dziur z przeszłości i pozwolić na szczęście teraz. Wszystkiemu winna okazuje się toksyczna Matka. Była skoncentrowaną wyłącznie na sobie, emocjonalną dyktatorką. Jej chora osobowość zniszczyła życie qcu i całej rodzinie. qricc zaś przyjął postawę opiekuna i pogodzony ze swoją życiową rolą, piastował ją do końca, nie mając odwagi zmierzyć się z własnym życiem. Ta banalna diagnoza sprawiła, że psychoterapeutka straciła w moich oczach wiarygodność.

Czułam pewien niesmak i dyskomfort. Wiedziałam, że jej ocena nie do końca jest prawdą o mojej Matce. Sądzę, że należała do grupy tych kobiet, które dla zdrowia psychicznego powinny pracować, obracać się wśród ludzi. Codzienna praca, choć męcząca i trudna do pogodzenia z macierzyństwem, wymaga aktywności, zadbania o wygląd, wymusza kontakt z innymi i poskromienie egotycznych ciągot. Matka popełniła największy błąd, rezygnując z aktywności zawodowej.

Psycholog zapytała: „Czy przypadkiem pani Mama nie była wychowywana jak królowna, dopóki nagle któregoś dnia przestano się nią interesować?” Tym można by wytłumaczyć jej absolutne skupienie na sobie, starania zwrócenia na siebie uwagi potrzebę bycia żalowaną, jej hipochondrię, lekomanię i skłonność do uzależnień. Odpowiedziałam, że nic mi o tym nie wiadomo, nie sądzę. Zgodnie z tym, co opowiadała Matka, zawsze była pozostawiona sama sobie, właściwie osamotniona, jak to dziecko na wsi kiedy gospodarka wymaga bezustannego wysiłku i uwagi.

Minął jakiś czas, zanim pojęłam, iż słowa psychoterapeuta wyjawiają też prawdę o mnie. Teraz myślę, że to wręcz nie do wiary, iż ponad dwadzieścia lat me widziałam tej oczywistej zależności. Od wczesnego wieku szkolnego czułam w stosunku do Ojca może nie wstręt, ale

rozczarowanie – jego życiem, poglądami, autorytaryzmem. Gardziłam wszystkim, co wiązało się z wojskiem, które było całym jego życiem. Odpychał mnie sposób, w jaki jadł, denerwowały mnie te same od lat anegdoty opowiadane w sposób, jakby był Homerem, którego słowa spija tłum maluczkich słuchaczy. Nie znosiłam go za to, że kpił z moich zainteresowań i miał do mnie nieustanne uwagi. Ale przecież jako mała dziewczynka byłam jego oczkiem w głowie, ukochaną laleczką, jego największym skarbem. Ubóstwiał mnie, a ja jego. Podobno kiedy wyjeżdżał na poligon (a wyjeżdżał często), trzymając go za nogę, wyłam, me chcąc wypuścić go z domu. Spałam z nim, wtulona w jego bezpieczną pachę, wielbiłam dużo bardziej mz Matkę. Teraz wiem, że podobne relacje są czymś częstym – patrzę na Andrzeja i jego kontakt z Zosią i rozumiem to uwielbienie. Ja też byłam słodką, długowłosą ślicznotką, śpiewającą Tacie piosenki wyprawiającą słodkie głupoty, piękną i przebojową! Rodzice pysznili się mną niczym małpką na pokazie zwierząt. Kroczyłam wystrojona ulicami małego miasteczka, gdzie Ojciec był kluczową personą lokalnej socjety, dowódcą jednostki, a Matka wielką kierowniczką olbrzymich zakładów o strategicznym znaczeniu dla gospodarki komunistycznej. To były ich złote czasy. Wszystko skończyło się w siedemdziesiątym dziewiątym, kiedy Tata otrzymał awans na stanowisko w sztabie generalnym w stolicy z perspektywą nominacji na generała i wielkiej kariery. Przenosiny z prowincjonalnego miasta, gdzie wszyscy wszystkich znali i gdzie wszędzie dało dotrzeć się piechotą, do wielkiej metropolii, pełnej obojętnych wobec siebie ludzi, skutecznie zniszczyły moją pewność siebie i przebojowość. Stałam się zalękniona i nieśmiała, co pogłębiły jeszcze kilkakrotne zmiany przedszkola, w których nie byłam w stanie nawiązać kontaktu z rówieśnikami. Na skutek wszystkich tych zmian cała moja atrakcyjność zniknęła, a dziecięca uroda zgasła. W wieku sześciu lat roztyłam się, obcięto mi długie włosy, a we fryzurze „na pazia” nie było mi do twarzy. Wypadające zęby i niepewność podkreśliły tylko moją marność. Ojciec nieustannie wyjeżdżał, zostawiając Matkę z jej pogłębiającą się alienacją i osamotnieniem. Pograżona w depresji, nie dbała już ani o swój, ani o mój wygląd, kupowała to, co potrzebne i użyteczne, nie odczuwając już dawnej potrzeby wyeksponowania mojej urody.

Rozmyślając o swoim dzieciństwie, przypominałam też sobie fragmenty wspomnień Matki, tej bestialsko zakończzonej idylli na Kresach, gdy – jak wspominała – dziadek więcej miał dla niej czułości niż babka, bawił się z nią, objaśniał świat przyrody, życie pszczół i kwiatów. Może podobnie jak ja później, dorastała w miłości i poczuciu bycia pępkiem świata, aż przyszedł

dzień, kiedy jej ojciec został emocjonalnie pogrążony w obojętności i z obawy przed bólem utraty nie pozwolił sobie na dalsze pławienie się w czułości do dziecka.

Patrząc, jak Andrzej przytula naszą córkę, mówię mu, aby pamiętał, że nawet kiedy straci dla niej tkliwość, kiedy swoją infantylnością i naturalnością nie będzie w nim wzbudzać takiego wzruszenia, niech nie odtrąca jej gwałtownie, nie zamienia pochwał na krytykę, a czułości na nakazy. Widzę jednak, że choć często brakuje mu cierpliwości i zmęczony pracą pokrzykuje na dzieci, umie mądrze je kochać i za to ja Kocham go najbardziej. Przez kilka dni zgodnie z zaleceniami terapeutki próbowałam wyzwolić w sobie tłumioną złość na rodziców, na to, że tak późno poszli do lekarza, za późno, by walczyć z chorobą, i w efekcie zostawili mnie samą, z bagażem traumatycznych doświadczeń i wspomnień oglądania ich smutnych śmierci. Jednak wewnętrzny sprzeciw i poczucie dyskomfortu, jakie wiązały się z opiniami psycholożki, sprawiły, że po prostu nie pojawiłam się na kolejnej wizycie i gwałtownie przerwałam leczenie. Wydawało mi się, że Matka patrzy na mnie z góry, słucha formułowanych na jej temat ostrych opinii i gotuje się ze wściekłości. Może nadal, nawet po śmierci ma nade mną władzę i stosuje emocjonalny szantaż? A może prawda jest zupełnie inna... Z dwóch dróg – złości i zrozumienia – wybieram tę drugą.

Długo patrzyłam na swoje odbicie w lustrze i widziałam same analogie. To przedziwne, trzymam w dłoniach kupiony latem w Paryżu numer „Voque’a” z Jennifer Connelly na okładce, z kaskiem na głowie, zupełnie takim, jakie nosiły modelki, których fotografie zamieszczone w sfatygowanym numerze francuskiego magazynu z sześćdziesiątego drugiego czy sześćdziesiątego trzeciego roku oglądałam bez końca, nie mogąc się nadziwić modzie tak obrzydliwej i tak sztucznej. Mama znalazła to czasopismo w pokoju zajmowanym w warszawskim hotelu. Tak musiał powstać kostium, całkiem podobny do tego, który mam dzisiaj na sobie. Matka dobierała do niego buty na potężnym słupku, wykonane z lakierowanej skóry w czarno-brazowe cętki – uosobienie obrzydliwości, ohydne i śmieszne do tego stopnia że stanowiły wielokrotnie wykorzystywany element garderoby na bale przebierańców. Dzisiaj takie buty byłyby uznane za vintage i sexy. Nie doceniałam jej.

W jednym z kobiecych pism przeczytałam wywiad ze znaną francuską aktorką, która wspominała swój dłuższy pobyt w naszym kraju w połowie lat siedemdziesiątych. Początkowo miejsce, w jakim się znalazła – niczym enklawa inności na mapie Europy – wydało jej się przerażające w swej szarości i zadziwiane osobą przybyłą z bogatego Zachodu mekomecyjności.

Po kilku dniach ta bezbarwność i brak konsumpcjonizmu zaczęły jej się podobać – prawie nigdzie nie było reklam, sklepy świeciły pustkami, człowieka nie atakowały propozycje zakupu, pokusy ani pragnienia. Nie było brukowców ani gazet opisujących życie gwiazd. W dwóch kanałach telewizji nadawano radzieckie filmy albo dyskutowano, w radiu rozbrzmiewała muzyka poważna albo jazz, piosenki z list przebojów wydawały się tu nie docierać. Ponieważ nikt niemal nie zaczepiał jej na ulicy (nie to, że nie była tutaj znana, po prostu ludzie nie nawykli wypatrywać gwiazd w swoim otoczeniu i nawet jeśli widzieli kogoś ładnego podobnego do sławnej osoby, do głowy im nie przychodziło, że to rzeczywiście ona we własnej osobie), snuła się godzinami po centrum miasta, wracając o zmierzchu do hotelu, w którym godzinami czytała Stendhala. Przez tyle lat nigdy nie mogła przebrnąć dalej niż przez pierwsze trzydzieści stron *Pustelni parmeńskiej*, a teraz wreszcie zatopiła się w lekturę, ukoiliła swoje ego, swoje potrzeby, rosnące jak grzyby po deszczu pragnienia i pomysły odnoszące się do własnego wyglądu, czekających ją imprez i propozycji filmowych. Czy w dzisiejszych czasach można znaleźć podobne miejsce, gdzie człowiek uwalnia się od konsumpcjonizmu, a w na chybił trafił znalezionej radiowej stacji słyszy Chopina albo dyskusję o Bułhakowie? Namiastką takiej anomalii były dni pomiędzy śmiercią a pogrzebem Papieża, gdy zaprzestano nadawania reklam, a w restauracjach puszczano Bacha jako akompaniament do kotleta.

Przez moment wyobrażałam sobie znaną aktorkę, która jako młoda kobieta przemierza Warszawę – w tamtych latach ponurą, prowincjonalną i nader spokojną dla osoby przybywającej z Paryża, i pomyślałam, że to może właśnie ta słynna i uznana dzisiaj gwiazda była lokatorką pokoju hotelu Gromada, w którym zatrzymali się rodzice, gdy w siedemdziesiątym piątym przybyli do stolicy, aby wziąć udział w uroczystym spotkaniu wyróżnionych oficerów z generałem Jaruzelskim. To w tym pokoju Matka znalazła w szafce przy łóżku znaną mi z opowieści kosmetyczkę pełną skarbów oraz francuski magazyn z modą, który przez kolejne lata stanowił niewyczerpane źródło modowych inspiracji.

Chociaż pokusa jest ogromna, a tęsknota za małym ciałkiem niemowlęcia niespodziewanie żywa, wiem, że nie mogę pozwolić sobie na kolejne dziecko. Jego wychowanie wymagałoby zrezygnowania z pracy. Nie powinnam się łudzić, że zajmując się dziećmi w domku z ogródkiem, uniknęłabym depresji. Gdybym pozbawiła się własnych dochodów i zamknęła w domu, stałabym się dokładnie taka jak Matka.

Krystyna ogląda westerny

Leżąc pod kołdrą na rozścielonej wersalce, przypalała papierosa i tępych wzrokiem wpatrywała się w telewizor. Zwykle szukała na filmowych kanałach jakiegoś westernu. Kowboje przemierzali się na koniach na tle górzystego krajobrazu. Intryga wcale jej nie zajmowała. Myśli krążyły swobodnie, powracając do różnych etapów życia.

To były czasy, kiedy wszyscy, naprawdę wszyscy palili bez skrępowania sporty, i choć wiadomo, że nie było to zdrowe, nikt nie czuł, że z każdym zaciągnięciem małym krokiem przybliżyła się do śmierci. Panowała moda na opalanie, smażenie się w słońcu „na murzyna”, a udany urlop mierzony był stopniem spalania skóry. Teraz wspominała z nostalgią dawną siebie, ubraną w sukienkę odważnie odsłaniającą kolana (o ile nie spotkał jej akurat nawrót bardzo uciążliwej łuszczycy, która popsowała jej niejedną sezon, zmuszając do zakrywania strojem łokci i kolan, aż proszących się o to, by je pokazać), pewną siebie, wciąż adorowaną i komplementowaną przez mężczyzn. Gdy dni były długie, urywała się trochę z pracy, wpadała do domu po przygotowaną wcześniej wałówkę (naszykowane kotlety i pieczywo), brała dzieciaki i jechali parę przystanków autobusem nad jezioro, aby choć trochę poleżeć nad wodą, pokazać się na moment, zjeść ze smakiem ogromną ilość jedzenia. Och, jak oni tam na nią patrzyli! Była taka ładna, i ciągle sama... Ten Stefan... „Mój Stefan – myślała. Teraz przyznawała nawet przed dziećmi, że niedostatecznie go doceniała. Zawsze dbał o dom, o dzieci, nie zostawił jej, jeździł po aptekach, sklepach, płacił rachunki, nawet nie bardzo wiedziała, ile i za co. A jej ciągle było źle, zawsze coś nie tak. Denerwował ją, że nie był jak inni zaradny, niby-oficer, a nie umiał odpowiednio zarobić. Inni mieli domy, boazerie, kafelki, oni nigdy nic. Nie umiał nawet podstawowych rzeczy naprawić, miał do tego dwie lewe ręce, a ona patrzyła na niego, porównując go do swojego Ojca, który potrafił wszystko koło domu zrobić sam i był obrotny. Nigdy nie byli głodni, zawsze coś wymyślił, tu kupił, tam sprzedał, zawsze mieli co do garnka włożyć. Myśli przerwał sygnał telefonu.

– Jak tam? – pytała córka. Jej głos wydał się nierealny, jakby z innego świata.

– Ach... – Krystyna westchnęła – boli mnie znowu w boku, nie wiadomo, co to jest. Nie ma się co przejmować, i tak długo już wam nie będę zawadzać – ciągnęła. Wypytała o dzieci,

umówiły się, że po południu zabiorą ją do siebie. – Mam lizaczki w kolorach tęczy, kupiłam u pani Wandzi na dole. Chciałabym dać, żeby wiedziały, że babcia je kocha. Aha, zadzwoń koniecznie do Piotrka, obrażony był, że nie pamiętałaś o imieninach Małgoški. W środę były, mówiłam ci.

– Ona w moje też nie zadzwoniła! – Andżelika już się wściekła. – Ale powinnaś zatelefonować. Piotruś mówi, że chyba przytyłaś ostatnio, pytał, czy w ciąży nie jesteś, ale mówiłam, że z tego, co wiem, to więcej dzieci nie planujecie...

– Nie jestem w ciąży! Niech się swoją żoną zainteresuje, gruba jest jak bela!

– Ja tam się nie wtrącam, wiesz, że ja nigdy między młodych nie wchodzę. Jaka ona jest, to nie moja sprawa, jak mu się taka podoba... Chociaż między bogiem a prawdą, mógł sobie dużo lepszą znaleźć, nie jakąś tam wdowę po innym oficerze.

Kiedy w końcu skończyła rozmowę i zapaliła papierosa, zebrała się, żeby wstawić skrzydełka do piekarnika. Stefan nie lubił drobiu, jadł prawie wyłącznie wieprzowinę i na śniadanie, i na obiad, i na kolację. Jak się okazało, nie było to dobre dla jego układu pokarmowego...

Pod koniec życia źle ją traktował, był wybuchowy Kiedy chciała mu pomóc, krzyczał, wydzierał się na nią, zwracał się jak do psa. Ale była przy rum do końca, prosiła lekarzy, załatwiała amerykańskie zastrzyki, nosiła łapówki, potem zmieniała pieluchy, myła, odgrywała swoją ostatnią wielką rolę. Nie, nie liczyła na „dziękuję”, to był jej obowiązek, jako zony. A gdy go wieźli na ostatnią operację, nie patrząc na nią, powiedział: „Nie martw się, jak umrę i tak niedługo się spotkamy”. A teraz ciągnie ją za sobą, codziennie coraz bardziej. Wszyscy to widzą. Ledwo wlecze nogi, powykręcane od miazdżycy, idzie ciągle w ostentacyjnej wdowiej czerni, kaszel nie daje jej wypowiedzieć słowa. „Pani Krysiu, panią ktoś musi się zaopiekować” – mówią jej ekspedientki. Ale co zrobić, wychowała dzieci, wszystko dla nich poświęciła, a teraz mają swoje prace, swoje domy, problemy. Proponowali, żeby się do nich przeniosła, ale w jej wieku pozbawić się własnego domu, być me u siebie, na łasce? Najlepiej byłoby mieszkać w jednym domu, z niedużym ogródkiem, osobnym wejściem dla niej, osobnym dla nich. Tak byłoby najlepiej, ale to właściwie nierealne... Łzy cisnęły jej się do oczu. Zaczęła szlochać, bardziej i bardziej, jakby chciała zwrócić na siebie uwagę Boga lub chociaż Stefka, jeśli gdzieś tam jest i może teraz na nią właśnie patrzy. „Zobacz, jak mi ciężko samej! Pomóż mi, żebym nie była ciężarem dla dzieci, żeby mnie nie oddali do jakiegoś ośrodka” – jęczała na głos. Ręką

sięgnęła do będącej zawsze obok torebki. Po omacku wyciągnęła siateczkę podstawowych leków, które musiała mieć na zawołanie. Łyknęła relanium i coś na serce, już drugi raz po obiedzie. Pieczone skrzydełka, które sobie przygotowała, dzisiaj jakoś jej nie smakowały. Jednak zmusiła się do jedzenia. Przecież nie głodziła się, a jednak od zeszłego miesiąca ubyło jej znowu trzy kiło. Skąd to chudnięcie? Przypomniała sobie, jak Stefan obsesyjnie się ważył, jak bardzo chciał mieć pewność, że już nie chudnie. „To chyba nie rak?” – pomyślała. Tego całe życie bała się najbardziej. Pulmonolog, który ostatnio ją badał, uspokajał, że niczego podejrzanego nie widzi na zdjęciu rentgenowskim. Dźwięk telefonu przerwał jej myśli. To była Andżelika. Dzieci znowu chore, nie ma kto jej pomóc. Zgodziła się przyjść do nich wieczorem, przyniesie lizaczki, czekoladowe jajka.

Nie wstając z łóżka, zmierzyła sobie ciśnienie – znowu było bardzo wysokie. Sięgnęła po tabletkę, od razu biorąc dwie przeciwbólowe. Jak jej lekarz powiedział, w każdej chwili groził jej udar mózgu. A jeśli ją sparaliżuje, będzie dogorywać latami jak roślina? Tego też bała się potwornie. Czy oddaliby ją do jakiegoś zakładu, gdzie by powoli zdychała?

„Co ja komu zrobiłam, że tak Bóg mnie ukarał?” – zapytała w myślach z wielkim żalem, przypalając papierosa.

Nawet nie zauważyła, kiedy za oknem zrobiło się ciemno. Ta samotność i cisza były jak trwoga, jak zapowiedź najgorszego. Z trudem wstała z łóżka. Czas zacząć się ubierać. Pomyślała o szarych spodniach, tylko gdzie one są? Pokonując psychiczny opór, otworzyła drzwi do salonu. Stała tam szafa, w której mogły wisieć. Zapaliła światło. Czuć było jeszcze zapach Stefana. Sam widok złożonej wersalki, foteli, czystego obrusa sprawił, że poczuła ucisk w klatce piersiowej. Otworzyła drzwi szafy i doleciał ją zapach męża. Koszule, mundury, wszystko jeszcze przesiąknięte było wonią jego skóry i wody toaletowej. Przytuliła twarz do rękawa, zanurzyła głowę w ubraniach. Łzy napłynęły jej do oczu. Gdyby wiedziała, że taki potężny, zdrowy mężczyzna skończy w ten sposób... Stał jej przed oczami jego obraz, kiedy już leżał prawie nieprzytomny, z zamkniętymi oczami. Ze szlochom uciekła z pokoju, porzucając plan odnalezienia swoich spodni. Właśnie wczoraj, o zmierzchu, Stefan był tu u niej. Przyszedł z nienacka. Obudziła się nagle, usiadła na łóżku, żeby zapalić papierosa, i zobaczyła jego postać. Stał w drzwiach, patrzył na nią. Zupełnie taki jak zawsze, tylko trochę był zamglony. „Stefan, Stefan” – powtórzyła kilka razy i zaczęła płakać, błagając, żeby zobaczył jej cierpienie i

samotność i jej pomógł. Ale on tylko patrzył na nią spokojnie. I zniknął... Znowu dzwonił telefon. Tym razem syn.

– Nie mogę długo rozmawiać, bo wychodzę do Andżeliki. Tak, dzisiaj mnie wezmą, już tyle czasu u nich nie byłam – mówiła. – To nie mogą cię częściej zabierać? Porozmawiam z nią – zachnął się Piotr.

– Nie, nie, daj spokój. Tacy są zajęci, Andżelika pracuje, do tego dzieci, dom, ona na nic nie ma czasu. – Masz co jeść?

– Skrzydełka piekę. Wczoraj to nic w lodówce nie miałam, ale nie było jak zejść do sklepu, tak się źle czułam...

– To Andżelika nie może nawet zakupów ci zrobić?! – Piotr był oburzony.

– A tam! Nie będę jej prosić. Ona mówiła, że tyle pieniędzy przeznaczyła na leczenie Ojca, że do tej pory długi spłaca. Rzeczywiście, dużo nam finansowo wtedy pomogli. Ona ma żal do ciebie, że ty nic nie dołożyłeś... No, na razie, idę do dzieci, lizaczki im kupiłam. Pozdrów Małgosię. Kiedy przyjedziecie?

– Nie wiem, na razie mam tyle roboty na działce muszę całą altanę pomalować. Trzymaj się, mam! jak tylko będziesz czegoś potrzebowała, daj znać!

Samo włożenie butów ją zmęczyło. Dysząc ciężko, z trudem naciągnęła płaszcz. Wychodząc z mieszkania, łyknęła jeszcze coś na serce i dwie tabletki przeciwbólowe. Poprawiła na głowie beretkę.

– Jak tam, pani Krysiu? – zagadnęła ją w windzie pijaczka z dziewiątego.

– Ach! – Krystyna machnęła ręką. – Do niczego takie życie, droga sąsiadko. Ledwo chodzę, chudnę nie wiadomo czemu... – mówiła.

Kobieta kiwała głową, niby ze zrozumieniem.

Andrzej i Andżelika zwiedzają Sycylię cz. 2

Kolejnym etapem ich podróży po Sycylii była miejscowość Agrigento, ze słynną Doliną Świątyni. Zwiedzali ją w upalny dzień, pozując do zdjęć na tle drzew oliwnych i ruin greckich budowli, w towarzystwie pary Niemców, z którymi zawarli przygodną znajomość. Andrzej lubił popisywać się świetną znajomością niemieckiego. Z entuzjazmem konwersował na przeróżne tematy, dzieląc się wrażeniami z podróży i komentując jedzenie degustowane w lokalach rekomendowanych w przewodniku. Nieplanowane towarzystwo drugiej pary pasowało mu, tym bardziej iż unikał chwil sam na sam z żoną. W trakcie odbywanej podróży przyszedł jej do głowy pomysł zajścia w kolejną ciążę. Możliwość posiadania jeszcze jednego dziecka i wszystkiego, co wiąże się z niemowlęciem w domu, przerażała go, chociaż – musiał przyznać – niemowlaki rozczulały go i nie mógł definitywnie oświadczyć, że nie chce trzeciego dziecka. „Poczekajmy z decyzją do powrotu” – namawiał żonę, chcąc w myślach uprzednio sam się namyśleć. Może powodował nią lęk wywołany przebywaniem na wyspie, która poza beztroską Taorminy nie przypadła tak bardzo żonie do gustu? Wieczorami Andżelika miała problemy z zaśnięciem, znowu zaczęła się źle czuć, dokuczał jej ból w klatce piersiowej i problemy z oddychaniem, które ustępowały po wypiciu trzech kieliszków wina, i o ile coś innego niż stan jej zdrowia zaprzętnęło jej uwagę. Wszystko tutaj było zbyt osadzone w historii, piękne tak bardzo, aż męczące, nie dawało spać, każąc bez ustanku poszukiwać sposobu na pochłonięcie tej wspaniałości, na wniknięcie w nią i pozbycie się poczucia obcości. „Pewnie wyobrażała sobie – myślał – słońce, wino, jedzenie z mafią (niczym filmową atrakcją) w tle. A może chodziło tylko o to, aby pochwalić się przed znajomymi, że była właśnie na Sycylii?”.

Kiedy podczas obiadu powiedział jej, że mężczyźni są o wiele bardziej sentymentalni od kobiet (myślał akurat o dniu, w którym słuchał w biurze nokturnów Chopina, a do jego gabinetu weszła praktykantka, cała w błękitach, i od razu rozpoznała, jaki utwór właśnie rozbrzmiewa), żona zażądała wyjaśnień.

– Mówię o uczuciu wypełniającym całą duszę, zastępującym „ja”, kiedy słucha się muzyki albo spada w dół po otwarciu spadochronu – powiedział. Rozpalone słońcem ciało w zacienionym ogrodzie zaczynał ogarniać chłód. Pociągnął ręką po rozłożystych liściach

karłowatych palm o bardzo grubych pniach. Uwielbiał szorstki odgłos uderzających o siebie, niby wyciętych z kartonu liści. – Chodźmy – zakończył rozmowę, zanim się zaczęła, i ruszyli zwiedzać ruiny miasta Selinus, które podbili dawno temu Kartagińczycy. Słońce nieruchomym światłem zalewało kamienne ruiny świątyni na nadmorskiej skarpie. Ślady dawno umarłego miasta, podkreślone ciepłym, rdzawym blaskiem, na tle nieruchomej tafli morza wywołały w Andżelice wyjątkowy niepokój.

– Popatrz, żyły tutaj kiedyś tysiące ludzi. Los każdego z nich był wyjątkowy, bogaty, jak nasz. I co się z nimi wszystkimi stało? Z ich aspiracjami, szczęściem i nieszczęściem? Czy gdziekolwiek istnieją jako pierwiastek Boga? – pytała. – Nie wiem, coraz częściej przekonuję siebie, że śmierć to biologiczny koniec wszystkiego, zanik świadomości – moment i koniec. Nic nie możesz poradzić, przestajesz istnieć. Myślisz często o tym, jak to możliwe, że nie istniejesz? – Wzruszyła ramionami zapatrzona w daleki horyzont morza. Mąż tylko podsycił jej niepokój, zamiast ukoić przerażenie. Nie zależało mu już na tym, chciał mieć możliwość wyrażania swoich prawdziwych poglądów. Patrzył, jak żona wolnym krokiem spaceruje bez celu pomiędzy ruinami, piękniejsza niż kiedykolwiek, w białej sukience i wielkich okularach przeciwsłonecznych. Paradoksalnie jej świetny wygląd pogłębiał przepaść między nimi – już wcześniej okazywała mu zbyt mało czułości, zbyt mało uwagi, a teraz – gdy wiedziała przecież, jak reagują na jej widok mężczyźni – stała się bardziej wyniosła i wymagająca.

Jako ostatni etap ich podróży po Sycylii zaplanowali krótki pobyt w Palermo, do którego jechali w długim korku, dlatego dotarli do hotelu już po zmroku. Było już niestety za późno na spacer po mieście. Wnętrze hotelu o nazwie Principe di Villafranca przywodziło na myśl luksusowy antykwariat. W korytarzu prowadzącym do pokoi ustawiono szklane gabloty z dziełami z ceramiki, figurkami i starymi książkami, a przy prowadzących do biblioteki schodach stał piętnastowieczny konfesjonał. Równie zajmująco wyglądała biblioteka z barem, gdzie czekając na kolację, Andrzej rozsiadł się na kanapie przy kominku, z albumem dotyczącym podróży Goethego po Sycylii, podczas gdy Andżelika zmieniała białą sukienkę na czarną. – Patrz, to jest pościel z prawdziwego, delikatnego lnu – powiedziała, gdy wrócili już do pokoju po zjedzeniu kalmarów i ryby-piły. Uchylając żaluzje, Andrzej spojrział na ciemną, nieciekawą ulicę za oknem. – Nie do wiary, że jestem w Palermo! – Żona roześmiała się, upojona winem. – Teraz chętnie zobaczyłabym miasto, moglibyśmy pójść na drinka! – zachęcała.

– Jest prawie dwunasta! Zwariowałaś! Jutro będziemy zwiedzać, jestem zmęczony – odparł Andrzej.

Następnego dnia wstali bardzo wcześnie, żeby szybko zjeść *cornetto* w obitej jedwabiem jadalni i jak najszybciej wyjść z hotelu – nazajutrz o tej porze mieli odlatywać do domu. Miasto powoli budziło się do życia. Mimo wczesnej godziny kładące się na starych kamienicach światło miało ciepły odcień, typowy dla śródziemnomorskich miejsc na południu. Niemal każdy balkon wiekowych, obdrapanych z najczęściej żółtej farby tynków zasłonięto już markizą, podczas gdy znajdujące się za oknami wnętrza chroniły drewniane żaluzje. Krople rosy połyskiwały na rozłożystych liściach palm i blatach kawiarnianych stolików. Spacerowali w milczeniu po starym Firriato, wchodząc bez pośpiechu do napotkanych księgarń lub sklepików spożywczych, gdzie kupili kilka butelek marsali na prezenty, pocztówki i gadzety z charakterystycznym emblematem postaci z trzema nogami. W kawiarni z widokiem na renesansową fontannę wypili kawę, ocierając pot z czoł.

– Taki upał w październiku! A u nas pewnie zaczyna nieprzyjemny deszcz! – Oboje śmiali się z tego.

Gdy w swej wędrówce przez miasto dotarli do ozłoconych murów kościoła La Martorana, Andželika przeczytała w przewodniku, że to uznawana za najpiękniejszą świątynia w Palermo. Długo oglądali barokową fasadę, otoczone egzotyczną roślinnością orientalnie wyglądające ściany budowli. Kiedy jednak chcieli wejść do środka, gdzie ponoć kryło się niezwykle wnętrze, strażnik zatrzymał ich. Obowiązywał tu zakaz wstępu z odsłoniętymi ramionami i dekoltem, a Andželika miała na sobie skąpą sukienkę. Andrzej zaczął łamanym włoskim przekonywać, aby ich wpuszczono.

– Idź sam, ja poczekam, nie szkodzi. – Andželika machnęła ręką i chciała się oddalić, ale mąż przekonywał ją, że zaraz kupi jej jakąś chustę albo T-shirt. – Nie, daj spokój, boli mnie głowa – odpowiedziała zniechęcona, ale mężczyzna złapał ją za rękę i w jakimś niezrozumiałym popłochu zaczął biec z nią wzdłuż murów kościoła w poszukiwaniu jakiegoś miejsca, w którym mogliby kupić coś, co zakryje jej ramiona. Andželika zatrzymała się wreszcie i ze złością zaczęła go nakłaniać, aby wrócił do świątyni, ona zaś poczeka na ławce pod palmami. Ale Andrzej rzucając się jak w gorączce, mówił w kółko, że nie chce tam iść bez niej.

Zaskoczona tym nagłym entuzjazmem, śmiała się, pytając, co mu się stało. Sposób, w jaki wtulił spoconą twarz w jej nagie, rozpalone słońcem ramiona, sprawił, że więcej nie

protestowała, kiedy kazał jej poczekać, a sam pobiegł do pobliskiego *tabacci*. Wkrótce wrócił, biegnąc z pstrokatą bluzką z emblematem miasta, którą Andżelika włożyła bez słowa. Jego upór i determinacja pozytywnie ją zaskoczyły. Ujął jej rękę i szybkim krokiem weszli do chłodnego, nieco orientalnego wnętrza w kolorach złota i ciemnego błękitu, gdzie obejrżeli mozaiki, na których tańczyło wpadające przez witraże światło. Andżelika wrzuciła dwa euro i zapaliła świece w intencji zmarłych rodziców.

Wyszli objęci i nie rozłączając rąk, wrócili do hotelu. Kiedy żona poszła wziąć prysznic, Andrzej czekał najpierw przeświadczony, iż będą zaraz uprawiać seks, aby po kilkunastu minutach zasnąć. Kiedy otworzył oczy, usłyszał, że przespał porę obiadu i teraz do wieczora niczego nie zamówią w restauracjach poza hotelem. Andżelika była zła, chciała zjeść coś na mieście. – Co ci się dzisiaj stało przed kościołem? Dlaczego tak chciałeś, żebyśmy tam poszli razem? Zwykle na niczym ci zbytnio nie zależy – powiedziała.

– O! I już zaczynają się wyrzuty! We wszystkim, co mówisz, jest jakieś oskarżenie wobec mnie. – Andrzej westchnął. Patrzył na jej niemal nagie ciało, ułożone na kremowej pościeli. Jej twarz była tak słodka, kobieta wydawała się przystępna i dobra. Przypomniawszy sobie odczucie, jakiego zaznał pod świątynią. To był jakiś ostatni zryw, ostatnia próba ucieczki przed decyzją, którą – teraz już wiedział – że musi podjąć, aby iść do przodu. Poczł wóczas jakiś rzadki skurcz wzruszenia, wdzięczność za urodzenie mu dzieci, za te chwile, kiedy bywał chory, a ona się nim opiekowała, za jej wciąż atrakcyjne ciało. Jednak moment minął, wiedział, kogo ma przed sobą, widział za tym słodkim obliczem niewyczerpane źródło niezadowolenia, oskarżeń i potrzeb, z którymi nie miał już siły się konfrontować.

Andżelika zasnęła w okamgnieniu. Patrzył na jej urocze oblicze i wyobrażał sobie, że właśnie śniła o mijanym właśnie dzisiaj na ulicy przystojnym Sycylińczyku. Andrzej przez chwilę walczył z chęcią dotknięcia jej pomiędzy udami, i dalej. Był niczym dziecko, które nie może dostać tego, czego pragnie najbardziej na świecie, trwa tylko ze ściśniętym sercem, jeszcze wewnętrznie podniecone i przejęte gotowością walki za spełnienie swej zachcianki. Sięgnął w końcu po gazetę. Kiedy żona się obudziła, mogli już wyjść, by poszukać jakiejś restauracji.

– Boję się jutrzejszego lotu! Boże, jak ja nienawidzę latać! – Andżelika wzdychała w trakcie kolacji, ledwo skubiąc przepyszny makaron.

Gdy już szczęśliwie dotarli do Warszawy, w taksówce wiozącej ich do domu ogarnęła ją panika. „Trzeba coś zrobić, coś zrobić, NATYCHMIAST” – huczało jej w głowie. Zażegnała

nagłą ochotę wypalenia mentolowego papierosa – nie robiła tego od lat. Ale teraz, dzisiaj, kiedy świadomość, iż jest coraz gorzej, a lepszy wygląd (co z tego, że schudła, zmieniła fryzurę, ubierała się jeszcze lepiej niż kiedykolwiek) wcale nie spowodował jej zadowolenia, miała w sobie siłę, aby podjąć radykalne kroki. I do tego myślenia o zmianach w życiu przydałby się papieros. Jak Dunhille light, które kupowała kiedyś na lotnisku w dużych ilościach, często latając służbowo za granicę. Potem paliła samotnie tytoniowe zapasy, leżąc na podłodze przy zgaszonym świetle i słuchając kobiecych śpiewów. Potrafiły oddać barwą głosu i artykulacją całą tę migotliwość stanowiącą zbiór jednocześnie współistniejących uczuć, emocji, zachcianek, wrażeń, marzeń – niestabilność „ja”, które jest – albo raczej którego nigdy nie ma, gdyż porównać je można do migoczącej wody, stale zmieniającej swoją powierzchnię. Jednak muzyka budziła w niej nieokreślone pragnienia i uruchamiała tęsknotę za czymś, czego do końca nie potrafiła zidentyfikować, co jednak było niedostępne. Zdarzały się więc chwile, kiedy słuchanie muzyki stanowiącej coś więcej niż tło dla wykonywanych czynności było zbyt wielkim wyzwaniem.

Co zatem mogła zrobić, co radykalnie zmieniłoby jej życie? Rzucić niesatysfakcjonującą pracę albo rzucić męża... Inne zdecydowane działania nie przychodziły jej do głowy. Pozostawienie dzieci czy ucieczka w podróż nie wchodziły w rachubę.

– Dlaczego tak ci zależało, żeby pojechać właśnie na Sycylię w październiku? – zapytał nagle Andrzej.

– Kiedy z Gizmo, moją przyjaciółką z liceum, oglądałyśmy co kilka tygodni *Wielki błękit* Bessona, moim wielkim marzeniem było znaleźć się kiedyś w tym miejscu, w tym hotelu. Wówczas nie wiedziałam oczywiście, że to Taormina – odparła. – Żałujesz? – zapytała.

– Nie, skąd, bardzo wiele się dowiedziałem, o greckich zabytkach i nie tylko... – odparł.

Andżelika spotyka się z projektantką lamp

Kiedy nakłoniłam w końcu Andrzeja, aby uruchomił fundusze na zakup lampy do ciemnego – w naszym mniemaniu – salonu, zadzwoniłam do znalezionej na stronie internetowej młodych projektantów dziewczyny, która prezentowała ciekawe prace oświetleniowe. Wytłumaczyłam jej, jaki styl mnie interesuje, do jakiego wnętrza ma pasować i po ustaleniu orientacyjnej ceny umówiliśmy się na spotkanie w kawiarni.

Dziewczyna wydawała się sympatyczna i rzeczowa. Krótka ostrzyżona, ubrana w czarne spodnie i białą bluzkę w czarne paski, przypominała kobiecą postać z *Do utraty tchu* Godarda. Szybko osiągnęliśmy porozumienie, wspólnie podziwiając włoskie wzornictwo, zwłaszcza lampy z plastiku i te z wykorzystaniem materiałów tekstylnych (abażury z koronek czy kordonka). Jak wyjaśniła, jest już po terminie porodu (w tym momencie rozmowy nie umiałam ukryć zaskoczenia) i lada chwila będą go wywoływać, co chwilowo uniemożliwi jej pracę. Postanowiliśmy skontaktować się za trzy, cztery tygodnie, kiedy – jak stwierdziła – nie będzie miała problemu, aby zaproponować mi jakieś projekty.

Wczesnym latem umówiliśmy się na prezentację lamp w jej mieszkaniu. Kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy, pomyślałam, że gdybym nie wiedziała, kim jest, wzięłabym ją za agresywną ćpunkę, która wpadła w niechcianą ciążę i musiała urodzić z powodu zbyt późnego uzbierania funduszy na aborcję. Krótkie blond włosy z grzywką opadającą na brwi i miła twarz z pełnymi ustami Angeliny Jolie kłóciły się z obszarami mlecznobiałej skóry rąk, ramion, dekoltu i nóg, pokrytych wytatuowanymi ciemnogrnatowymi gwiazdami. W pępku widocznym spod bardzo kusego szlafroka tkwił kolczyk. Trzytygodniowego synka ukrywała w przepasającej ją chuście w afrykańskie wzory.

– Przepraszam, ale muszę dokończyć karmienie – powiedziała z miłym uśmiechem, zapraszając do środka przestronnego mieszkania w przedwojennym stylu, z obrazami polskiej wsi na ścianach i rzadkimi, dębowymi meblami art deco. Bez skrępowania usiadła ze skrzyżowanymi nogami na nieposłanym łóżku, plecami opierając się o ścianę, i rozwiązała szlafrok, ukazując moim oczom olbrzymie, idealnie białe, pełne mleka piersi, do których przystawiła niemowlę. Cała wydała mi się uosobieniem piękna macierzyństwa. Jej młode,

zgrabne – mimo dużego jeszcze brzucha – ciało nęciło mnie i kazało na siebie patrzeć. Zaczęliśmy rozmawiać na temat dzieci i problemów związanych z niemowlętami, szybko przechodząc na temat jej aktualnej sytuacji.

– To od ojca dziecka. – Pokazała ubranko swojego malucha i nieco już przywidłe kwiaty w wazonie. – Przyjechał do mnie z obecną narzeczoną, z którą mieszka w górach, bo to jest góral, dziki i przystojny. Dowiedziałam się o ciąży już po naszym rozstaniu. Przyjął to spokojnie i uzgodniliśmy, że będzie brał udział w życiu dziecka – mówiła. Najwyraźniej miała ochotę opowiedzieć swoją historię. – Ani razu nie pomyślałam o aborcji, chociaż znajomi się dziwili. Śmiali się ze mnie na imprezach i było mi bardzo ciężko, kiedy brzuch zaczął już być widoczny. Samotność mnie przerażała. I niespodziewanie poznałam wyjątkowego nauczyciela buddyzmu, który nie wystraszył się ciąży, pokochał mnie z całym moim bagażem. Wyjechaliśmy w długą podróż na Krym – ciągnęła. Gdy słuchałam opowieści o jej życiu, relacji z porodu i krótkiego wykładu o buddyzmie, wzrok nie chciał odcepić się od mlecznego, smukłego ciała. Za oknem ciemniało. Siedziałyśmy na łóżku w gęstniejącym mroku, gdy w jakiś naturalny, oczekiwany sposób jej dłoń dotknęła mojej piersi, a usta przylgnęły do moich. Pocałunek nie różnił się niczym od tych wymienianych z mężczyznami. Podczas gdy niemowlę spało w ustawionym nieopodal łóżeczku turystycznym, jej sprawna ręka szybko doprowadziła mnie do orgazmu. Telefon jej matki przerwał niespodziewane zbliżenie. .

Wychodząc, zastanawiałam się, jak będzie sobie radziła z dzieckiem, na uczelni, z czego się utrzyma? Czy nauczyciel buddyzmu będzie płacił za opiekunkę? W nocy śniło mi się jej białe, doskonałe ciało wytatuowane w gwiazdy. Całowałam i głaskałam napęczniałe od mleka, idealnie piękne piersi. Z myślą o nich po omacku sięgnęłam ręką po penisa śpiącego obok męża. Zareagował bardzo szybko. Odwróciłam się tyłem, aby czerpać jak najwięcej przyjemności, z doznań ciała, podsycanych projekcją w mojej głowie. Mąż zasnął zadowolony, szepcząc coś o miłości. Nie mogłam spać. Fantazjowałam o projektantce lamp, o tym że za pieniądze, które miałyby na przykład ze spadku, zaprojektowałybyśmy i zbudowały wymarzony modernistyczny dom na wzgórzach albo nad wodą, gdzie zamieszkałabym z nią, jej synkiem i moimi dziećmi.

Sen w pewnym sensie okazał się proroczy – Zadzwoń do ciebie – powiedziała na do widzenia i rzeczywiście odezwała się wkrótce, szukając porady w kilku kwestiach związanych z wychowaniem dziecka. Z entuzjazmem przekazywałam jej złote rady i dzieliłam się

doświadczeniem, aby płynnie przejść do zagadnień modernistycznych domów budowanych w Ameryce w latach pięćdziesiątych.

Wieczorem przy kolacji snułam plany o przeszklonej bryle, której salon wdzierał się w sosnowy las. Andrzej nie chciał nawet podjąć tematu.

– Nie stać nas na sfinansowanie budowy domu nie ma o czym rozmawiać. – Uciął dyskusję i pograżył się w lekturze. Wyczerpał już cały swój potencjał w trakcie dnia pracy – tam zachowywał się miło sympatycznie, dowcipkował i flirtował z koleżankami, był pełen entuzjazmu i werwy. Kiedy wracał tutaj, chciał tylko napęlić żołądek i obejrzeć wiadomości. Wiem, bo ze mną jest dokładnie tak samo. Przy obcych ludziach mobilizujemy się, pokazujemy od dobrej strony, staramy się wypaść interesująco. W towarzystwie drugiej osoby, z którą przebywamy dzień w dzień, nie sposób zatuszować swoje prawdziwe oblicze albo odsłonić to, co łatwiej ujawnić przed kimś obcym niż własnym współmałżonkiem.

– A co byś powiedział, gdybym przespala się z kobietą? – zapytałam zniechęta, kiedy dzieci poszły oglądać dobranockę. Andrzej wzruszył ramionami, nieco rozbawiony – jak mu się zdawało – pytaniem tak odbiegającym od rzeczywistości. – Lepsze to, niż gdybyś miała mnie zdradzić z mężczyzną – tego bym nie wybaczył NIGDY – odparł.

Andżelika musi kupić płaszcz w wielbłądzim kolorze

Kiedy budzę się rano i jako pierwsze pojawia się w głowie zdanie „Bóg jest”, wiem, że dzień będzie udany. Częściej jednak przebudzenie z nieznanymi przyczyn zabarwia się od początku nutą niepokoju, bo pierwsza myśl, zanim otworzę jeszcze oczy, to „dzisiaj umrę”. Nie wiem, skąd się to bierze. Czasami boję się, że serwuje mi je podświadomość, co oznaczać może zapowiedź wydarzeń, a tym samym wywołuje potworny, paraliżujący lęk przed wszystkim, co może przynieść dzień. Źródłem potencjalnych zagrożeń staje się wtedy wszystko: jazda do pracy, wyjście na zewnątrz, nawet coś nieprzewidywalnego, jak upadek samolotu na nasz dom albo atak terrorystyczny.

Wyjazd na zasłużone wakacje nie pomógł. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Przebywając w bajkowym otoczeniu (lazurowe morze, piaszczysta plaża i ogrody pełne palm i kwiatów), znowu czułam, że nie mogę oddychać. Siedziałam na rozstawionym nad wodą leżaku i miałam przeświadczenie, iż zaraz stanie się coś strasznego, stracę świadomość, zniknę. Z trudem powstrzymywałam krzyk. Kto z otaczających mnie bez troskich ludzi zgadłby, co dzieje się w umyśle spokojnie opalającej się kobiety o bladej cerze i rudych lokach do ramion? Zaciskał mi się przelyk, gwałtownie podrywałam się i szłam ku wodzie z kołatającym jak dzwon sercem. Dziesięć dni najgorszej trwogi, która ustępowała jedynie dzięki kilku kieliszkom wina. Nie wiem, Boże, nie wiem, jak sobie pomóc. Nie umiem zidentyfikować pragnienia, które nieustannie domaga się spełnienia, nie wiem, czego chcę, ale jest to coś, czego bardzo potrzebuję. Upatrywałam już swojej szansy w koncentrowaniu się na sobie i swoim wyglądzie (długi, w jakie się wkopałam, przyprawiały o zgryzoty i obniżały samoocenę), jeździe konnej, kolekcjonowaniu pocztówek i filizanek (bieganie po pchlich targach miało swój urok, ale nie oddaliło aż tak bardzo poczucia niepojętej klęski), dekorowaniu wnętrza nowego domu czy zainteresowaniu muzyką klasyczną. Do dzisiaj, ilekroć przypomnę sobie te górnolotne opisy pewnych wykonanych utworów, wciąż mam poczucie możliwości obcowania z tajemnicą, partycypowania w czymś szczególnym, jakbym stała w przedsionku do wypełnionego klejnotami skarbca.

Biegałam więc po sklepach, kupowałam po kilkanaście płyt różnych wykonanych sonat Mozarta i Beethovena, później przechodziłam etap Schuberta, aby nagle się tym znudzić. Piękne

słowa o muzyce zbyt wiele obiecywały, a oczekiwania przerosły rzeczywistość. Jednak słuchanie *Patetycznej* Kempfa wbrew temu, co napisał pewien zacny krytyk muzyczny, nie zmieniło mojego życia. Może naprawdę nie umiałam usłyszeć tego ładunku zawartego w niej emocji?

Czytałam też różne książki o tym, jak kobieta o pogmatwanej przeszłości ląduje w nieznanym zakątku świata i tam odkrywa, jakie życie jest fantastyczne. Nie mogę się oprzeć irracjonalnemu przekonaniu, iż tam, gdzie nas nie ma, wszystko jest lepsze. Patrzę z zazdrością na prezenterki telewizyjnych programów o gotowaniu albo prowadzeniu domu. Co zrobić, aby czerpać radość z obierania warzyw, przygotowywania potraw dla gości, nawet porządkowania domu i organizowania rodzinnego świata? Dlaczego dla mnie wszystkie te czynności oznaczają mękę i dyskomfort? Może obserwacja pracującej w domu Matki, która dzień w dzień gotowała i sprzątała, potwornie nienawidząc tych obowiązków, utkwiała we mnie tak głęboko, że rzutuje na nastawienie wobec prac domowych. A nie sposób ich przecież unikać.

Czy życie nie ogranicza się w swej kwintesencji do kilku czynności opisywanych przez takie czasowniki jak: rodzenie, wydalanie, przygotowywanie posiłków, jedzenie, kopulowanie? Wychodzę z biura podenerwowana problemami, które wynikły w pracy. Czuję chwilami łomot serca. Nie planując niczego, spontanicznie kieruję się do sklepu z damską odzieżą, gdzie nagle zapominam o wszystkim. Oglądam, przymierzam, w myślach zestawiam ubrania i dodatki, po czym wychodzę z pięknie zapakowaną sukienką i koralami. Nie planowałam zakupu, ale odczuwana dzięki temu euforia sprawia, że serce się uspokaja i już nie galopuje, wpędzając mnie w poczucie nadchodzącego końca. Po kilku godzinach przygnębia świadomość wydanych pieniędzy na kolejny ubiór.

Dociera do mnie świadomość własnej słabości i brak charakteru – ile to już razy obiecywałam sobie wstrzemięźliwość przy wydawaniu, robiłam plany spłaty kart, zaklinałam się, że nie kupię niczego, zanim nie upłynie wyznaczony w głowie termin. Jestem doskonałym wytworem świata zarządzanego przez wielkie koncerny, których celem jest napędzanie konsumpcji. Wpadłam w obłądny krąg: pracuję, aby zarabiać, spłacać długi i kupować, nabywam kolejne ubrania, przedmioty, zadłużam się. Te przestarzałe, niemodne wyrzucam, by zwolniły miejsce dla nowych kolekcji nadchodzącego sezonu...

Kupować, usuwać, zużywać, kupować, rozdawać, kupować, w kółko, codziennie coś, dla siebie, dla dzieci, dla męża. Nie bronię się nawet przed byciem ofiarą konsumpcjonizmu. Nie wychodzę na ulicę bez maski w formie makijażu, która zapewnia mi bezpieczeństwo i świadczy

o respektowaniu reguł i przynależności do grupy. Z pokorą pracuję po to, aby spłacać zadłużenie na kartach kredytowych, po to aby sprowadzić dla siebie nieziemskie szpilki. Tak jak nie umiem uciec od miejskiego pośpiechu, tak też nie potrafię porzucić atrybutów kobiecości, wyswobodzić się z kodu stanowiącego pewien przekaz dla ludzi, których napotykam na swojej drodze. A więc skoro wyznaczający nowe trendy projektanci nakazują nosić tej jesieni płaszcz w wielbłądzim kolorze, nabędę taki, podobnie jak setki innych kobiet, droższy lub tańszy, lepszej bądź gorszej jakości, ale podporządkuję się dyktatowi mody, chociaż płaszcz o takim kroju i kolorze znajdował się w ofercie zarówno rok, jak i dwa, a nawet pięć lat temu. Nie wnosi niczego nowego, niczym nie zaskakuje. To tylko zmowa tych, którzy zarządzają światem na poziomie globalnym. Czy nie powinnam postarać się wypaść z tego kręgu? Na początek wystarczy nie kupić płaszcza w wielbłądzim kolorze... Nawet Matka miała podobny. Może jeszcze dziś leży w jakimś śmietniku...

Czekanie. Na wiosnę, na ciepło, na przyływ gotówki, na wyzdrowienie, na schudnięcie, na radość, a najczęściej czeka się z niezrozumiałym wewnętrznym podekscytowaniem na coś nieokreślonego, zawsze dobrego, choć trudnego do uchwycenia. Na szczęście? Bez oczekiwania nie sposób istnieć. Niegasnące oczekiwanie pozwala ignorować śmierć. Czym się właściwie ludzimy? Że to jeszcze nie teraz, że nie wiadomo kiedy. Wychodząc z dusznej sali kinowej, w pochodzie powolnie drepającego tłumu (na wykładzinie w gwiazdy resztki prażonej kukurydzy, wypowiedane przez irytujące głosy prymitywne komentarze), cieszę się na czekającą nas teraz kolację, przyjemność oczekiwania na jedzenie w ładnym wnętrzu. I nagle przychodzi myśl, małe uświadomienie, że to wszystko się kiedyś skończy. A gdyby ten powolny pochód zmierzającego do wyjścia z wiszącą nad nim lampką z napisem *exit*, w rzeczywistości kierowany był na szybkie unicestwienie? Nagły nawrót lęku. Woody Allen zawsze potrafił pocieszyć, przekonując, że śmiech i ironia to jedyna obrona przed strachem przed śmiercią. Tym razem jednak jego nowy obraz doprowadza mnie do rozpacz. Idziemy nieskończenie długimi korytarzami centrum handlowego, mijając witryny pełne przedmiotów, na których gromadzeniu koncentruje się życie. A gdyby przyszło teraz właśnie odejść, nie można by było zabrać na tamtą stronę niczego. Myślę z lękiem, że przecież nie zabiorę zdjęć, a właśnie fotografii byłoby mi żal najbardziej. Snuję wizję nowego wyjazdu – może agresywność przyrody o tej porze roku pomogłaby mi się uspokoić? Chcę tylko, aby powrócił złudny spokój „normalnej egzystencji”. Kupuję córeczce ubranka na lato, które ma nadejść dopiero za kilka miesięcy. Kolorowa sukienka z naszytymi na

piersi wisienkami, spodenki-ogrodniczki z aplikacją lwiej głowy i śmieszna parasolka, turkusowy kostium kąpielowy z wielką truskawką na przodzie i jeszcze książeczka o myszce... Nic nie pomaga. Nie mam siły iść.

Nocą płaczę, właściwie szlocham w ukryciu, starając się zagłuszyć swój dramat mocnym strumieniem wody. Wielka siła, z jaką krzyczy wymowa *Świata według Garpa* – szczęście rodzinne jest tak wielkie, że aż przesywa bólem. Tkwi we mnie słabość tak silna, że nawet udźwignięcie tego ciężaru wydaje się zbyt trudne. Tylko ten ogrom miłości, pęczniejący jak balon, aby w końcu zniknąć. Potem idę do kuchni, otwieram lodówkę i piję mleko. Dojadam niedokończoną przez córeczkę tabliczkę czekolady, która leży wśród książeczek do malowania i flamastrów na stoliczku. To takie ludzkie zaspokoić fizjologiczną potrzebę, poczuć się lepiej. Kiedy kładę się z powrotem do łóżka, powtarzam jak mantrę słowa trochę zapomnianej modlitwy. Chwilowe ukojenie. Brakuje mi już fizycznych sił na wątpliwości.

Jestem przepełniona lękiem. Nie mogę otrząsnąć się nawet na krótką chwilę ze śledzącego mnie o każdej porze dnia poczucia zagrożenia. Nie potrafię określić, czego się lękam – niepokoi mnie sam fakt istnienia i potencjalne, jedynie podświadomie identyfikowane zagrożenia, jakie teoretycznie mogą się uaktywnić. To parszywe odczucie zawsze jest w tle, nawet gdy śmieję się szczerze i głośno w trakcie szalonego tańca z dziećmi, gdy trzymamy się we trójkę za ręce i wirujemy w koło przy wesołej piosence, a głupi pies biega dookoła nas, starając się łapać zębami za kostki nóg. Może to artykuł o nowo odkrytej czarnej dziurze albo tekst o sztucznym życiu, które zapewne za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat zostanie w końcu wynalezione? Czy gdyby czarna dziura pochłonęła nasz Układ Słoneczny, trwałoby to tylko moment i nastąpiło unicestwienie wszystkiego? Cały ten gwar, ta obfitość życia, cierpień i starań zakończona w jednej sekundzie, film pełen akcji gwałtownie przerwany. Czy tak to by wyglądało? Czy życie jest tylko formą białka? Im bardziej przepełnia mnie wielka tkliwość i miłość do dzieci, tym bardziej rośnie we mnie balon lęku. Nigdy nie uda mi się pogodzić z myślą o braku ciągłości istnienia...

Niby wszystko jest normalnie, a budzę się i pierwsza moja myśl to umieranie, choroba dziecka, nagłe tragedie. Miła niedziela, świeci słońce, spacerujemy po parku, później podrzucamy dzieci do teścia i idziemy do kina. Kiedy tylko zapada zmrok, czuję to niepojęte łopotanie serca. Akcja się rozkręca, na ekranie pojawiają się szlachetny gliniarz i uroczy gangster handlujący narkotykami, a ja czuję zawroty głowy, w ułamku sekundy nawiedza mnie

nieopisywalne poczucie, że zaraz serce przestanie mi bić. Kręcę się na fotelu, przytulam do męża, ale to nic nie pomaga, gwałtownie chcę się wydostać, znaleźć na powietrzu. Iść – ilekroć mogę iść, jest lepiej. Po omacku znajduję w torebce ziołową tabletkę uspokajającą i popijam ją colą, z której uleciał cały gaz, i teraz smakuje jak rozwodniony syrop na kaszel. Przez chwilę jest lepiej, tłumaczę sobie, że to tylko nerwy, że przecież jest fajnie, siedzimy w kinie, odpoczywamy... I za moment znowu wewnętrzne drżenie. – Zaraz stracę przytomność, muszę wyjść – szepczę, podnosząc się i przebijając wzdłuż rzędu nóg i toreb. Na ekranie roześmiana twarz znanego aktora. Popycham drzwi, nad którymi pali się lampka „wyjście ewakuacyjne”, schodzę dziwnymi schodami, dalej rozwidlenie, znowu schody, w prawo, w lewo, tylko szum jarzeniówek i białe ściany. Drzwi, na które natrafiam, są zamknięte. Po chwili orientuję się, że nie wiem, gdzie jestem, zaraz zacznę krzyżeć serce przeraźliwie łomocze. Trzeba wrócić do sali, wyjść inaczej, ale jak tam trafić? Nie wiem, dokąd się udać. Biegam w górę i w dół jak wariatka. W końcu wybieram numer do męża, na szczęście ma włączoną komórkę. Kiedy mnie odnajduje, siedzę na schodkach i szlocham, trzęsąc się jak galareta. Wstyd mi ale nie umiem zawalczyć ze słabością. „Będzie dobrze, zobaczę dzieci, zrobię kolację, wszystko będzie OK...” – potarzam w myślach.

Gdyby można było mieć w sobie moc życia chwilą bieżącą, niesziperaniem w przeszłości, nostalgią, byle nie permanentnym wybieganiem w jutro. Bez tego „co dalej, co dalej, do przodu”. Ograniczyłoby to lęk przed potencjalnymi zagrożeniami i cierpieniami, jakie może przynieść przyszłość. Jak przebiegałby rozwój człowieka, cywilizacji, gdyby nie siła napędowa pragnienia, którego realizacja wymaga czasu przyszłego. Tworzenie się pragnienia jest bowiem synonimem wybiegania w przyszłość. Pograżanie się w marzeniach, coraz większe potrzeby oznaczają niechęć do „tu i teraz”. Natłok pragnień (niekiedy nadchodzą jedne za drugimi, materialne i emocjonalne) wywołuje pewien rodzaj szczęścia, wyzwala pozytywną energię, gotowość, mobilizuje, aby przetrwać chwilę w lepszym stanie. Może jest to „świadomy” element samoobrony? Psychika reaguje w ten sposób, aby lepiej znieść teraźniejszość, łatwiej iść do przodu?

Dzwoni dentystka, jest w kiepskiej formie – niedawno dowiedziała się, że jest w ciąży i rewolucja hormonalna w jej organizmie na razie niekorzystnie wpływa na jej psychikę. Boi się powikłań, problemów z cukrzycą, bycia znowu matką w zaawansowanym już wieku.

– Będą się ze mnie śmiać na ulicy, wyglądam jak babcia – żali się. Pocieszam ją, że ja też w czasie ciąży nie miałam dobrego samopoczucia, źle znosiłam tycie, więc poprawiałam nastrój

jedzeniem, przez co tyłam jeszcze bardziej i byłam coraz bardziej sfrustrowana. Ale gdy dziecko już przyszło na świat, nic mnie nie obchodziło, nie dbałam o wygląd ani o czułość mężczyzny. Kontakt fizyczny z niemowlęciem, tulenie go i całowanie zaspokajały moją potrzebę bliskości i tkliwości. Już zapomniałam, jaka to błogość, jakie szczęście, najbardziej intymne i alienujące od świata.

Przypomniał mi się jeden z dni, kiedy przebywałam w delegacji w Paryżu. Obudziłam się wcześnie, był czerwcowy, tchnący niezrozumiałą nadzieją poranek. Wanilioworóżowy odcień światła oblekał fasady kamienic blaskiem, jaki udało się uchwycić na niektórych płótnach wczesnych impresjonistów. Wyglądałam przez okno hoteliku przy rue Chateau d'Eau, gdzie na przestrzeni zaledwie trzystu metrów znajdowały się cztery zakłady fryzjerskie dla czarnoskórych (szczególnie modne blond dredy w Grace Coiffure, afro w Miss Afro, prostowanie w Espoir Coiffure). Dokładnie pamiętam tamto wzruszające uświadomienie sobie źródła szczęścia.

Zamykam i otwieram powieki, stop-klatka, i przed oczyma mam obrazek jak z La rue Balthusa kilkadziesiąt lat później. Wpatruję się w okno na analogicznym piętrze domu naprzeciwko, bez zażenowania staram się dostrzec wnętrze czyjegoś mieszkania. Tu regał pełen książek, tu kredens, otwarte pudełko mleka... W jednym z okien widać sylwetkę kobiety przewijającej malutkie dziecko. Kobieta czule podnosi niemowlę i tuli je do siebie. Patrzę i wiem, że nie ma nic, absolutnie nic, co może dać więcej szczęścia niż ta pozornie zwykła chwila obcowania z niemowlęciem.

Taki moment zapada w pamięć niemal na zawsze, jak wspomnienia miłości, które chociaż nieziszczone, zawierają w swojej historii odpowiedni potencjał melancholii i liryzmu. Są przecież, takie stany ducha, kiedy jakaś postać stanowi pożywkę i inspirację dla umysłu. I nie trzeba wiele brać od tej miłości, nie potrzeba nawet dotyku, aby zaznać poczucia sytości. Taki poranek poddany obróbce czasu stał się jednolitym wspomnieniem, tak pełnym blasku, że daje poczucie radosnej zgody na wszystko, absolutnie wszystko, co wiąże się z życiem.

Przekonuję dentystkę, że będzie lepiej, jak tylko miną młodość i osłabienie, musi poczekać jeszcze kilka tygodni.

– Przepraszam, że tak jęczę i narzekam. – Kobieta płacze.

– Wiem, wiem, taki mamy sposób na przetrwanie. Ja ostatnio przez pół miesiąca dzień w dzień biłam się z myślą, że mam czerniaka. Nie mogłam się zdecydować na pójście do lekarza, aby pokazać pieprzyk, który wydawał mi się podejrzany. Myślałam już o tym, że osierocę biedne

dzieci, myślałam o ich bólu, o tym jak je kocham i nie chcę niczego w życiu, tylko żebyśmy byli razem.

– I poszłaś w końcu do lekarza? – zapytała dentystka.

– Tak, tak, lekarz powiedział, że wszystko jest w porządku – odparłam. – I wiesz, co sobie uświadomiłam? Że to widmo choroby i śmierci dopada mnie co jakiś czas, ilekroć doprowadzam się do stanu, kiedy nuda musi się zmierzyć z chęcią przetrwania. To taki akt samoobrony i mechanizm autodefensywny prowadzący do docenienia wszystkiego tego, co się dostało od życia. Kiedy czujesz autentyczny lęk o życie, nagle zaczynasz rozumieć, jakie masz szczęście, że dzieci dają ci tak wiele, masz dobrego, odpowiedzialnego partnera, na którego zawsze można liczyć, że masz się z czego cieszyć i za co być wdzięczna. Kiedy boisz się umrzeć, to co wczoraj jawiło się jako nuda, dzisiaj staje się wizją cudu...

Kilkanaście minut później dzwoni Anita, opowiada o początku romansu z prezesem sieci sklepów z odzieżą. Zaprosił ją do własnego samolotu, który zresztą sam pilotował. Ja chwale się tym, że kupiłam piękny płaszcz w kamelowym kolorze.

Andżelika i dentystka-intelektualistka jedzą mule

Spotkałyśmy się po niemal półrocznej przerwie (nie licząc niemal cotygodniowych telefonów) w lokalu stylizowanym na francuskie bistro (lustra na ciemnozielonych ścianach, kopie plakatów Lautreca i obite pluszem krzesła), gdzie podawano świeże mule. Zmieniła zarówno fryzurę, jak i kolor włosów, w rękach miała pikowaną, klasyczną torebkę Chanel, która dotychczas kojarzyła mi się z konserwatywną, starszą panią, a teraz nagle wywołała we mnie zazdrość i silną chęć posiadania podobnego egzemplarza. „Tak właśnie jest z przedmiotami, wydają się obojętne, dopóki nie zobaczy się kogoś na ulicy w czymś, co na zdjęciu czy nawet na wieszaku w sklepie nie wzbudzało entuzjazmu, i nagle chce się to mieć” – pomyślałam zażenowana.

Po wymianie zdawkowych informacji w stylu „co u ciebie słychać” i „jak tam dzieci”, czekając na zamówione świeże mule, omówiliśmy szczegółowo jej konflikt z koleżanką, która w bezczelny sposób próbuje poderwać jej faceta.

Zapalając papierosa, dentystka westchnęła, zmieniając zasadniczo temat:

– Ach! Ta pauperyzacja intelektualna! I ludzie mnie dobijają! Ktoś teoretycznie wykształcony mówi mi na przykład, że czyta tylko fantasy, i nie chodzi nawet do kina, nie mówiąc o teatrze! – Taaak, dokładnie... Moje znajome nic wychodzą poza poziom Coelho...

Zauważam, że dentystka nie bardzo ma ochotę dyskusję idącą w tym kierunku, zamawiam więc kolejny kieliszek marnego bordeaux, a ona mówi:

– Nie mogę się nadziwić, jak wspaniale wyglądasz! I nie mów mi, że spodnie są stare, włosy nieobcinane od miesięcy, a buty kosztowały dwieście złotych! Widać, że pracujesz nad wyglądem, i efekty są niesamowite! Prezentujesz się imponująco, nie mogę oderwać od ciebie wzroku! Jakie dodatki! Skąd wzięłaś ten naszyjnik? A ta sukienka? I twoja figura! Ile schudłaś od ostatniego razu, kiedy się widziałyśmy?

– To dlatego że w mieście jest tak wiele remontów. Muszę teraz zasuwać codziennie kilka kilometrów do tramwaju. Lecę jak idiotka, zawsze się spieszę... Naprawdę jest ciężko, ledwo żyję... – Jak zwykle się krygowałam, nie mówiąc, że w ogóle zrezygnowałam z jedzenia pieczywa i słodczy.

– Ech, nie gadaj! Co z tego, że jest ciężko, ale za to jak wyglądasz!!!

W miarę jak w miseczkach rosła kupka pustych, czarnych muszli, coraz bardziej skupialiśmy się na analizie mojego coraz lepszego wyglądu.

– Sama nie wiem, co się ze mną stało. Często się nawet nad tym zastanawiam. Andrzej też się dziwi, niby mu się podoba, że ma atrakcyjną żonę, ale nie do końca. Kiedy miałam siedemnaście lat, szczerze gardziłam kimś, kim stałam się teraz. Ale myślę, że po prostu zmusiła mnie do tego nuda. Codziennosc jest taka nużąca, ludzie – jak sama mówiłaś – tacy trywialni, nijacy. A piękno jest wartością samą w sobie. Być może to powierzchowne, ale za to mam możliwość dać upust potrzebie kreowania. To sposób na wypełnienie pustki. Poza tym, kiedy nie mogę zasnąć, wymyślam strój na kolejny dzień. Myślę nad makijażem i dodatkami, uspokajam się i mniej atakują mnie demony, na przykład myśli o przemijaniu, panika... Robię to wyłącznie dla siebie, tylko aby zadowolić własne „ja”. – Ale jednak odczuwasz satysfakcję, gdy kobiety ci zazdroszczą, a faceci prawią komplementy? Moim zdaniem to wcale nie jest kwestia nudy – odparła dentystka swoim autorytarnym tonem i obwieściła oczywistą prawdę, której nie umiałam, a może me chciałam do tej pory dostrzec: – Ty po prostu uciekasz od myśli na temat śmierci. Dbanie o wygląd, zainteresowanie modą i kupowanie kolejnych ubrań, butów i dodatków wynikają z przerażenia śmiercią. Kupujesz piękne rzeczy, by twój wygląd zmierzający do doskonałości podświadomie stanowił oręż w walce z przerażeniem. Zwalczasz fakt przemijania. Wypracowałaś sobie rodzaj bezpodstawnego i niestety do niczego nieprowadzącego buntu!

– Może masz rację, nigdy tak na to nie patrzyłam, ale może coś w tym jest – odparłam zmieszana.

– Ale to nie znaczy, że robisz źle, koncentrując się na byciu piękną. Potrzebujesz czegoś, co cię zmusi do aktywności. I dobrze, niech to będzie eko-bóg, seks, gotowanie, religia, moda, muzyka, cokolwiek, co zaintryguje i pobudzi cię do działania! Kiedy żegnałyśmy się wylewnie, smagane porywistym wiatrem, który rozwiewał misternie układane z rana fryzury i poły naszych płaszczy, przypomniałam coś sobie i chcąc zapunktować w oczach znajomej, powiedziałam:

– A propos pauperyzacji intelektualnej, wiesz, że kupiłam ostatnio – aby zrównoważyć ilość nabytych kosmetyków i ubrań – *box* płytowy Wilhelma Kempffa z sonatami Beethovena? I powiem ci, że lo roń niewiarygodnego! I wiem, że to jest praca nad sobą, bo trzeba się starać, aby nie iść na łatwiznę, nie słuchać papki muzycznej, nie włączyć wiecznie bez sensu telewizora i oglądać serialu o lekarzach, tylko postarać się obejrzeć coś, co zostaje na dłużej w głowie

posłuchać sonaty. To tak jak z jedzeniem, przygotować sobie coś wartościowego, prawdziwego, a nie napychać się czymś prymitywnym z patelni.

Andżelika spotyka Dolores

Kiedy weszła do kawiarni, w której umówiłyśmy się za czwartym podejściem (ona stchórzyła tylko raz, ja byłam bardziej oporna i zasłaniałam się ciągłymi kłopotami i przeszkodami wynikającymi z obowiązków wobec rodziny), byłam oszołomiona jej urodą, szczupłą sylwetką, twarzą bez żadnej zmarszczki, ustami pełnymi jak kiedyś, długimi włosami, jakich nigdy nie miała w czasach naszej przyjaźni. Mimo ubrania, które na pierwszy rzut oka widać, że nie było markowe, prezentowała się czarująco. Wielkie oczy malowała teraz perłowym cieniem, górną powiekę podkreślając bardzo długą, idącą ku górze kreską. Z łatwością mogła uchodzić za egzotyczną piękność, choć karnacja skóry zdradzała słowiańskie pochodzenie.

Roześmiałyśmy się obie, całując na przywitanie, ja bardziej zakłopotana, nagle onieśmielona faktem, że moje życie opisane w kilku słowach okaże się smutne i bardzo odległe od marzeń, jakie miałam w wieku siedemnastu lat. Co z tego, że wyglądałam lepiej niż kilkanaście lat temu, miałam na sobie ciekawie zestawione, drogie ubrania, a mój status materialny już na pierwszy rzut oka był kilka razy wyższy niż Dolores. Mogłam grać zadbaną, szczęśliwą kobietę sukcesu, świetnie godzącą obowiązki zawodowe z pol i zębami idealnej rodziny, rozkwitającą w nowoczesnym apartamencie na Saskiej Kępie, jednak posła wiłam na prawdę i wiedziałam, co ujawnię: mało zachęcający obraz znerwicowanej, poharatanej wewnątrznie po śmierci rodziców, zabieganej matki Polki.

Na dzień dobry prawila jej komplementy, ona zaś śmiała się w głos, pokrzykiwała, opowiadając, jak zmyliła drogę do miejsca naszego spotkania, gestykulowała, machając rękoma, pełna ekspresji i strasznie obca. Jej głos mnie zaskoczył – nie pamiętałam go wcale. Był to głos kompletnie nieznaney mi osoby, przeszkadzał mi, zwodząc pamięć, która doskonale identyfikowała twarz mówiącej piskliwym tonem przyjaciółki sprzed lat. Zaznaczyła od razu, że formalnie zmieniła swoje imię i nazwisko, nakazując nazywać się Ariadną.

– Ach, to dlatego tak trudno mi było cię odnaleźć! – powiedziałam.

By tylko nie dopuścić do krępującej ciszy, zaczęłyśmy rozmowę od wspomnienia Gizmo. Podobno wcale nie była szczęśliwa w tych wymarzonych Włoszech. Czula się tam samotna i zmuszona do rodzenia dzieci, bo nie miała szans na pełną asymilację, a tym samym karierę.

Pisała zresztą ostatnio aż trzykrotnie o swoim ulubionym serialu. Aktor grający głównego bohatera przypomina jej młodego Keanu Reevesa, w którym obie się kochałyśmy jako licealistki. Wypytałam się o rodzinę Dolores, siostrę, matkę, przyjaciółkę Malinowską (bardzo swego czasu schudła, aby po dwóch latach nabrać jeszcze większej wagi), dziadków. Ci ostatni zmarli jedno po drugim, tak jak moi rodzice. Ale rozstanie z życiem nie przyszło im łatwo – duchy dziadków opętały ją, weszły do jej ciała i dopiero egzorcysta pomógł się ich pozbyć po tym, jak ona z dnia na dzień słabła i przestała mówić własnym głosem. To babka nie chciała się od niej odczepić i jeszcze nie chciała puścić dziadka. Męczyły ich niezłatwione sprawy i rodzinne konflikty. Później opowiedziała mi o warsztatach tanecznych, które prowadzi w klubie dla dziewczyn, o włoskich i rosyjskich kochankach (ci pierwsi, bogaci i starzy, dawali jej mnóstwo pieniędzy, ci drudzy, biedni i skomplikowani, dostawali od niej wszystko, co chcieli, za darmo) i planach kariery w mediach. Kończąc swoją historię, zamówiła kolejne campari ze sprite'em i nie ścisząc specjalnie głosu, dodała z westchnieniem:

– Mówię ci, jak ja się uwielbiam pierdolić! Po prostu uwielbiam to!!!

Kiedy kelnerka przynosząc drinka, pochwaliła jej niezwyklej makijaż i deseń sukienki, poczułam się, jakbym znowu była jej brzydszą podróbką.

A jednak złagodniała. Skurwysyna zastąpił ojciec, seks przestał być punktem odniesienia w niemal każdym wypowiedzanym zdaniu. Klęła jak dawniej. Dawna fascynacja Elvisem obecnie ją zawstydziała. „Rzuciłam telewizję i seriale” – wyjaśniła, chociaż w pewnym sensie nic się nie zmieniło, teraz bowiem zatraciła się w bollywoodzie – gdy oglądała te filmy, płakała, „bo te stroje były takie piękne”.

Po kilkudziesięciu minutach z trudem udało mi się ustalić, z czego się utrzymuje. Malowała obrazy inspirowane bollywoodem, ale to nie stanowiło oczywiście źródła dochodów, stawiała tarota, lepila gliniane aniołki i księżycy, tańczyła taniec turecki i egipski, a połowę roku spędzała za granicą, pracując. Dopiero po serii dociekliwych pytań zrozumiałam, że tańczy tam w klubach, udając dwudziestodwuletnią egzotyczną piękność o arabskich korzeniach. Opowiadałam jej o sobie, nie chcąc podkreślać finansowego poziomu życia, co sprawiło, że przedstawiłam zaskakujący obraz siebie, który uzmysłowił mi, że nie chcę być kimś, kim teraz jesieni. Nie chcę pracować tylko po to, aby wydawać i gromadzić przedmioty, zadrećzać się długami i żyć, aby konsumować, wyrzucać, kupować cos nowego i tak w kółko. Ariadna (jej nowe imię nie przechodziło mi przez gardło) kręciła głową z niedowierzaniem.

– No co ty powiesz? Wszystko wydajesz na ubrania i kosmetyki? Kiedyś w ogóle cię to nie interesowało! Jesteś zakupoholiczką! Alkohol, nerwica, dzieci, biuro, stres – kobieto! – krzyczała.

Kiedy przytuliliśmy się na pożegnanie, zapewniając o kolejnym spotkaniu już niebawem, ton jej głosu stracił początkową obcość. Po powrocie do domu nie byłam w stanie powiedzieć, jakie są moje odczucia wobec całego tego *tete-a-tete*. – Nic już was w zasadzie nie łączy – skwitował całą sprawę Andrzej, leżąc jak zwykle po przyjściu z pracy na kanapie. Tak samo wylegiwał się mój Ojciec, a ja – tak jak Matka – kierowana niezrozumiałym imperatywem obsłużenia pana domu, rzucam się szykować kolację. Krojąc energicznie bagietkę, myślałam o tym, jak kiedyś brano nas za siostry, gdy przemykałyśmy ulicami, gnając od jednej knajpy do drugiej w pogoni za mrocznym Dominikiem. Miałyśmy takie same fryzury – krótkie, zafarbowane na czarno włosy, nosiłyśmy berety i płaszcze do kostek o kroju szlafroka. Przy niej moje mniej wyraziste rysy twarzy nabierały uroku, a gabaryty masywnych ud wydawały się mniejsze. Czerpałam iluzję piękna z naszego tandemu, w zamian, nie licząc paru złotych na piwo w Amsterdamie, ulubionej knajpie Dominika, dając trzeźwość umysłu i element normalności.

Kiedy dzieciaki i Andrzej siedli przy stole i zaczęli jeść, uprzednio kłócąc się o kolory widelców i wielkość nakładanych porcji, pogrążyłam się w myślach o kielkującej we mnie pokusie powrotu do tych dni, gdy Dolores i ja byłyśmy niczym dwie piękne siostry. Mając jeszcze w głowie świeże wrażenia wzrokowe z włoskiej edycji „Vogue’a”, który kupuję niekiedy ze względu na wspaniałe fotografie mody, widziałam nas oczami wyobraźni wystylizowane w modnym tym sezonie stylu na lata czterdzieste. Oto idziemy pod rękę ulicami, spoglądając na ludzi z półśmiechem wyrażającym lekką pogardę i łączącą nas tajemnicę. Obie w płaszczach z mocno zaznaczoną talią, sznurami pereł na szyjach, z przewieszonymi przez ręce torebkami, długie włosy mamy upięte albo może osłonięte filuternym kapelusikiem lub jedwabną chustką w kolorze śliwki. Usta i policzki muśnięte mocną czerwienią, paznokcie pomalowane na czarno. Albo siedzimy na kocu nad brzegiem morza, pijąc wino z butelki, lub leniwie wyłożone na obitych kwiecistą tkaniną kanapach gramy w karty, piękne i niedostępne, w welurowych sukienkach. Rozbrzmiewająca nagle we włączonym radiu stara piosenka wykonywana przez zapomnianą już pieśniarkę ery dzieci kwiatów Joan Baez dopadła mnie, gdy coraz bardziej dryfowałam wśród wspomnień o czasach, gdy chodząc pod ramię, deptaliśmy Dominikowi po piętach. Z nutą goryczy myślałam, że zapewne rozczarowałam Dolores, tak jak rozczarowałam

siebie. Dom, dzieci, mąż wracający po dniu pracy, jakie to oczywiste, jakie powszechne... Jakież zdegustowanie malowało się na jej twarzy, gdy powiedziała o znajomym, który zna Dominika. Poinformował mnie, że właśnie urodziło mu się czwarte dziecko! Pracuje po dwanaście godzin dziennie w jakiejś wielkiej kancelarii prawniczej i zarabia na rodzinę. Słodki, wysoki głos Joan Baez śpiewał: „*Please come to Boston in a springtime*”. Niestyszalna od lat piosenka wyzwoliła we mnie falę smutku i nostalgii. Niepohamowane łzy zalały policzki, bo nagle poczułam tamten ból, wręcz fizycznie dołujące poczucie osamotnienia. Od piętnastu lat nie przypominałam sobie tamtej pustki i przepelnionych goryczą wieczorów w aurze zachodzącego nad blokowiskiem słońca. Już zapominałam, co to samotność. Wracające jak po nastąpieniu na nierówną płytę chodnika uczucie przeraziło mnie. Łzy kapały mi na bluzkę. Andrzej w końcu zauważył, że płaczę, i klęknął przy mnie, uśmiechając się i patrząc na mnie z czułością.

– Wzruszyłaś się tą piosenką? – zapytał, dotykając mojej głowy, jakbym była dzieckiem. Przytuliłam się do jego skóry pachnącej jabłkiem. Pomyślałam, że nigdy w życiu nie spotkałam nikogo lepszego, żadnego mężczyzny, z którym moje życie byłoby lepsze. Wszystkie te odczucia zmieniają się jak w kalejdoskopie, raz go nienawidzę, jest nudny i irytuje mnie jego bierność i pogodzenie ze wszystkim, aby kolejnego dnia zauważać, jaki jest dowcipny, czuć tkliwość i podziw dla jego uczciwości, odpowiedzialności i sumiennosci.

Przecież kiedyś co wieczór modliłam się o miłość. Miłość, która sprawi, że nie będę samotna. I dostałam ją. Czego więcej mogę jeszcze chcieć?

Dni wypełnione niepojętą trwogą sąsiadują z tymi, w których ogarnia mnie pochodzące z nieznanego źródła ukojenie i przekonanie, że jest wyjście, jest coś, co nas uratuje i zbawi. Pozostaje pracować nad sobą, aby wznieść szkielet, system obronny, aby znaleźć pomost pomiędzy tym piekłem a nirwaną. Dzisiaj właśnie odczuwam to energetyczne uniesienie i postanawiam, że pojedę zobaczyć step, na Wołyń. I zgodzę się na propozycję projektantki lamp, która zadzwoniła wczoraj z zadziwiającą wiadomością – dostała bardzo dobrze płatne zlecenie na urządzenie wspaniałego, modernistycznego domu, w tym nawet biblioteki i pokoju kinowego. Bogaty właściciel gwarantował dużą swobodę artystyczną, dawał ogromny budżet i wymagał jedynie oryginalności oraz estetycznego wysmakowania. Projektantka lamp potrzebowała kogoś do pomocy i pomyślała o mnie, o moim guście i kulturalnym obyciu. „Zarejestrujemy działalność, za tym zleceniem pójdą z dużym prawdopodobieństwem inne” – mówiła. Wszystko to brzmiało jakby to był sen.

Nie mogę spać od nadmiaru planów związanych z podróżami i pracą. Z jednej strony nowe zajęcie może okazać się pomyłką, a z drugiej ma szansę sprawić, że zajmę się czymś z zaangażowaniem i zagłuszyć to bezustannie domagające się uwagi „ja”. Wyjmuję kupiony gdzieś przypadkiem blok rysunkowy, sięgam do plecaka dziecka po pudełko z suchymi pastelami o pięknych kolorach i szkicuję z pamięci ubrania Matki. Na pierwszej stronie pomarańczową chustkę w fioletowe i zielone koła, na kolejnej seledynowy płaszcz z wielkimi klapami, czarną garsonkę z żorżety, i tak dalej, i dalej, do wyczerpania sił. – Chciałbym z tobą dzisiaj porozmawiać o czymś ważnym – mówi Andrzej i odkłada na bok gazetę. Stawiam kropkę na końcu quasi-wiersza, jaki od kilku dni układam w głowie.

*W telewizji podano właśnie, że zmań pewien mędrzec, co
zawsze fotografował się w kapeluszu.*

Kiedyś jego opinie odnośnie do szczęścia

*Twierdził że dążenie do szczęścia jest pogonią za
złudzeniem.*

I tematem niewartym uwagi.

*Nie można wiele oczekiwać od życia, bo wówczas może
ono tylko niemile rozczarować.*

*Szczęśliwe mogą być tylko małe dzieci, te przed piątym
rokiem życia, czyli zanim odnotują fakt przemijania i
zaczyną przeczuwać niewyobrażalne okropności, jakie
niesie istnienie.*

Po lekturze bełkotliwych czasopism i serwowanych przez nie pseudopsychologicznych porad zadreślałam się.

Wszystko *zależy* ode mnie.

Nie mam odwagi być szczęśliwą.

Za dużo chcę albo nie wiem, czego chcę.

Nie umiem się cieszyć tym, co mam.

Zastanowiło mnie, że starożytni Gracy mieli następującą wizję szczęścia: Każdy kto spotka pewną postać na swojej drodze, zostaje obdarzony szczęściem, Wszyscy ci, którzy jej nie zobaczyli, szczęścia nie mają.

Żaden element woli nie ma więc znaczenia. Podobnie jak postawa etyczna albo poziom nieżyczliwości wobec innych. Maltretowanie zwierząt i bicie niemowląt.

Ale w końcu przeczytałam siedem tomów Prousta, i już wiem, czym jest szczęście, chociaż wstyd o tym mówić.

Najprostsze odpowiedzi są zwykle najtrafniejsze. To są te niezapowiedziane, niemożliwe do przywołania, nieuchwytne momenty, gdy cichnie najgłębiej ukryty i najbardziej zjadliwy lęk, kiedy ogarnia niezrozumiałe przeświadczenie, iż śmierć nie skończy mojego ja, ja ja ja ja ja ja ja ja zawsze ja. Lecz kto chciałby o tym opowiadać, taki wstydlivy wniosek... A więc Grecy jednak wiedzieli, co mówią.